

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



STEFAN ŻEROMSKI

PROMIENŃ
POWIEŚĆ

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Zawadzając o każdy przystanek, choćby najmniejszy, pociąg zbliżał się wreszcie do stacji Sapy, centralnego punktu zjednoczenia trzech gałęzi kolejowych. Raduski zaznajomiony ze wszystkimi towarzyszami drogi w przedziale „niepalącym” klasy trzeciej, ilekroć wstrzymywano bieg pociągu, wysiadał dla zwiedzenia bufetów, często zaopatrzonych tylko w piwo i kiełbasy, do złudzenia imitujące postronki z węzłami, któreby primo tygodniami moczo w wodzie morskiej, a secundo miesiącami suszono na słońcu afrykańskim. Kupował tam, co się dało, nie dla siebie zresztą, lecz dla dzieci w wagonie, dla damy w wyświechtanej salopce, dla starego jegomości niewiadomej kondycji w baranach, dla dwu chłopów, zdążających do sądu w mieście, dla kucharki wiozącej ryby w ogromnym koszu, a nawet dla żyda, prawdopodobnie trzy razy starszego od konstytucji rzeszy prusko – niemieckiej, który budził się kiedy niekiedy, stękał i tarł swe pałakowate plecy o poręcz ruchem do najwyższego stopnia prowincjonalnym.

Głównym interlokutorem Raduskiego był pan w baranach. On to każdorazowo wymawiał imię stacji, do której się zbliżano, wskazywał palcem, uzbrojonym w paznokiec od dawien dawna nie pozbawiony ani bystrego wzrostu, ani srogiego zabarwienia i mianował usta, wsie i folwarki, leżące w polu widzenia, przytaczał nazwiska zawiadowców stacyjnych, pełnomocników, starszych i młodszych telegrafistów oraz właścicieli bufetów. Wszystko to czynił z niewątpliwą sumiennością, jak gdyby pragnął nagrodzić towarzysza podróży za przyniesione do wagonu piwo, butersznytę etc. i zwrócić mu co do grosza w formie ładunku erudycji koszt wyłożony na kupno innych przysmaków. Raduski z prawdziwym pietyzmem słuchał tych szczegółów, ale nade wszystko rozpytywał się o przestrzeń z Sapów do Łzawca. Przepowiadał sobie po kilka razy za panem w baranach nazwiska czterech stacyjek, a wymówiwszy każde z nich, dziwacznie odwracał głowę i patrzył na sufit wagonu. Inne osoby w przedziale starały się nie zostawać zbyt daleko za panem wiele mówiącym i każda z nich dorzucała jakiś szczegół już to o samych stacjach, już o przyległej prowincji.

Tymczasem wagon przebywając zwrotnice zakotłosał się raptownie i nim z twarzy podróżnych znikła stereotypowa obawa, czy to aby nie następuje wykolejenie, zwolna wsunął się przed peron. Drzwi otwarto z nieuniknionym trzaskiem. Ukazał się w nich konduktor chorowity, z rzadką, czarną brodą i szyją naprzód wyciągniętą. Idąc wzdłuż przedziałów wagonów pod ciężarem swojego niezmiernego szynela z taką forsą, jakby usiłował raz wreszcie wyrwać się z tej szaty i uciec na koniec świata, mizerak ten zawiadamiał pasażerów w sposób przez nos urzędowy, że kto jedzie do Łzawca, to nich wysiada.

– No, moi szanowni państwo – zawołał Raduski głosem wesołym – ja do Łzawca. Szczęśliwej podróży...

Ujął szybko swój mały, skórzany kuferek, skłonił się towarzyszom, wyskoczył i utonął w zbitym tłumie. Pociągi zbliżały się do tej stacji i odchodziły, rozlegał się nieustanny prawie świst, brzęk dzwonków, łoskot kół, gwar ludzki...

Na peronie snuły się osoby ze wszystkich warstw społecznych: od chłopów w żółtych koczach i od żydowinów w zatłuszczonych obficie chałatach i butach najordynarniejszego kalibru, aż po dżentelmenów, z wdziękiem noszących płaszcze, kołnierze i czapki bobrowe. Drzwi klasy drugiej i trzeciej pochłaniały i wydzielały na zewnątrz dwa nurty ludzkie. W poprzek peronu trudno było przecisnąć się między zwartą a ruchomą cizbą. Raduski ze swym małym pakunkiem w ręce kręcił się to tu, to tam, dawał się pociągać, wprowadzać się do wnętrza i na świat wydobywać. Serce jego przepelniała, niby spienione wino czarą kryształową, błogosławiona szczęśliwość, obezwładniająca ręce i nogi. Wśród masy, która go brała ze sobą, głowę miał co chwila przy czyjejś głowie i kimkolwiek by był ten drugi człowiek, dotykał go ramionami z miłością, słuchał jego mowy i przypatrywał mu się oczami, co niezbyt prawdziwie widzą, a przecie wszystkie szczegóły zgarniają i chłoną. Gdyby w owej minucie ktokolwiek z tych ludzi, bogaty czy biedny, obdarty czy wystrojony, uczciwy czy nikiemny zwrócił się do niego i rzekł: Panie Janie Raduski, jestem w potrzebie, dajno setkę, czy tysiąc

rubli... – uczyniłby to niezwłocznie. Ale nikt nań uwagi nie zwracał, chyba ci, do których twarz pochylał zbyt blisko.

– Ani jednej osoby, ani jednego znajomego spojrzenia... – szeptał do siebie.

Czasami w tłumie migał jakiś kontur, jakiś profil znajomy, doskonale znany i przejmował serce dreszczem śmiesznego bólu, trwogi, wstydu. Chwila mocnego skupienia uwagi rozpraszająca uludę: to nie ten człowiek... Z tamtym obcowało się często, znało się go dobrze, albo cierpiało się z jego powodu jeszcze bardzo niedawno, ale w odległości trzystu mil od stacji Sapy. I już tamto wszystko zostało nieskończenie daleko... W innej znowu chwili przesuwało się oblicze bez wątpienia w tych stronach widziane za czasów dzieciństwa, czy nawet wczesnej młodości, ale tak przez długi szereg lat we wspomnieniu zatarte, tak zestarzałe i odmienione, że snuło się w oczach niby dziwaczne jakieś złudzenie, niepokoilo pamięć, jak przykra chimera, wymykająca się z objęć myśli. Zagarnięty prze świeży przypyływ osób, Raduski wszedł do poczekalni klasy drugiej i nie oparł się aż w najdalszym jej kącie. Była to hala wielka i bardzo wąska. Szereg kolumn dzielił ją od drugiej, gdzie składano pakunki. Przy drzwiach głównych znajdował się duży szynkwaz, zwany także bufetem. Ozdobne sklepienie tej sali pokryte było plamami wieloletniego kopci u naftowego, ściany jej zaczerniały, jakby do ostatniego włókna przejęte dymem z cygar i papierosów, sprzęty umalowane jednolitym olejną farbą, nosiły ślady i znaki czegoś niby pracy i zużycia. Raduski siadł na wyplatanej ławeczce, tobolek umieścił pod nią przy nogach i znowu zapadł w ów stan szczególny, który można by nazwać gorączkowym marzeniem. Gwar publiki, płynącej niewyczerpaną falą skupiał się w tamtym miejscu, zlewał w jednolite brzmienie i pod zaczerniałym sufitem cicho huczał, jak tony organów wielkiego kościoła. To echo zgiełku wydało się podróżnemu jak gdyby melodią chyżego biegu życia. Brzmiało w niej stanowczo coś, niby sama treść i istota wszystkiego, co się zamyka między pierwszym wzruszeniem miłosnym, a ostatnim dreszczem śmierci. W owej chwili, jak na wyniosłym pograniczu kończył się już kraj, utkany ze wspomnień, miała się przerwać zmyślona, niematerialna rzeczywistość, latami w sercu stwarzana, miała zniknąć tamta ziemia, mieli odejść ludzie, jak widziadła senne, co nie zostawiają śladu stóp swoich ani na pierwszym śniegu zimowym, ani na mokrym piasku wybrzeża.

Zadumę jego przerwał donośny głos portiera, który uderzywszy trzykroć w mały, ręczny dzwonek, woła:

– W Morysów, Tarcice, Palenisko, Łzawiec...

– Cha cha cha... Łzawiec... – zaśmiał się Raduski z cicha, patrząc na twarz starego oficjalisty przez smugi sinego dymu, ciągnącego się w poprzek sali ku wyjściu. – Ten sam portier, ten sam głos... Jedenaście lat nie słyzałem cię na jawie, kamracie, ale za to w marzeniu, w marzeniu...

Sala szybko pustoszała. Gdy krzyk odźwiernego zabrzmiał znowu, Raduski wyszedł. Po drodze przyjrzał się twarzy szwajcara i niby we śnie nad wyraz prędkim widział, jak coś obcego, młodość swą i samego siebie podczas oczekiwania w tej sali na schadzke z pierwszą w życiu kochanką. Zadrzała w sercu dawna rozkosz, otwarła ramiona do uścisku w próżni, jęknęła na podobieństwo tonu muzycznego i znowu stała się nicością. Z całego systemu, z całego świata i tamtego życia nie zostało nic, taka nawet szczypta popiołu, żeby na niej mogła jedna łza spocząć. W głębi serca zdumiewając się nad ową surową różnicą dwu egzystencji tego samego człowieka, stanu młodzieńca i stanu trzydziestokilkuletniego mężczyzny tak odmienionych, jak byt gołębia chyżo lecącego pod chmurami odmienny jest od bytu jaja, z którego się wylągl, a jednocześnie kombinując związek logiczny między bieżącymi zdarzeniami, podróżny nasz stanął przy wagonach. Konduktorowie chodzili z wolna tam i z powrotem, mruczając od niechcenia:

– W Morysów, Tarcice, Palenisko...

– A gdzie jest wagon dla niepalących – zapytał grzecznie Raduski pierwszego z brzegu.

– Dla niepalących? Ij... Ano niech pan idzie naprzód. Pierwszy wagon...

Ów pierwszy wagon był nie tylko „pałacy”, ale wszystkimi otworami swymi wydzielał dym z machorki i cygar, wonny, jakby ze spalenia kupy badyli kartoflanych w drugim tygodniu września. Na ławkach, półkach i pod ławkami mieścił się tam lud izraelski, zajęty konwersacją niewymownie ożywioną. Raduski stał we drzwiach przez chwilę i upatrywał dla siebie jakiegokolwiek miejsca, ale go nie znalazł. Zeskoczył tedy na peron i wgramolił się do innego wagonu klasy trzeciej, nie zasięgając już u konduktora informacji. Był tam tłok jeszcze większy, aczkolwiek aryjski. Dym zresztą posiadał ten sam zapach kapuściano – kartoflany. Panowała tu jeszcze większa swoboda ruchów, niż w przedziale semickim, były zajęte nie tylko miejsca, ale nawet przejścia. Dopiero w trzecim wagonie wędrowiec trafił na wolny brzeżek ławki i tam z ochotą przysiadł. Słysząc już było sygnały konduktorskie, gdy do tego samego wagonu obydwoma wejściami wpadła nowa gromada ludzi i zapchała go tak szczelnie, że szpilki już by tam nie wepchnął. W przejściach między ławkami stało po pięć i sześć osób, dróżka wzdłuż wagonu była tak zaludniona, że drzwi wewnętrznych żadną miarą nie można było otworzyć. Pociąg ruszył. Nos i usta Raduskiego znajdowały się wobec rozpiętego surduta i rozpiętej kamizelki, obejmującej pokaźny brzuch jednostki, której korpus chroniła od upadku wysunięta półka. Obok siedziały dwie małe dziewczynki, dawniejsze towarzyski podróży, siostry prawie tego samego wieku, przytulone do matki, ciotki czy babki w salopie ze staromodnym kołnierzem. Na twarze ich poobwiązywane chustkami padał z okna nikły blask i dał je poznać Raduskiemu.

Siedziały, jak dawniej, uroczyście wyprostowane, o ile na to zezwalały plecy, brzuchy, ręce wspierające się na nich co chwila, jak o martwe zawiniątka i pakunki i wytrzeszczały oczy w podziwie, przechodzącym często w strach rzetelny. Starsza pani usiłowała chronić je od zgniecenia, zasłaniać od uderzeń licznych łokciów, ale sama wkrótce dostała wyraźnie, niby nieumyślne szturchnięcie i apostrofę, poczym dała spokój wszystkiemu. Za plecami dziewcząt, na ławce mającej wspólne oparcie, siedział jakiś pasażer w szopach bardzo wytartych i kapeluszu, tzw. melonie. Żółtawa twarz, której barwa znajdowała się w zależności bezpośredniej od piwa „słomkowego” łączyła się tak samo z rudym kołnierzem futra, jak kształt czaszki z formą przyplaszczonego kapelusza. Odwracając nieco na bok głowę, Raduski widział biust tego sąsiada, którego głos słysząc było w całym wagonie. Wśród mnóstwa anegdot starych jak jego futro i nie większą mających wartość, które wygłaszał tonem donośnym, żeby go mogła słyszeć przynajmniej połowa osób w przedziale, rudy obywatel wtrącał od czasu do czasu:

– A ty parchu, bierz chałat w troki, pókim dobry i nie czekaj na moją ostatnią pasję!

– Co pan się wtrącasz w nie swój interes... – krzyczał w odpowiedzi kilkunastoletni żydek, skromnie siedzący na końcu ławki. – Co pan jesteś fagas od wyrzucania ludzi z tego wagonu?...

Właściciel spłowiałego futerału robił minę, że nie słyszy. Opowiedział z talentem najbliższym sąsiadom nowy „kawał”, a ledwie go skończył wnet szepnął przyduszonym głosem:

– Idź stąd żydzie starozakonny, bo ci mówię, że z kwitkiem wieprzowym wylecisz. A do żydowskiego wagonu, śmierdzielu.

– Mnie tu wolno, ja mam bilet!

– Choćbyś i miał bilet, to ja ci perswaduję jak tkliwa matka rodzonemu dziecięciu, nie siedź koło mnie, skoro cię stąd wypycham, bo w przeciwnym razie będę zmuszony tak ci dać w oko, że cię wprost z tej ławki w białej trumience wyniosą na kirkut...

– Co pan myśli, czy ja to samo nie mam pięści na oko!

Ledwie izraelita słów tych domówił, rozległ się krzyk jego, cały tłum osób, stojących wokoło ławki, zakołysał się na nogach...

– Gwałt! – wrzasnął żydek... – Gaspadin konduktorze, co to jest... rozbój, rozbójnik, rabuś!

– Milcz! – wrzasnął pan w szopach, który go przed chwilą zepchnął był z ławki.

– Co to milcz! Ty sam milcz, złodziej! – zaczął na całe gardło krzyczeć pokrzywdzony.

– Nie piszcz mi tu, żydzie! Czego na mnie włączysz? Prać go w ucho bez gadania! – wołało teraz kilkanaście głosów.

Udzielono mu nadto z tyłu stron admonicji pięściami pod boki, że się całkiem udobruchał i skromnie stanął w tłumie. W samym środku wagonu mieścił się okrągły piec żelazny i właśnie o tej porze bryły węgla, zatłone przy wyjeździe z Sapów rozżarzyły się w nim na dobre. Pasażerowie siedzący i stojący bez ustanku ćmili tytoń. Zaduch, dym i brak powietrza były nie do zniesienia. Bardzo ucierpiały dwie małe sąsiadeczki Raduskiego. Jeden z pasażerów, usadowiony prawie na nich wysunął się był cokolwiek dla zbadania czegoś, co się hałaśliwie działo z tamtej strony pieca i małe panienki odetchnęły, ale wnet wejrzenia ich znowu posepniały. Na przeciwległej ławce siedzieli, żywo rozprawiając, dwaj kawalerowie, z których młodszy kopcił papierosa za papierosem, a strugi dymu z nadzwyczajną równowagą umysłu puszczał w twarz starszej, zapewne siedmioletniej dziewczynki. Wypalił w ten sposób jedną sztukę, drugą i sięgnął właśnie do pudełka, żeby poczęstować towarzysza, gdy starsza z dziewcząt otrząsnęła się szczególnym ruchem i zwiesiła bladą twarzyczkę. Za chwilę dostała mdłości. Raduski szybko rozepchnął gadających sąsiadów, spuścił okno i zwrócił się do wszystkich z grzeczną prośbą, żeby się na czas pewien wstrzymali od papierosów. Młodzi ludzie rzucili na niego wzrokiem zdumionym, jakby przemawiał w języku malajskim i podjęli dalszy ciąg rozmowy. Nim upłynęła chwila czasu, dziecko przyszło do siebie, a okno trzeba było zamknąć, gdyż pewien blado-żółty jegomość z szerokim nosem, spiczastą brodą i wyrazem kwaśno-wilgotnego pesymizmu na melancholijnym obliczu wołał z trzeciej ławy, że dostaje zapalenia w prawym płucu. Skoro tylko szyba podniesioną została, sąsiad z przeciwka wydobyl swoje niewyczerpane pudełko, częstował towarzysza i wziął się do zapalek.

– Panie – rzekł do niego Raduski – nie palże u licha choć chwilę! Widzisz przecie, że dziecko z tego dymu omdlewa...

Młodzieniec uśmiechnął się w sposób niezdecydowany, wstrzymał w ręce zapalną, ale i cygaretki z ust nie wyjął.

Właśnie podówczas szedł wzdłuż wagonu nadkonduktor w towarzystwie swego asystenta i obydwaj z chwalebą pieczołowitością zajęli się badaniem czy każda z osób ma prawo korzystać z dymu i zaduchu w pozie, jaką jej wyznaczył srogi los na spółkę z oszczędnością akcjonariuszy. Raduski zwrócił się do tych urzędników z żądaniem, ażeby wskazali mu przedział dla niepalących i ażeby go tam wraz z małymi sąsiadkami zaprowadzili. Okazało się, że takiego przedziału w pociągu nie ma.

– Publiku wszędzie kopci, proszę pana, cóż my na to poradzimy... – rzekł nadkonduktor, badając bilety.

– To mnie pan prowadź do klasy drugiej. Te dzieci są chore...

– W drugiej klasie tłok taki sam, a może i gorszy. Jedna rzecz, co jest, to zrobić z tego wagonu niepalący... Weź pan przekręć tabliczkę – zwrócił się starszy do konduktora. Wkrótce nade drzwiami widniała sentencja zabraniająca palić. Obydwaj konduktorowie powtórzyli przepis ustnie, ale bez skutku. Katolik w szopach, który poróżnił się był niedawno z sąsiadem semitą, wstał ze swego miejsca i ostentacyjnie zapalił cygaro. To samo uczynili natychmiast dwaj młodzieńcy. Pan w szopach, obgryzając koniec swojego kapustosa i naokół wypluwając włókna, rzekł:

– Dopiero był palący, już nie... A co mnie obchodzi? Komu dym kręci w nosie, to niech idzie do pierwszej klasy.

– Ale kiedy pan nie chce zwrócić uwagi... – żołądkował się Raduski – że to nie o starszych mowa, bo starszy wytrzyma, ale dziecko dostaje mdłości. Jakże można? Słyszał pan, że nie ma innego miejsca.

– Dziecko... mdłości. Mnie te mdłości zawsze idą na zdrowie i tej hrabiance nie zaszkodzią...

– Cha cha cha ... – zaśmiali się sąsiedzi. Pan Jan skompromitowany zamilkł. Wódz palaczy, pewny teraz sukcesu, mierzył go wzrokiem tak wyzywająco – zaczepnym, jakby w górnych, miarodajnych sferach jego czaszki, skrytej w głębi „melona”, rozbrykane piwo chlupotać się poczęło w sposób burzliwy i niebezpieczny. W samej rzeczy zwycięstwo tytoniu było coraz oczywistsze. Obok dwu młodych ludzi palących, a za plecami jegomości w rozpiętym surducie, dał się słyszeć trzask zapalki i nowa fontanna dymu skierowała się ku sufitowi...

Przy samych drzwiach stał krępy człowiek w granatowej czapce i palcie z aksamitnym kołnierzem gorszego gatunku. Twarz jego, ruchy i sposób bycia zdradzały robotnika, czy rzemieślnika. Gawędząc z sąsiadami wtrącał wiele wyrazów fachowych, jaskrawych i malował rzecz nadzwyczaj wyrazistymi gestami. Gdy nowy palacz zaciągnął się dymem i wypuścił go z ust pod nos siedzącym, ów ruchliwy pasażer rzucił okiem na wszystkich i rzekł kategorycznie:

– A też panowie to sobie poczynają nie jak panowie, ale nie przymierzając jak świnię!...

Pan w szopach poczuł się dotkniętym i od razu pchając przed sobą wszystkich z zamiarem, widać, starcia z nowym anty – palaczem groźnie mruknął:

– Widzisz go! Drugi kaznodzieja! Właśnie, że będziemy palili i cała rzecz, a pan stój i ujadaj!

– Ale kopć, panie! Każdy będzie trzymał swoje: pan swego cygarusa, ja swoje słowo...

Ryży obywatel łypnął białkami raz i drugi, nie znalazłszy, widać, punktualnie w umyśle swym repliki. Nawet i w parę chwil później mruczał tylko przez zęby i wąsy grubiańskie wymysły, ale dowcipnego słowa nie urodził. Młódź paląca za jego inicjatywą przeszywała wprawdzie kaszkietowego złowrogimi oczyma, ale również zatopiła swe wzburzone odczucia w pomruku nieparlamentarnym. Jan Raduski był aż nadto przyzwyczajony do wszelkiego rodzaju scen wagonowych. Zdarzało mu się widzieć, jak podochocona publika, wskutek jakiegoś przewinienia względem kasjera stacji, szturmem brała dworzec, bufet, wagony i odbywała wояaż według swej chęci. Toteż wystąpienie obywatela w kaszkiecie bardzo przypadło do smaku, było mu tak miłe, że tego słowem opisać nie można. Zza ramienia pasażera stojącego patrzył ciągle na swego adherenta i postanowił zaznajomić się z nim niezwłocznie. Tymczasem tamten, wciąż ciskając śmiało wejrzenia między gremium palące, przedostał się ku środkowi wagonu za piec, gdzie już od dawna umiejscowiona była jakaś heca. Dawaly się stamtąd słyszeć ciągle okrzyki, sprzeczki, groźby, przyduszone szepty i chóralne śmiechy. Raduski wstał ze swego miejsca, ustąpił je otyłemu sąsiadowi, a sam przecisnął się na środek i wyjrzał zza pleców mężczyzn pochylonych. Bawiono się tam hazardownie w szczególną grę. Wysoki i chudy młodzieniec z miną kryminalisty trzymał w ręku długi, cienki i wąski rzemyk skórzany. W oczach wszystkich ujmował palcami prawej ręki jego dwa końce, lewą miejsce, gdzie przypadał środek i od tego środka zwijał rzemień w ścisły rulon. Gdy zeń utworzył płaski krążek, kładł go na ławie i proponował komukolwiek, żeby cienkim drutem trafił w środek.

– Stawiasz pan fajgla, ja stawiam fajgla i granie idzie... – mówił tonem tak andrusowskim, że Raduski zaśmiał się mimo woli. – Widzisz pan przecie, że biorę za końce paseczka, widzisz pan, że ciągnę... – gadał dalej wysmukły. Jeśli drucik zostanie panu, skoro cały rozkręcę, między dwiema połówkami paska, rubelians pański, jeśli zaś będzie „na polu”, rubelians mój. Rozumiesz pan przecie?...

Drucik zawsze zostawał „na polu” i rzadko kiedy trafiał w „opłotki”. Czasami, gdy rozwścieczony gracz domyślał się jakiegoś złodziejstwa po przepuszczeniu kilku „rubeliansów”, drucik trafiał w „opłotki” i ochota do próbowania szczęścia wzmagala się znowu. Jegomość w kaszkiecie przez czas pewien ognistym wzrokiem przypatrywał się tej grze, przekrzywiając głowę z ramienia na ramię. W pewnej chwili, gdy ostatni z ryzykujących szukał po kieszeniach „fajgla” i w żadnej go znaleźć nie mógł, stronnik Raduskiego zawołał:

– Stawiam dwadzieścia kop!

– Idzie granie... – powiedział właściciel paska, wznosząc ku górze białą źrenicę. Okazało się, że nowy gracz trafił w środek i zabrał czterdzieści groszy. Nie zwlekając, postawił obydwie czterdziestki i wygrał. Wówczas puścił w kurs tylko jedną i zwyciężył.

To jego szczęśliwe prowadzenie druta powitano ze wszystkich stron cichym szmerem. Błyszczące oczy wpijały się w ruch palców, rozchylone usta pchały je, zdawało się namiętym oddechem. Żywy robotnik wygrał jeszcze kilka razy, ale niespodziewanie szczęście go zdradziło. Poczytywał to za chwilowy lapsus oka, gorączkował się, stawiał coraz więcej i brnął w przegraną. Śmiech, rozlegający się dookoła jego uszu, nękał go i prowadził w pasję coraz większą. Strugi potu lały się z jego czoła...

Raduski schylony nad tą ławką, patrzył w twarze grających, jedną po drugiej badał ciekawym wzrokiem. Dopiero świst lokomotywy zmącił jego myśli.

– Morysów... – wymówił ktoś od niechcenia.

W istocie pociąg zatrzymał się i znaczna ilość pasażerów wysiadła z wagonu. Przez otwarte drzwi wleciały kłęby zimowego powietrza i sprawiły ulgę dziewczętom, do których Raduski wrócił znowu. Starsza z nich wciąż była żółta i miała oczy zamglone, to też pan Jan, uzyskawszy zezwolenie damy w salopie, wyprowadził omdlewającą na peron i przeszedł z nią tam i na powrót. Dookoła stacyjki czerniał las sosnowy. Wrony z krzykiem przelatywały z drzewa na drzewo; daleko wśród lasu słyszeć się dawał łoskot siekiery. Żelazne szyny drogi za lokomotywą biegnęły z początku prosto, a następnie zginały się nieznacznym łukiem i niknęły między drzewami.

– Tam pojedziemy... – szepnął Raduski niby to do dziewczynki, czując, jak się w nim szarpie rozdrażniona, nie cierpiąca zwłoki żądza ujrzania skrytego za lasem widoku. Wkrótce uderzył drugi dzwonek. Trzeba było wracać do wagonu. Miejsca tam już było nieco więcej, ale zawsze kilka osób stało pośrodku. Zaledwie pan Jan z towarzyszką zdobył na nowo jej miejsce, zjawił się w drzwiach duży toboł w kraciatej chustce, a za nim staruszka, pchająca go po schodkach i we drzwi. Głowę miała owiniętą w chustki tak szczelnie, że widać było tylko twarz pomarszczoną, wargę wysuniętą i rzadkie zęby. Za pierwszą szła druga kobiecina w wieku, chuda i równie opatulona. Skoro tylko ta dźwigająca tobołek stanęła przy drzwiach, zaczęła mówić nie wiadomo do kogo w sposób uroczysty, jak w chwili przesłuchania w sądzie:

– Jechalimy – woła, głośno ciapiąc długimi wargami – z panią Pisarkiewiczową do dom i bzdurzyliśmy se gadu-gadu ... Aż tu stacja. Pani Pisarkiewiczowa powiada: Palenisko. A boś pani najpierwsza powiedziała!... No, jak Palenisko – my za toboły i szast z kolei na ziemię. My do miasta, niby na Palenisko, a tu nie ma. Stoi jakiś cudaczny budynek, przy nim obora, a dalej las, jak sądzę. Jezu! Zawołałam ja pierwsza, cóż to jest takiego... Stanęliśmy, patrzymy się, a tu kolej pychu pychu, pychu pychu... poszła! Wczoraj się to zdarzyło, przed północą. Święta Domicelo, powiedzieliśmy z panią Pisarkiewiczową, a to my, widać nie w Palenisku wysiedli... Dwa kuferki, jeden mężusiów, drugi pani Pisarkiewiczowej na bagaż nam zdać kazali w Sapach. Cóż to będzie teraz, ludzie kochające?...

– A cóż ma być, trza się było pilnować – mruknął ktoś z kąta – mąż pogrzebaczem plecy wyłoi, to i po bólu.

Pani Pisarkiewiczowa strzeliła okiem w tamtym kierunku, a staruszce mówiącej przez ten czas długa warga ruszała się mechanicznie i szybko, jak sprężyna silnie przyciśnięta, a później wolno puszczona.

– My do naczelnika – zaczęła, skoro tylko nastreczył się czas przemawiania – opowiadamy, jak, co, pytamy się, upraszamy – nic. Ręce rozłożył – do jutra, mówi, drogie panie zaczekajcie, do popołudnia, a dopiero, mówi, bilety na nic, a rzeczom, mówi, nic złego się nie stanie. Rzeczom nic złego się nie stanie, a tam mężuś miał z kobyłką uproszoną od Zielińskiego, bo do nas, niby do kuźni, dziewięć, a no tak, albo osiem albo dziewięć wiorst... Zdebiały my z

panią Pisarkiewiczową. Tu funduszu mamy na kupie nie całą czterdziestkę, a tu mówi, bilet nowy kup – i jeszcze weź i nocuj! Zafrasowaliśmy się...

– Ale mężuś pogrzebaczem wypierze, to nie ma o czym gadać. Sprawa skończona...

Starowina przerwała opowiadanie i zawstydziła się. Blade rumieńczyki ubarwiły jej zmarszczone jagody. Wkrótce jednak przyszła do siebie i pytlowała dalej, wszelako cichszym głosem i zwracając się do najbliższych sąsiadów:

– Kupili my na noc u bufeciarzy dwa kubki herbaty i po bułce, po kajzerce. Te bułki my wdrobili do herbaty i była wieczerza, a zapłaciło się za toto osiemnaście groszy. Spać nam kazał portier na sali między chłopiskami. Tak my leżeli na drewnianych ławach z tobołami pod głową. Stękania było więcej, jak czego. Teraz my do wagonu, ale co ta może być z tego, to już nic nie wiem. Chyba, że wyrzucą... My bez biletów jedziemy! – krzyknęła raptem z tak rozpaczliwą determinacją, jak gdyby wyznawała publicznie, że jest morderczynią.

Pewien pasażer usunął się nieco i zrobił jej miejsce. Zaraz, wdzięcznie dygając, przysiadła, tobołek umieściła na kolanach i, splótłszy dłonie, objęła go rękami. Wypadek ten rozbił znowu fale jej elokwencji. Wargi tylko pracowały bezdźwięcznie. Czasami padał z nich projekt jakiegoś zdania:

– Nie wiem nawet, co tu z nami może być takiego...

Ruch wagonu, atmosfera ciepło – duszna i spoczynek w trakcie wzruszeń – wnet uspiły babinę. Oczy jej coraz bardziej zasłaniało bielmo, wargi ruszały się coraz wolniej, głowa szła w różne strony. Towarzyszka niedoli, pani Pisarkiewiczowa, stała niedaleko w grupie mężczyzn głośno rozprawiających i wpatrzona w okno posepnie, ze ściśniętymi ustami milczała. Gdy bezładnie opadnięta dolna warga wskazała, że jejmość wymowna śpi na dobre, Raduski wszczął tajemnicze konszachty ze starszą panią, którą przedtem oprowadzał po peronie stacji Morysów. Dziewczynka rzucała pytające wejrzenia to na swą opiekunkę, to na Raduskiego, na śpiącą obok pasażerkę, wreszcie na prawą dłoń swoją, w której coś trzymała. Twarz jej na przemian płonęła i bladła, szeroko rozwarłe oczy wyrażały głęboki niepokój. Za chwilę wszystko to w niej jakby przycichło. Zsunawszy się na ziemię dziewczynka ta zbliżyła się nieznacznie do śpiącej, stanęła bokiem i, nie podnosząc rąk, wsunęła jej między splecione dłonie papierową trzyrubłówkę. Wykonała to tak zręcznie, że nikt z obecnych nie zauważył tej operacji, a staruszka w dalszym ciągu spała bez odmawiania sobie nawet kowalsko - mazowieckich melodii chrapackiego. Obydwie siostry przytuliły się teraz do siebie i strzygły oczyma, śledząc każdy oddech, każdy ruch śpiącej. Kiedy niekiedy jedna z nich trzęsła się na znak, że „ta pani” już się budzi. Wtedy druga uciszała ją nakazującym podnoszeniem brwi i mową oczu...

Raduski wyszedł cichaczem z wagonu, stanął na jego platformie, wsparł się łokciami o gruby pręt żelaznej balustrady i patrzył w krajobraz. Naokół stały otwarte, płaskie pola. Śniegi leżały tam jeszcze głębokie, ale już zestarzałe i jakby zniszczone. Zasy porozrzucane przez dawne burze, zmiękłe do głębi w odwilżach, wystygłe w mrozach, jak daleko wzrok sięgał zasmucały widok nieruchomymi formami. Ostre grzbiety skib roli, jesienią uprawionej, widać już było gdzieś. Dzikie wichry lutego zdarły z nich nie tylko śnieg, ale i zdmuchnęły i rozbiły grudy piachu. Na całym obszarze skorupy śniegowej leżały po wierzchu żółtawo-bure płaty i smugi, z kształtu przypominające jakby ułamane zardzewiałe groty dzid tytanicznych, którymi by w ciągu nocy zimowych walczyły ze sobą planetniki wichrem porwane. W dali, w dali szarej, bez cienia błękitu tkwiły topole, ze mgły ledwo wydzielone, jak obdarte pióra, idące alejami dokądś, na kraj świata. Bliżej, stały w polach tu i ówdzie małe zagajniki brzozone, albo samotne i na wpół uschnięte gruszki.

Czarno sine, wystrzępione, pierzaste, kłębiące się chmury mknęły na niebie w poświstach ostrego wiatru. Niekiedy przelatywał obłok czarniejszy niż inne wlokąc za sobą przez martwe pola cień swój żałobny. Kiedy indziej licho wie skąd leciały krople deszczu nieliczne, rzadkie, dziwnie chłodne. Krople te cięły w twarz, niby grad, a do szyb wagonu przystawały w

formie ostrych kryształków i długo się na nich szkliły. Czasami wśród zawałów chmur odślaniał się nieforemny strzępek śmiertelnie bladego błękitu i prędko ginął sprzed oczu. Raz tylko wyłamał się z pomiędzy obłoków i spadł na ziemię jasny promień słońca. W postaci wielkiej, białej plamy gnał wśród równin, ścigany przez gęste cienie, roztracał matowe, przygasłe, zatrzymane w chmurach, jakby chorowite światło dzienne. Leciał po śniegach, po martwych skibach, po przeziębłych i zeschniętych szkieletach krzewin, po badylach i źdźbłach, śpiących w letargu, nie znajdując miejsca, niby gołębica Noego, gdzie by wychnąć i żywej ziemi, którą by mógł ogarnąć i ukochać miłosnym światłem swoim, z niczego rodzącym wiekuiste życie.

W ślad za tymi promieniami szły oczy Raduskiego w kraj, w poprzek onej dalekiej, dalekiej strony, a spragniona dusza nasycala się żywiącym blaskiem, jak pierwsza lepsza obumarła bylina wśród wygonu...

Pociąg minął Tarcice i zatrzymał się w Palenisku. Była to najbliższa stacja od Niemrawego, wioski, gdzie Jan Raduski urodził się, chował, gdzie żyli długie lata i gdzie pomarli jego rodzice. Za biedną, brudną, pełną żydów miejsciną, która leżała z drugiej strony plantu na pochylonym zboczku wzgórzka widać było drogę wysadzaną wielkimi drzewami. Daleko, pod pierwszym lasem od tego traktu zbaczala „polska”, jednotorowa droga, prowadząca ku Niemrawemu. Raduski stanął wśród peronu i wyteżył wzrok w swoją stronę. Tamtędy właśnie jechały ze wzgórzka sanie chłopskie, zaprzężone w jedną szkapinę, truchtem biegnącą z prawej strony dyszla. Chłop w kozuchu i „wścieklej”, baraniej czapie siedział na przodku między kłonicami.

– A choćbym też zabrał się i pojechał, albo i poszedł... Może to chłop z Niemrawego... – myślał Raduski. Dzieło się z nim coś dziwnego. Wyraźnie jak tylko można czuł w płucach swoje powietrze, a w sercu ból owej nierozzerwalnej żyły, jaką człowiek zarośnięty jest z mogiłami. Oczy jego poznawały zarysy mgłą przesłoniętych lasów jak się poznaje i wita dawno niewidziane twarze osób kochanych. Bardzo daleko, już jakby w chmurach deszczowych wzrok jego dosięgnął jednej smugi wysuniętej, którą zdawał się wciągać w szarą próżnię tuman zalewający widnokrąg. Gdy pociąg ruszył, Raduski stanął przy drzwiach między rozmawiającymi. Słyszał, że obudzona babka znowu prawi głośno, chwycił uchem ton, nawet sens jej mowy, ale nie był w stanie zająć tym myśli, w której, jak dźwięk najczarowniejszy słaniało się przezwisko dopiero co widzianego lasu: Bukowa knieja, Bukowa knieja...

– Państwo kochające – wołała stara, piastując w ręce trzyrublowy – a i cóż toto może oznaczać. Zdrzemnęłam się. Widziałam we śnie barana z czarnymi rogami, a leciał na mnie tak jakby z góry Widuchowej, czy co... Budzę ja się, ruszam palcami: cosi chrupi w palcach... Ja spojrzę... Święta Domicelo z Pałaków, a i cóż by toto mogło znaczyć?...

Nikt nie zwracał uwagi na monolog starej, gdyż wszyscy prawie zbierali się do wysiadania w Łzawcu. Wstawano z ławek, ściągano z półek węzełki, pakunki, wdziewano zwierzchnie okrycia i prostowano kości.

– A więc kochany Karolku, wesołego alleluja! – Zawołał ktoś na końcu przedziału.

– Prawda – pomyślał Raduski – toż to jutro Wielkanoc. Czuję, że za uczuciami jego, niby cień za człowiekiem w słoneczne popołudnie, idzie i uwija się nieuchwytny zabobon: czy też to szczęście powrotu, to zupełne, bezwyjątkowe, zdecydowane ziszczenie marzeń lat tyłu nie kryje w sobie jakiejś zemsty i kary straszliwej?...

Długi świst lokomotywy wszystko przerwał. Raduski wyjrzał przez szybę i daleko, u końca płaszczyzny zobaczył stare, znane dachy, mury, chałupy i wieże, królujące nad nimi. Pociąg rznął teraz przez puste obszary, mijał drogi, wysadzone wielkimi drzewami, podmiejskie chaty, cegielnie, nowe budy i dawne rudery. Stanął wreszcie u celu. Jakiś posługacz wziął z rąk wędrowca tłumoczek, kartę na odbiór bagażów i wyprowadził go przed dworzec. Dorożki z hałasem zajeżdżały i ruszały z miejsca, naokół snuli się tragarze w bluzach, żydzi coś proponujący... Raduski wsiadł do pierwszego z brzegu powozu i, zanim przyniesiono rzeczy, patrzył na miasto. Wzruszenia jego ustały nareszcie, czuł w sobie spokój. Dzień się miał ku

zachodowi. Wiatr ucichł, a raczej odwrócił się i wiał teraz od strony południowej, wolno dźwigając stamtąd na barkach gromadę chmur, które kryły czyste niebo. Wielkie słońce płynęło ku ziemi, tonąc w wylewie krwawego światła. Dwie, trzy zgubione przez wiatr chmurki, stały w tym przestworze ognistym, jak same barwy, z niczego złożone, podobne do cudownych, niedbałych marzeń, błędzących nad otchłanią bytu, który się walką karmi, a płodzi boleść. Blask zachodu oświetlał wieżę największego z kościołów łzawieckich. Zbudowano ją, jak wieść niosła w wieku trzynastym. Nawa i prezbiterium, do których niegdyś przypierała, uległy były pożarowi, runęły w gruzy, a na ich miejscu wzniesiono inne; i te kilkakrotnie przebudowano, a stara wieża nienaruszona długie wieki wytrwała. Rudo – zielone mchy ją oblażyły, czerwona dachówka, nakrywająca szczyt urwany raptownie, spłowiła, jak stara, sponiewierana czerwona czapka. Już z dala widać było ogromne głązy, tworzące nierówne boki tej wieży, z jednej strony ścięte pod kątem nadzwyczaj ostrym, z drugiej prawie okrągłe. Małe okienka – strzelnice w rozmaitych punktach czerniały na jej powierzchni. Raduski nie mógł oderwać wzroku i duszy od tego budynku. Myślał o murarzach, którzy nosili i stawiali jedne na drugich owe szare kamienie przed tyloma wiekami. Myślał o długotrwałym ich trudzie, o wysiłkach rąk, nóg, grzbietów; w prędkim zachwyceniu widział zmordowane twarze, potem krwawym ociekające, wejrzenia ich omdlałe pod ciężarem kamienia i naczyń rzadkiego wapna, słyszał stękanie, ciche westchnienie zamknięte w piersiach, zdołał się nawet wmyśleć w ich wiarę prostą ledwie otłuczoną, jak tamte kamienie, a tak surowo mocną, jak one. Dla wiecznego Boga dźwigali bryły na tyłą wysokość, dla Niego złożyli nędzę swego bytu, krzywdę położenia, mękę ciała i ducha. To też w tych bulwach spał zaklęty talizman potu i łez owej trzody roboczej dawnego świata... Walizę ustawiono wreszcie na przednim siedzeniu i „drynda” ruszyła ku miastu. Pierwsza ulica wjazdowa posiadała te same jamy w bruku, te same do cna zdeптane chodniki, wygięte i spróchniałe parkany. W pewnym miejscu czerwienił się nowy dom piętrowy, jeszcze nie ukończony. Dorożkarz odwiózł Raduskiego przez bramę hotelu *Imperial*, zaspany lokaj wprowadził go do stacji zimnej, jak psiarnia, a ponurej i złowrogiej niby jaskinia zbójów. Numer ten miał jeden tylko cenny przymiot: zachlapanym swoim oknem spoglądał na basztę. Widać ją było całą w promieniach gasnącego słońca. Raduski stanął przy oknie i począł snuć ciąg dalszy swoich rozmyślań, a raczej fantastycznych marzeń o dawnym murze. Stał tam długo w przedziwnym zapomnieniu o wszystkim innym na świecie. Oczy jego patrzyły na „Starą” przez pryzmat uczuć dzieciństwa, przez perspektywę wszystkich smutków i radości, których ta ruina była świadkiem i jak gdyby sędzią. Dusza wchodziła na nowo w jakieś niewysłowione z nią powinowactwo, w zakon braterski, którego istotne znaczenie, sens i wartość schowane były w ślepej skrytce serca, zamkniętej nawet dla niespracowanej badaczki, dla owego żyda wiecznego tułacza, – dla świadomości. Blaski słoneczne gasły na wyniosłych murach i znikwały, jakby zstępując do grobów, w czarnej ziemi wykopanych. Dzień z wolna wlewać się począł w noc szarą.

Raduski wdział prędko swój lekki paltocik i ruszył na miasto. Ulice były puste, sklepy zamknięte. Ciepłe przeciągi wiatru szły wzdłuż i w poprzek Łzawca, topiąc do reszty śnieg zmokły, czarny, obracając bruki w topiele i bagna. Na dachach, szczytach murów, między drewnianymi budowlami, w okolicy śmietników i stajen wałęsała się para. Zewsząd leciały i płynęły strugi nie tyle wody, ile brudnej cieczy. Tam rynna, przed laty pęknięta, darzyła obfitą wilgocią ścianę przylegającą i brzydka plama z odcieniem zielonkowskim, niby głębokie rozrżnięcie gnoić się na froncie starego domu. Gdzieś tam spod urwanego tynku wyzierał znaczny plac rdzawych cegieł, jak żebra i wnętrzości awanturnika, uszkodzone w nocnej bijatyce. Raduski zaglądał w pewne dziedzińce i sionki, które wydawało się, noc ogarnęła na wieczne władanie. Ze szczególnym pietyzmem zwiedził podwórze, gdzie onego czasu grywał w *extrę*. Brakowało tam aż do tej minuty kamieni, które wówczas wyrwano w celu oznaczenia met dla *matki*, *rewizora* i *pitaków*. Gdy stał na tym miejscu, zdało mu się, że w mury, okalające z trzech stron podwórze, bije dziecięcy krzyk towarzyszków i jego własny, że z

drewnianej galerii, biegnącej w okrąg dziedzińca, słycać prędkie kroki uczennic, które tam mieszkały, dwunastoletnich boginek o długich, jedwabnych, płowych włosach, o cudownych lazurowych oczach, przezystych, jak toń krynicy... Dopiero co wypełniła serce po brzegi radość na widok tych miejsc, a oto już samej rzeczywistości było mu nie dosyć, – szło dalej, w kraje wspomnienia, a stamtąd znowu dalej i dalej...

Zmrok padał i ukrył w sobie cały Łzawiec od przedmieścia do przedmieścia. W krzywych ulicach i po rynkach płonęła gdzieś latarnia, kopiąc bez ustanku, jakby to stanowiło jedyną jej rozrywkę w trakcie nudnej misji oświetlania dziur łzawieckich.

Wszystkie sklepiki, nie wyłączając żydowskich, szczelnie zamknięto, wskutek czego ulice były podobne do korytarzy w katakumbach. Świeciło się jedynie w oknach mieszkań i Raduski, wędrując w ciemności z zaułka w zaułek widział czasem jakiś profil, albo cień kobiecy, rysujący się na szybie. Każda z tych sylwetek przykuwała jego uwagę, ciągnęła myśli do mieszkań, przejmowała serce mazgajskim pragnieniem czułości. W mrocznych kątach włóczęga nasz potraçał od czasu do czasu jakiegoś człowieka, błagał o wybaczenie tej winy i szedł dalej. Z miejsc pryncypialnych odpłynął na przedmieście, zwane Placem Targowym. Za czasów uczniowskich, przed piętnastoma laty mieszkał był w tej okolicy. Znał tam każdą rudę, każdą dziurę, każdy rów, znał przyległe pola, krzaki i las w sąsiedztwie. Pewien wyniosły punkt w tej stronie dawał widzieć „knieje” niemrawskie, oraz na dużej przestrzeni białą smugą szosy *do domu* idącą. Raduski minął ostatni budynek i włókł się noga za nogą. Wiedział przecie, że ani lasu, ani odległej drogi nie zobaczy, chciało mu się jednak patrzeć z owego wzniesienia ku swej ojcowiznie, w swoją własną noc... Drzewa wiekowej, miejskiej alei skończyły się. Błotnista szosa ciągnęła stamtąd między głębokimi rowami w martwe grunta, nie ozdobiona ani jedną krzewiną. Strupieszaly lód stał jeszcze na kałużach, ale już rozlaził się pod stopą. W bruzdach i kanałach szeptały cicho drobne ścieki wody. Z południowej strony tchnął ciepłym dobry wietrzyk, ogrzewający nie tylko ziemię, ale i biedne serce ludzkie. Raduski przeżywał istotnie rozkoszną chwilę. Wybaczył życiu wszystkie zniesione cierpienia, nie lękał się przyszłych, czuł jak mocno spojony jest z owym dawnym uczniakiem, o którym tegoż dnia sądził, że nic z nim samym nie ma wspólnego. Rozpychała mu piersi fizyczna i duchowa satysfakcja wędrowania w ciemną noc przez głuche pola. Ileż to razy chodził tą drogą latem i zimą, niosąc w sobie zupełnie tą samą uciechę! Obecna była tylko daleko głębsza i większa. Jak nigdy czuł się na siłach do zaczęcia nowego życia, do pracy podwójnej, potrójnej, z czterokroć mocniejszym uporem miłości. Plany, dawno, całymi okresami czasu roztrząsane, w tym momencie stały się, przeistaczały prawie w czyny jak żelazo młotem obrobione, skoro je nareszcie cisnąć w wodę. Gdy tak szedł głęboko w siebie zatopiony, usłyszał raptem na drodze i obok wśród pola chyże kroki. Stanął i patrzył w ciemność. Wtem prędeż uczuł, niż dostrzegł przed sobą wysokiego człowieka.

– Panie, – rzekł ten człowiek – gdzież to pan idzie?

Raduski, przywykły do napaści nocnych i obrony, z brzmienia głosu poznał, że to jest mężczyzna z wielką siłą fizyczną. To też niezwłocznie prawą ręką dobył z kieszeni rewolwer z futerału, wyjął go i odwiedziony trzymał przy piersiach. Usłyszał również, że ma za plecami ludzi, którzy się cicho skradają ku niemu.

– Gdzie idę? – rzekł spokojnie, tyłem zwracając się do rowu, żeby zapewnić sobie sytuację obronną – a tak ta idę... Ty, człowieku dlaczego się pytasz?

– Masz panie jakie pieniądze, to daj z dobrej woli – rzekł tamten cicho, zbliżając się o krok i zniżając głowę.

– A tego chcesz! Nie podchodźże bliżej ani o cal, bo ci w łeb strzelę.

– Wicek, – ozwał się inny głos z boku – weź no ino!...

W tej chwili Raduski posłyszał koło swej głowy świst pałki i uczuł w karku ból okropny. Ręka mu na chwilę tak zdrętwiała, jakby jej wcale nie miał. Drugie uderzenie wbiło mu kapelusza na czoło. Grube, skrzywione paluchy chwyciły go za gardziel. Gdy się szarpnął z całej

mocy i wyrwał, złapały aksamitny kołnierz i uderły go z paltota. Wówczas całym wysiłkiem podniósł rewolwer i, celując w głowę człowieka, którego już dojrzał w ciemności, strzelił raz, potem drugi. Sylwetki napastników zginęły w dymie. Wnet dał się słyszeć odgłos skoków uciekających. Wszyscy przesadzili rów i, rozbijając butami miękkie zagony, rwali w pola. Nim upłynęła minuta, wszystko ucichło. Pan Jan stał na miejscu, dźwigając w górę i opuszczając prawą rękę dla zbadania, czy mu jej w ramieniu nie strzaskano. Ból czuł duży, ale mógł wykonywać ruchy wszelakie. Zimne dreszcze latały mu teraz po krzyżu i straszne uniesienie zaciskało w ręce kolbę rewolweru. Szybkimi krokami, spoglądając naokół, ruszył ku miastu i prędko stanął w alei. Wiatr smutnie huczał między konarami. Idącemu wydawało się wtedy, że to był chyba sen, ale rwanie w obojczyku i zdrętwiałość w palcach mówiły o rzeczywistości aż nadto dobitnie.

Zatrzymał się pod jednym z drzew, wsparł o pień plecami... Ręce jego zwisały bezwładnie, głowa upadła na piersi. Niewymowne jakieś osłupienie, sąsiadujące z głupotą cisnęło mu gardło, jak przed chwilą ręka złodzieja, wydusiło z piersi jęk, a z głowy myśl płonąca mimo wiedzy i woli, podobnie jak płynię łza z oka:

– Tak żeś mię to przywitała?...

Wkrótce szedł dalej i znalazł się w ulicy przedmieścia. Nie spotkał nikogo, ale w domach czuwano jeszcze. Za parkami i okiennicami tu i ówdzie płonęły światła. Na krzywą uliczkę, prowadzącą do miasta, padały smugi blasku, oświetlając liczne koleje, wyłobione w niemałym błocie. Obok prawej połaci domów tulił się przy murach wąziutki chodniczek z kamieni drobnymi i rozkruszonymi. W pewnych miejscach, nad pewnymi rynsztokami, u stóp wiadomych parkanów, wśród najtragiczniejszego bajora trotuarek ginał, jakby ulegając grozie przemagającej siły złego na jednego. W tych miejscach były przecież niejaki szlaki, zwykle gzygzakowate, ale tworzące zawiłe kombinacje skoków, znajomość których ogromnie ułatwiała podróż i chroniła nogi od przemoczenia. Wspominając sobie owe środki komunikacyjne, Raduski trafił na ulicę pryncypalną. Pierwszy urok, jaki wyrwało nań miasto rodzinne, już zgasł. Z ciemnych przecznicy, z placów odległych, uspionych w mroku pod strażą trzech, czterech latarni wiały teraz dawne uczucia. Przypadki z czasów dzieciństwa, w ślad których szły troski, obawy, rozczarowania i zawody, wyłaziły z bram, z czarnych nor, z szyldów, napisów, kształtów domów, rysujących się w nędznym świetle. Rzeczy, które w ciągu tylu lat nie bytności w Łzawcu ulegały zapomnieniu tak całkowicie, jak męki przecierpiane podczas wyrzynania się pierwszych zębów, ożyły w imaginacji i nakrywały sobą wszelkie nowe sprawy i wrażenia. Całe miasto otwierało się przed Raduskim nie w tej szacie uroczej, w jaką je oblekło szczęście powrotu, nie w rzeczywistej nawet swej formie, lecz jako suma dawno startych w pamięci wyobrażeń. Szedł pustymi ulicami, czując w ramieniu dotkliwy ból, a w uszach dwa strzały rewolwerowe. Przed oczami jego rozsnuwała się w mrocznej nocy zgniła kanwa uczuć zdechłych, dawno wyrzuconych z serca i jakby cudzych. Nie wiedzieć kiedy znalazł się na drugim końcu miasta, położonym trochę wyżej. Do dwu długich ulic przyczepione tam było obszerne przedmieście Kamionka. Stanowiło ono jak gdyby małą mięścinę, mechanicznie zrosniętą z Łzawcem. Ostatnie chaty Kamionki łączyły się z wioską bez nazwy, pośrodku której sterczał folwark, wyróżniający się z grona innych folwarków tym, że właściciel jego swój własny dwór odnajmował urzędnikom łzawieckim, a gnojówkę z przed owczarni spuszczał na szosę spacerowo – wyjazdową. Kamionkę zamieszkiwali przeważnie rzemieślnicy najbiedniejszego stopnia, żydzi z minimalnymi funduszami, a wreszcie wszelaka bezimienna i bezklasowa hołota. Z drugiej swej przyfolwarczej części Kamionka reprezentowała maleńki White – Chapel i słusznie była wyklinana przez osoby posiadające rzeczy do skradzenia, w szczególności zaś przez folwark, ozdobiony strumieniem gnojówki. Od szosy, przecinającej to siedlisko biedy, szły na prawo i na lewo małe, zwykle ślepe zaułki między starymi parkanami, w tyle domostw drewnianych, albo i samych chlewików. Nad gromadą rozrzuconych budowli wznosiły się dwie kamienice z czerwonej cegły i oknami swych dumnych pięter z

góry oświetlały sąsiednie dachy. Tę część miasta Raduski pamiętał słabiej, niż inne, to też chętnie skierował tu kroki. Ogólną figurę miejsca, sporą liczbę szewców znał niegdyś osobiście z widzenia i słyszenia, ale rzadko tu bywał, mieszkając na drugim biegunie Łżawca. Teraz szedł środkiem drogi, zatrzymywał się, myślał, wspominał i znowu kroczył dalej. Oto miał przed sobą jeden z błotnistych kątów, przy końcu którego stał dom drewniany z ganeczkiem, rodzaj starego dworu na niewielkim folwarku. Obok tego czerniał drugi, pogrążony w zupełnej ciemności. W pierwszym z prawej i lewej strony ganku okna błyszcząły. Dwa z nich nieco większe ledwo, ledwo zabarwiała lampka nocna.

– Tu mieszkała onego czasu pani Wątracka... – myślał Raduski.

Utrzymywała się z lekcji muzyki po złotemu godzinka... I mieszka zapewne aż do tej chwili poczciwina w dziurawych rękawiczkach, chlubiąca się tym, że raz na własne oczy widziała Moniuszkę...

Z okienka lewej strony domu kuchenna lampa, rzuciła w dziedzińczyk kilka kroków blasku. Raduski zbliżył się, cicho stąpając po błocie, i zajrzał do wnętrza. Tuż przy oknie stała nad balią młoda dziewczyna, a jak się podglądaczowi w pierwszej chwili wydało, młody chłopiec. W głębi ciemnej kuchni mieścił się duży, odpowiednio brudny komin i trochę statków. Jeden kąt stancji zajmowało sosnowe łożysko, przykryte jakimś czerwonym gałganem. W sąsiedztwie pieca wiaderko dnem wykręcone do góry podtrzymywało deskę do prasowania. Rozciągnięta serwetka czy ręcznik, służyła za obrus, na którym leżały: upieczona strucla bardzo skromnych wymiarów, zawinięta kiełbasa, kilka jaj i mały serek. Wszystko to ozdobione było trzema, tu i tam wetkniętymi gałązkami borówek. Dziewczyna przy balii miała może szesnaście, może siedemnaście lat, oblicze brzydkie z zadartym nosem i paskudnymi ustami, na głowie włosy nie czesane pewnie ze dwa miesiące. Korpus jej ciała suchy, jak puszczel, bez piersi, z wydatnymi gnatami obojczyka przykryty był tylko utłuszczonym lejbiikiem w jaskrawe kwiaty. Ten strój pozbawiony rękawów, głęboko wycięty na piersiach i plecach był odsznurowany i ukazywał nagi, zapadnięty brzuch, płaską dekę piersiową, brudną szyję i długie, żyłaste ręce, chude jak u mężczyzny. Ogromne w stosunku do przedramion dłonie pracowicie mydliły i nurzały w czarnej wodzie brudny łachman ze zgrzebnego płótna. Raduski przybliżył się jeszcze bardziej i patrzył na tę pracę. Stara zgryzota, ze wściekłości co chwila przechodząca w szyderstwo, ruszyła się w jego piersiach.

– Kaliban z *Burzy* Szekspira... – szeptał bezdźwięcznie. – Półwierzę, półczłowiek, a właściwie daleko bardziej zwierzę, niż człowiek. Marysia, czy Kasia, nasz kulturalny *Hausthier*, przedmiot do posadzeń o kradzież, na którym robactwo ma wiekiusty serwitut. Patrzajcież! Koszulę sobie pierze, na Wielkanoc koszulę pierze... Nie ma drugiej, z pewnością nie ma drugiej, a na wielkanocne gody któżby śmiał w czarnej koszuli? A tam leży święcone. Po siedmiu tygodniach ścisłego *jejunium* z solą i z olejem, dla oczyszczenia duszy z grzechów, a ciała z pokus diabelskich...

Dziewczyna zlała tymczasem z balii brudną wodę, wchlusnęła z wiadra czystej i jeszcze raz namydliła swoją koszulę. Raduski przypatrując się jej nieruchomym okiem, rozmyślał:

– Wejść do tej sionki, uchylę drzwi, cisnę na środek sto rubli... Albo może zastukam w okno, wywołam ją na dwór i, stojąc w ciemności, dam w rękę. Niech sobie wierzy, że to Pan Jezus zmartwychwstały, idąc po ziemi w ciemną noc tymi stronami, zmiłował się nad nią...

Wyjął z kieszeni pugilares, otworzył jedną ze skrytek i szukał w niej palcami przez chwilę. Potem zamknął go prędko i odszedł z tego miejsca. W myśli jego przesunęło się w ostatniej chwili zdanie: „Jako woda gasi pragnienie, tak jałmużna wysusza grzech” – i dziki śmiech, niby echo zabrzmiał po nim w duszy.

– Więc to i w tej sprawie o mnie chodzi, o moje grzechy, nie o tamtego człowieka...

Wstrzymał się na chwilę i załzawionymi oczami patrzył w jaśniejące okno. Postąpił krok w tamtą stronę i znowu się cofnął.

– Na cóż się zdało?... Uczyniłbym ją tylko winną kradzieży, tym razem znacznej. Jakże nędznym uczuciem jest litość!... Matka jałmużny, która usuwa z drogi naszej widok dręczący czułość, a zarazem silnie podnieca subtelny egoizm ambrozją pewności swych cnót...

Tak myśląc, szedł dalej uliczką i zbliżył się wprost do innego budynku na drugiej stronie szosy. Była to chałupa zapadnięta w ziemię. Okno jej stało na równi z błotem, do sieni zstępowało się po schodach, wyżłobionych w tymże błocie. Duża izba mieściła widać kilka rodzin. W jednym kącie ktoś, mężczyzna czy kobieta, odgradzony koniecznym przepierzeniem z desek, leżał na drewnianym szlabanie. W drugim, obok pieca, za parawanikiem z plecionych prętów, na wspólnym sienniku chrapało zapewne małżeństwo pod obdartą kołdrą watawą. Przy tym ich łożu sterczała komoda z szufladami, widocznie mebel rodzinny... Pod samym oknem na stole, okrytym serwetą w różowe kwiaty, stały dwie „baby”, dużo kiełbas, kiszka, salceson, butelki z wódką, chleb i placki. W głębi siedział człowiek zgrzybiały i, trzymając w lewej ręce dłutko, w prawej młotek, wykuwał litery na marmurowej tablicy pomnika. Wielką jego czaszkę, łysą jak kolano z czoła oświetlał płomień lampki, ustawionej w środku samym płyty. Napis był długi, początkowe litery duże i grube. Raduski nie mógł odczytać tytułów zmarłego do nieśmiertelności, gdyż cały monument wierzchołkiem swoim zwrócony był w stronę okna. Starzec kuł pracowicie. Palce jego lewej ręki były mocno wyteżone, jak gdyby grał na jakimś instrumencie, prawica wznosiła się i opadała stałym, równym, istotnie maszynowym ruchem. W ciszy nocnej słychać było szcęk uderzeń żelaznego młota w stalowe dłutko i ciągły, jakby płaczliwy zgrzyt kamienia. Głowa pracownika tkwiła nad płytą zupełnie bez ruchu, oczu, warg i brody jego wcale nie było widać.

Stojąc za oknem i słuchając szcęku, który zdawał się być podwójnie wrzaskliwym wobec bezwładności osób śpiących, Raduski myślał, jak bardzo biednym jest ten, kogo przyciśnie ów nagrobek. Śmiał się w duszy z tego świadectwa o wyniosłości między łzami, ale i współczucie zdejmowało go na same wyobrażenie bólu, jaki cierpieć musi duch tego nędzarza, jeśli wszystko czuje i wie za światem istotną prawdę rzeczy ziemskich... Piersi jego ciała przywalają tym kamieniem, który nie jest taki ciężki, jak krople potu onego starca, jak jego przekleństwa i niezmierny ciężar wyzysku pracy jego rąk zgrzybiałych. To będzie dowód miłości synowskiej, ojcowskiej, małżeńskiej... Gdy się stamtąd odsunął i szedł środkiem drogi, uderzyły słuch jego wrzaskliwe tony harmonijki, głośnie śpiewy męskie i piski kobiece. Jedna z chałup, której okna zakryto szczelnie czerwonymi firankami, położona na samym końcu przedmieścia, była siedliskiem owej gwarnej wesołości. Raduski rozejrzał się naokół i dostrzegł jedno tylko świecące okienko tuż przy drodze. Był to bardzo mały sklepik żydowski z żelazem. Prawie przy samych drzwiach stała tam szafka z desek, a na niej leżały gwoździe, poowijane w papier, kilkanaście kluczyków, kłódek i trochę starego żelastwa. Pod oknem, na niskim, szerokim stołku garbił się mały chłopiec w barankowej czapie, reperując but z urwaną przyszwą i skoślawionym obcasem. Naprzeciwko niego, z drugiej strony maleńkiego stolika siedział chłopak nieco starszy od szewca, w kaszkiecie i szarym, zniszczonym kubraku. Bosą lewą nogę wyciągnął i oparł na stosie zdartego rzemienia, brodę podparł pięściami i patrzył na robotę szewca, który śpiesznie dźgał zmurszałą skórę szydłem i zawlekał dratwę.

– I *brandzole* całkiem wygniło... – rzekł mały żydziak – i przyszwą się rozłazi. Kiedy ja taki obcas mogę sprostować?

– Ale ty rób, nie gadaj! – rzekł chłopiec w kubraku.

– Żeby majster był, onby może zrobił prędzej, a co ja mogę poradzić? Ty, Szymek, dlaczego nie przyszedłeś wcześniej z tym krypciem?

– Ale wcześniej! Łatwo tobie gębą powiedzieć. Dał nam to pieniądze? O dziesiątej godzinie kazał przyjść do kantoru i to my jeszcze z pół godziny czekali.

– Ty, Szymek, dużo masz roboty w tej fabryce?

– Czy dużo roboty? A żebyś ta spróbował chociaż z dzień, z jeden, tobyś się dowiedział. Tych kuldów to mówię ci, nawet nie czuję od walenia. W ślepie się kamyczki sypią tyle, jak mąka.

Mały szewc westchnął i rzekł po chwili, bijąc młotkiem w obcas:

– Ja bym bardzo chciał tam robić, dlaczego nie. Już nie wiem, kiedy ja chodziłem po świecie...

– Ciągiem siedzisz na tym stołku? A jużci prawda, że kiedy idę, to cię widzę. Skądże ty, Mosiek, skąd, niby ze Łzawca, czy nie?

– Nie, ja jestem ze wsi.

– Z daleka?

– Ona się nazywa, ta wieś, Niemrawe.

Raduski przytknął twarz do szyby i usiłował zobaczyć twarz szewca, ale jej pod wielką czapką nie dojrzał.

– To się ta i ładnie nazywa, Jezus ci Maria. No, a cóż ty ojca, matki nie masz?

– Ojca mam, ale mój ojciec... on głupi jest.

– Jakże to głupi?

– On ma głupią głowę. Lata ciągle bez koszuli, a czasem to i bez portek od wsi do wsi, na pole...

– Ehe... wariat!

– Może być wariat. Czemu nie?

– No a matka cóż robi?

– Co ona może taka matka? Trochę handluje, trochę idzie na robotę, trochę na żebry. W chałupie całkiem paskudna bieda. Tam tych dzieci, moje siostry i braty jest, albo ja wiem, z dziesięć...

– A ten twój majster cóż to jest twój krewny?

– Trochę krewny z moją matką. Ona jemu poprosiła bardzo ładnie, to on mnie wziął do terminu. Ja już cztery lata siedzę na ten stołek: Aj, Szymek, Szymek...

– Cóż on, para, szewc jest choć i ten twój majster, a nigdy go tu nie ma, tylko ty, widzę, zawsze łątasz te buciory. Gdzież on się obraca na ten przykład teraz?

– Cicho, nie gadaj! Co tobie do tego, gdzie on chodzi, co tobie diabli do tego! Ty chodzisz do swojej fabryki, on chodzi do swojego interesu...

– Yhy – ty głupiemu powiedz, do jakiego on interesu chodzi. Ja niby nie wiem! Przecież wszyscy gadają, że to niby sklepik trzyma, buty łąta, a czym innym się trudni.

– Cicho, durniu! Ja ciebie proszę, nie gadaj... Jakby on usłyszał, on by mi łeb obdarł ze skóry!

– Musi on cię prać tego, skoro się tak boisz.

Malec nie odpowiedział i w milczeniu nakładał obcas. Po chwili rzekł:

– Biednemu człowiekowi to każdy bije...

– A choćbyś i poszedł do matki, to cię tylko zło i wygoni?

– Aj, Szymek, Szymek... – cicho westchnął żydziak i przerwał robotę. Ręce jego upadły na maleńki, wklęsły stolik, zavalony szydłami i nożami oraz brudnym, starym rzemieniem. Zsunął nieco czapkę na tył głowy. Wtedy Raduski zobaczył jego twarz piegowatą, z wargami niezmierniej grubości, jakby spuchniętymi, wybladłe policzki i oczy przedwcześnie zapadłe.

– Ale cóż to Mosiek, nie robisz? Przecież nie śpisz!

– Mnie się spać chce, ja już nie mogę.

– Ale... będziesz mi ta bają!

– Szymek, ja już nie będę robił. Ja już nie widzę nic. Mnie w oczach takie czerwone kawałki chodzą... Dla ciebie na moje sumienie ja bym zrobił, ale nie mogę...

– Masz ci teraz! Jutro godne święto, a ten but rozpoczął i kończyć nie chce. Uu... jucho jeden, bo bym cię tak strzelił w zęby, żebyś dopiero wytrzeźwiał!

– Szymek, ja tobie co powiem. Moje buty są całkiem dobre, ja ci ich na święto pożyczę. Ty majstrowi nic nie mów, to on nie zobaczy, bo ja będę siedział w chodakach.

–Ba! A wleżą?

– Co nie mają wleźć! Oni będą trochę za ciasne, ale wleżą na twoje nogi. Ale ty oddasz, na sumienie oddasz?

– Cóż ci to nie mam oddać? Pokaż ino te buty.

– Ty w nich możesz iść do samego kościoła.

– Ale, prawda była! Pójdę do kościoła... To mi psiatreść na amen wyszło z głowy...

– Co takiego?

– No jakże ja mam iść do kościoła w twoich butach? Przecież ty, widzisz, żyd.

– No to co z tego, że ja żyd?

– Nie pasuje, rozumiesz? W żydowskich butach do kościoła nie pasuje. Jeszcze bym oślepl w samo podniesienie, albo ta co...

– Bez co tak? Przecie nie kradzione.

– E... nie kradzione, ale jeszcze gorsze, bo żydowskie. U nas, widzisz, tak: katolik to katolik, – nie ma gadania. Kupiłeś – to insza stacja, to już twoje, katolickie. A w żydowskich butach do kościoła... nie ma, nie ma!

– No, co to szkodzi. Na to jest sposób, ty masz teraz pieniądze, daj mi czterdzieści groszy i weź buty. My sobie powiemy, że kupione. Po świętach ty mi buty odniesiesz, a ja ci oddam pieniądze. Tylko ja się boję, czy ty oddasz te buty... Szymek, ty wiesz on by mi ze łbem obdarł...

Raduski zaśmiał się prawie na głos, gdy stamtąd odchodził. Posunął się jeszcze o kilkanaście kroków dalej. Były tam już tylko place i płoty. Z folwarku dolatywało ujadanie psów. Ból w ramieniu zbudził się znowu, niby sygnał ostrzegający. Raduski zwrócił się ku miastu i szedł teraz środkiem drogi, prędko mijając sceny dopiero widziane. Na duszę jego wionęło jakby zgnile powietrze, śmierć w sobie niosące. Przed nieruchomą żrenicą wszystko teraz rozsypywało się w znikomy proch na podobieństwo kształtów ludzkich, wykopanych w izbach Herkulanum, gdy je wzrok człowieka żywego wraz z żywym powietrzem ogarnie. W umyśle tkwiło jedno jedyne słowo przemierzone i bolesne, mieszczące w sobie cały prawie rezultat myślenia: motłoch. Olbrzymie tłumy żydostwa, zanurzone w niezbadanej nocy ciemnoty, na którą nigdzie nie ma lekarstwa, tłumy chłopstwa, nie tknięte ani jednym powiewem kultury. Przemysł fabryczny, stopudowym młotem druzgocący rzemiosło w tym celu, żeby płodami trudu obdartych tłumów zalać „rynki” bez najmniejszego pożytku dla cywilizacji miejsca, z którego się począł... Motłoch jak był, tak jest sobą...

– Pókiż się będziesz tym zajmował, pókiż będziesz niweczył wiek swój? – ozwał się w Raduskim mięsożerny instynkt życia.

Zebrawszy do kupy wszystkie swe siły, chwycił się z nim za bary, ażeby mu z piersi raz wyrwać starą zgryzotę, która w niej tkwiła, jak grot włóczni Epaminondasa. Ale od razu serce się ścisnęło, jakby nadchodził moment śmierci, a wędrowiec poczuł, że z chwilą wyrwania onego żelaza skonałby, jak Epaminondas. A nie było to przecie po Mautynei... Stał wśród ulicy, wyciągnął leniwie ramiona i czuł, że teraz wsiąka weń ze wszech stron *taedium vitae*. Odejść dokądś, uciec, nie wiedzieć nic a nic, rozplynać się w jakiejś bezmiernej ciepłej kąpieli, spocząć w nicości na wieki, na wieki.

Szedł z wolna, noga za nogą, utykając na dziurach trotuaru. Naokół stała głucha, zupełna cisza. Wtem za murami domów, gdzieś w głębi miasta odezwał się dziwny dźwięk, przeszył powietrze i zginął aż na łonie obłoków. Po nim wyleciał drugi, trzeci... Raduski stanął jak wryty i słuchał. Samotny, wielki, odwieczny dzwon na starej wieży uderzał. O, jakże głos jego cudownym się wydawał! Nie był to sam dźwięk. Było to słowo. Raduski słyszał je uszyna i w dygocącym sercu swym, jak w cieniach nocy wołało:

– Jam jest, jam jest, jam jest...

Niby czarodziejski klucz dźwięk ten otworzył bramy dziedzińców, niby ogień niewidzialny zatlił światła w mieszkaniach. Chodniki zaroiły się od postaci śpieszących co żywo. Słyszeć się dawał wesoły gwar rozmów. Biegły przeważnie służące w chustkach, wlokły się stare babiny, szli mężczyźni, głośno uderzając w kamienie wielkimi butami. Był to właśnie motłoch. White – Chapel Łzawiecki. Jedna z gromadek zabrała Raduskiego ze sobą. Szedł po prostu z innymi, prędko minął ulicę przedmieścia i znalazł się przed oświetlonym kościołem. Wejście główne było rozwarte. W pobliżu wielkiego ołtarza płonęły światła, a wgłębienia łuków, boczne kaplice i zakątki pełne były mroku. Zimno szło z murów i posadzki, wilgoć szklila się na płytach i zaczerpiałym tynku. Gromady wiernych wciąż się zwiększały. Wszyscy prawie od samych drzwi aż do środka kościoła szli na klęczkach ku krzyżowi, który tam jeszcze leżał. Raduski usiadł w jednej z pierwszych ławek i przypatrywał się twarzom, a właściwie ich niewypowiedzianym wyrazom... Na wieży huczały dzwony. Potężna pieśń ich zwiastowała, że Chrystus zmartwychwstał. Raduski opuścił swe miejsce, wcisnął się między tłum i stanął w szeregu. Objął wzrokiem głowę, konającą dlatego, że była upojona świętymi myślami, najczystsze ręce, gwoździami przybite do drzewa za to, że się wyciągnęły przeciwko mocy żelaza, z błogosławieniem tych, którzy płaczą. Dusza dźwignęła się w nim. Prędką minutą skupienia, która była także chwilą głębokiej boleści, dała mu poznać ów zakon, że czuć znużenie i odpoczywać będzie miał prawo dopiero w takim momencie...

II.

Nazajutrz Raduski przebudził się bardzo późno. Gdy skierował wzrok na szyby okien, dostrzegł, że je zmywają cienkie smugi deszczu. Zwłóknął się z łóżka, ubrał i zadzwonił raz, drugi, trzeci... Dopiero po upływie kilkunastu minut ukazał się we drzwiach młody chłopiec z głową wysmarowaną sadłem czy słoniną, umyty, obleczony w czystą koszulę i strój świąteczny.

– Macie tu na dole restaurację – rzekł do niego Raduski .

– A jakże, mamy.

– Przyniesze mi herbaty, jaki kawałeczek mięsa, bułek, odrobinę masła...

Chłopiec patrzył na niego wylupiastymi oczyma.

– Cóż się tak martwisz, obywatelu?

– A bo, proszę łaski pana, jakże ja przyniosę herbaty i kawałeczek mięsa, kiedy restauracja zamknięta?

– I czemuż to?

– No, przecie święto...

– Prawda... święto. Ale gdybyś tak spróbował, może tam będzie samowar nastawiony, to byś i mnie po starej znajomości... Szklaneczkę herbaty – o więcej nie będę się napierał.

– „Numerowy” wykręcił się i z wolna przymknął drzwi za sobą w sposób, który świetnego rezultatu nie obiecywał. Raduski dokończył ubierania się, siadł na małej kanapce i czekał. Upłynął kwadrans jeden i drugi, a chłopca nie było widać. Dopiero na odgłos dzwonka zjawił się z miną zafrasowaną i oświadczył, że ze śniadania nic nie będzie.

– Pan w kościele, pani to samo, ani kucharza, ani Franciszkowej, lokaje się porozłaziły. W kuchni ognia całkiem nie ma. Proszę łaski pana – święto.

– Prawda i to jest. No a może ty wiesz, gdzie by tu na mieście można coś zjeść, bo jak w tym sposobie ze trzy dni u was będę świętował, to, uważasz radca, kopyta wyciągnę. Nie wiesz o takim?

– W mieście?... E... w mieście to ja nie wiem... Ja tu dopiero dwa miesiące.

– Dwa miesiące. No a starszego numerowego nie ma tutaj u was?

– Jest starszy, Walenty, ale poszedł to samo do kościoła.

– A może jest kto inny, kto by mi objaśnił?

– Chyba by pan *portier*, co jeździ na kolej, ale to nie jego dzieło.

– A on tutejszy, dawno już tu mieszka?

– Chyba że dawno.

– Stary, młody?

– O, już o latach.

– A to go proś do mnie. Powiedz, że mam pilny interes. Nie będzie żałował fatygi. Idźże i powiedz, że go sobie proszę na momencik.

Służący wyszedł, a po upływie chwili czasu stukano we drzwi. Wsunął się do numeru człowiek stary, szeroki w ramionach, suchy, zwiędły, z twarzą i czaszką obrosłą mocno szpakowatym i krótko przyciętym włosiem.

– Pan dobrodziej sobie życzył?... – rzekł mierząc Raduskiego iście hotelowym wejrzeniem, niby to schlebiającym, a w gruncie rzeczy tylko badawczym i taksatorskim. Ręką trzymał się klamki, jakby na znak, że konferencja długo trwać nie powinna. Z warg jego nie schodziło zamglone oskarżenie: nawet dziś nie możesz mi dać chwili odpoczynku.

Raduski bystro i uparcie przypatrywał się twarzy starego, a wreszcie rzekł:

– Nie wiem, czy mi się zdaje, ale ty jakby pan Żopołowicz...

– Tak, jestem Hipolit Żopołowicz... do usług... – mruknął szwajcar, błyskając okiem spod brwi nasepionej.

– Cóż pan u stu diabłów robisz w liberii hotelowej?

– Służę, proszę pana, za portiera.

– Bój się pan Boga, cóż to ja słyszę? Przecież pan miał w rynku ogromny sklep, jeden z największych sklepów korzennych w Łzawcu. Jak dziś pamiętam!

– Miałem sklep – rzekł Hipolit Żołopowicz – ale go już nie mam.

– Cóż to się stało?

– Zwykła rzecz w naszym kupieckim stanie: *zbankrutowałem*.

– Jakże i tak zupełnie, żeś pan musiał wziąć miejsce portiera?...

– Ale... żeby tyle... Proszę pana, to miejsce ledwo, ledwo udało mi się dostać. Co się zaś tyczy bankructwa, to nie wyszedłem jeszcze na czysto. Jeszczem ludziom winien. Nie dużo tego, a przecie jest to temu, to owemu...

– Szczerze panu współczuję... – rzekł Raduski, wyciągając rękę.

Żołopowicz schylił się i nie podawał swojej, mamrocząc:

– Pan dobrodziej łaskaw... Nie wypada, żebym... jako niby służący...

– Wstydzili byś się pan! Byłem tylim knotem, kiedy u pana kupowało się chleb świętojański, cukier lodowaty i lukrecję w patykach. Pan mię, naturalnie znać nie może, ale ja z tych stron. Ojciec mój trzymał w dzierżawie niedaleko stąd folwark Niemrawe.

– Pan Raduski z Niemrawego... Ehe... Pan Raduski... Znałem, proszę pana, nieboszczyka rodzica. Pamiętam... Dawne to czasy. Brał u mnie na święta czy tę bakalię, czy cukier, czasami nawet garniec wina. A pan dobrodziej skądże do nas?

– O, ja z daleka.

Żołopowicz patrzył na niego swoimi zimnymi oczyma i milczał. W spojrzeniu malowała się taka ciekawość i odrobinę niechętnie zdziwienie, jakby oglądał albatrosa z wyspy Borneo, fokę czy krokodyla.

– Masz pan chęć, panie Hipolicie, to usiądź ze mną na chwilę i pogadaj. Miło mi pana widzieć... szczerze to mówię. Już tu ani w Łzawcu, ani w okolicy nikogo nie mam. Wszyscy moi pomarli, a pana z dzieciństwa pamiętam i pierwszą twarz pańską widzę znajomą z dawnych czasów. Ale, ale – jeść mi się chce siarczyście, a tu, podobno, nic kupić nie można. Może byś mię pan oświecił, jak się dostać do restauracji?

– E... a to przecie pan dobrodziej nie wzgardzi przy tym dniu. Choć ja dzisiaj i portier, ale pan dobrodziej święconym jajkiem nie wzgardzi. Czyżby tu przynieść?...

– Dajże pan pokój! Choć to będzie wyglądało, że się wprosił do pana, ale pójdę z przyjemnością. Chodźmy!

Żołopowicz poprowadził Raduskiego, zabiegając mu przy każdych drzwiach z prawej i lewej strony. Zeszli na dół, minęli sieni wjazdową, dziedziniec i znaleźli się w przejściu bardzo czarnym. Stary otworzył drzwi i wprowadził swojego gościa po kilku schodkach do izdebki małej i wilgotnej. Stało tam łóżko żelazne, niewielki stolik, nakryty obrusem i zastawiony święconym. Ex-kupiec postawił przed stolikiem jedyne krzeselko, usadowił Raduskiego, a sam zajął się odkorkowywaniem jakiejś butelki. Pan Jan wodził wzrokiem po wilgotnych murach izby, patrzył przez okno, umieszczone tuż pod sufitem, na kury z cichym krakaniem defilujące za szybami. Żołopowicz lał szczerze koniak w kieliszki, wziął w ręce talerz z jajkiem i wyrażał rozmaite pragnienia, z których połowa co najmniej tonęła w sapaniu. Raduski życzył mu wzajem wszystkiego dobrego i wnet zapytał:

– No, a teraz gadajże mi, kochany panie, jakimi sposobami zważyło się bankructwo.

Stary, tknięty w otwartą ranę swego serca, ruszył się prędko, nalał sobie drugi kieliszek, rzucił w gardziel zawartość jednym kiwnięciem dłoni i mówi:

– Pierwsza przyczyna to jest ta hyclowska kolej!

– Jaka?

– A dyć ta czuła kolej, łzawiecka.

– Nie rozumiem! Przecie wraz z takim środkiem transportowym wzmaga się no... życie przemysłowe...

– Życie przemysłowe... – powtórzył były kupiec, jakby się tego wyrażenia uczył na pamięć. – Czy się tam ono wzmogło rzeczywiście, to ja nie wiem, ale że my wszyscy beknęli za to baranym głosem, to jest święta prawda.

– No – ale dlaczegóż?

– Dlatego, proszę pana, że dawniej Łzawiec to była stolica na półtorej guberni. Innego miasta nie mamy przecie. Wszystkie towary do małych miścin szły od nas. My stawiali ceny. A nie chcesz, mówili my, to wal sam do Warszawy, prowadź frachtem towar do swojej Koziej Wólki. Ot! Wszystka szlachta, każdy człowiek, co się ubierał i jadł lepiej, ze Łzawca brał but, *kalto*, surdut, futro, czapkę, ze Łzawca wiózł do siebie artykuł *kolonialny*. Pan tu był w szkołach, to pan dobrodziej musi przecie wiedzieć, że na ten przykład Drzewieńska ulica to było siedlisko samych a samych szewców łzawieckich. Warsztat stał przy warsztacie, majster siedział przy majstrze, a u każdego po czterech, po sześciu czeladników i nie potrzeba panu memu objaśniać, co to za buty ci ludzie formowali. Jak Wincenty Krupecki zrobił grube buty nieprzemakalne, to aus! Ten myśliwy mógł se dzień stać w bagnie po kolana i skarpetkę miał suchą.

– To prawda.

– A właśnie. Teraz cóż się stało? Krupecki szewc jeszcze Bóg wie z jakich czasów, niktby nie zgadł, co robi. Uwierzy pan dobrodziej? Pod kościołem, na żebranym chlebie. I nie można powiedzieć, żeby znowu pił ekstra... Drugi, Jan Widział, chła ordynarnie gorzałkę i siedzi na łaskawym chlebie u brata, co tu w Kamionkach ma posesyjkę. Waliszkiewicz ten się trzyma jeszcze z chłopcem, ale prawie mrze głodem.

– No – no...

– A na tej samej Drzewieńskiej ulicy teraz sklep przy sklepie! Żydki, nie żydki „warszawskie” obuwie prezentują za tyłośnemi szybami. Trzewiczki, jak ulał, kamaszeczki, jak się patrzy. Tanie, śliczne. A że się we dwa tygodnie rozlążą, to cóż to na to poradzić? Życie przemysłowe.

– Widzi pan, panie Żopółowicz, wielki przemysł ma to do siebie...

– To samo z krawcami. Przepraszam pana dobrodzieja, że nie słucham i sam gadam... To samo z krawcami i kuśnierzami. Tu pan dawnego człowieka nie zobaczy. Wszystko nowe, a złodziej na złodzieju!

– Ij – cóż to znowu.

– Panie, szczerze mówię, że nic nie kłamię. Złodziej na złodzieju.

– No, a cóż ze sklepami korzennymi? Pan straciłeś, ale przecież byli tu rozmaici. Przypominam sobie sklep Helblinga, Barsztynowicza, panien Siepalskich...

– Proszę pana łaskawego – to jest długaśna historia. Helbing umarł, między nami mówiąc zapił się. Ale już sztuk czasu przed śmiercią robił bokami, jak koń napalony. Skoro tylko zamknął oczy, baba jego, niby, mówię, żona, dawaj się w dwójnasób malować, a interes zwinęła i odstąpiła subiektowi starego Helblinga, Gwaździeckiemu. Ten towar kolonialny prawie usunął a za to podniósł do wielkiego stopnia wyszynk piwa i gorzały w przyległych pokoikach. Mówią, że mu setnie idzie. I pewnie prawda. Szynek to zawsze idzie. Co się tyczy Barszta, ryżego, to ten, licząc na pieniądze, jeszcze gorzej wyszedł ode mnie. Za to dzieci wyedukował fest, a teraz se siedzi u syna, u doktora w Warszawie. Z panien Siepalskich nie ma dymu, ani popiołu. To taką sztukę zrobiła z nami ta kolej, to życie przemysłowe, te filie banków. Ja wylazłem obrzydliwie. Nauki żadnej człowiek nie miał, szczerze powiedzieć. Z chłopca w knajpie wyrosłem na kupca pierwszorzędnego, a z kupca na odźwiernego. Liczyli mię na parę kroć, kiedy się ta kolej zaczęła. Otworzył się tani kredyt. Akurat mi dwie córki dorastały, synek był z klas wypędzony. Słałem toto wszystko do Warszawy na pierwsze pensje, płaciło się drogich profesorów. Tymczasem zaszedł nam wszystkim z jednego boku wielki sklep akcyjny, z drugiej strony żydki. Obrót był u mnie coraz mniejszy, boć nasze sklepiska z tym łzawieckim *bonmarszem* równać się przecież nie mogły. Córki zjechały z pensji i dawaj mi kolki

na łbie ciosać: a mieszkanie, a meble, a fortepiany, a konie, a jakieś malowane obrazy. Wyzaczyłem był dawno posagi... czterdzieści tysięcy każda. Zaraz się też przystawił kawaler, niby to wielki aferzysta z Łodzi – i nabrał mnie. Wydaliśmy za niego starszą, Łuckę, sypnęliśmy gotówką, a on też nie miał przecie nic pilniejszego, jak toto chlasnąć. Wziął się niby to do fundowania wielkiego interesu, ale blaga była... *Ciort* go ta zresztą wie, dość, że przelajda-czył wszystko i koniec. Młodsza nie zasypiała to samo gruszek w popiele. Z jej pieniędzmi już mi szło diablo ciężko, a trzeba się było stawiać. Brałem z banku i brałem, a te nic, tylko bał za balem, do Warszawy, do Krynicy. Upodobały sobie świeże powietrze i musiałem wilę stawiać. I, panie najmilszy, ja stary, com od dziesiątego roku żywota przywykł brać w łeb kuflem z ręki gościa, com własnym ciułaniem na subjektowstwie uskładał tyli fundusik, że można było sklepiczynę założyć, ogłupiałem na śmierć: powozem trzymał, foszmana w kapeluszu i w tym powozie jeździłem tutaj, w tym samym Łzawcu. Sześci lat nie wyszło, a jużem walił na dno. Jak mi zaprotestowali weksle, okazało się, że bankrut. Zaszedł komornik... no i ocknąłem się na ulicy w jednym surducie. Żona z młodszą córką i z synem pojechała do Korbów, niby do zięcia, złapawszy co się dało, ale to... co się dało, a ja zostałem. Jeszcze są małe długi to temu, to owemu...

– O, smutna historia – rzekł Raduski, jedząc szynkę z octem i chrzanem – bardzo smutna.

– Jak szlachta robiła takie sztuczki, to ludzie wrzeszczeli w niebogłoso: a marnotrawcy, a lekkoduchy, a tacy, a owacy! Dzisiaj, panie, kupiec, liczykrupa, co grosz do grosza zarabiał na pieprzu i na rodzynkach – to samo. Szlachcic teraz okropnie zmądrzał. Już tam balów nie wydaje, karet nie trzyma, córek do Warszawy nie śle, jeden do drugiego na szklankę herbaty nie jeździ. A bo to tyle... – wrzasnął raptem, błyskając oczyma krwią nabiegłymi. – Człowiek w dostatku to jest, jak ta, uczciwszy uszy pańskie, sobaka. Przecie ja, panie, utrzymankę miałem tutaj, we Łzawcu. Moda taka była między nami, pierwszym kupiectwem, żeby każdy...

– No tak, to są już sprawy uboczne. Wspomniałeś pan o sklepie akcyjnym. Skądże to się wzięło?

– Jak mam o tym rzec słowo, to mię to ściska obcęgami. Sklep akcyjny... Ano, wziął się u nas z niczego. Był tu taki inżynier przy budowie kolei, pyskacz na osiem pokojów. Co ten miał w paszczęce i w tym języku, to ja nie wiem... Każdemu człowiekowi wygadał w łeb, co tylko chciał. On tu całe miasto przewrócił do góry nogami. Ile było zamożniejszych ludzi, ze wszystkimi się zamamrał i podbechtał do ufundowania sklepiku. Zrazu tam miało być tylko samo żelazo i to dla chłopów, żeby ich przecie moški nie oszukiwały na kosach, na okuciu do woza i tak dalej. Potem przyrosła ni z tego ni z owego do żelaza – herbata, a do herbaty znowu nieduże samowarki, czajniki fajansowe, szklanki, łyżeczki. Nie opatrzyli my się, aż tu gruchnęło, że już w sklepie sprzedają mąkę i krupy. Rozpisali akcje po dwadzieścia rubli i prawie całe miasto przystąpiło do tej historii. Dzisiaj pies kulawy nie zajdzie do innego sklepu, bo tam, nie można powiedzieć, wszystko pierwszy sort, obsługi chmara i czego tylko zadasz – wszystko na miejscu. Głównego subiekta mają diabła takiego, że żaden z naszych nie mógłby się z nim równać. No i obracają takim kapitałem, że mi we łbie trzasło, jak tu jeden kolega cyfrę pokazał. I co się stało – nie tylko my, ale same żydy wyginęły. Był tu Berek Lanckoroński, miał sklep duży z żelazem, to musiał całkiem ze Łzawca umykać. Nie oparł się, a że gdzieś w Łosicach. Tam teraz handluje swoim towarem.

– Smutne są dzieje pańskie, drogi panie Żołopowicz, ale z drugiej strony ten sklep akcyjny nie zasługuje na potępienie...

– Nie zasługuje na te... Wie pan dobrodziej... powiem, jak przy świętym konfesjonale: żeby był stary Helbling nie umarł, to by on tego inżynierzynę Baumana trutką zgładził. Bo to prawdziwie ten pies Bauman ukartował naszą zgubę. Helbling był mądry kupiec – ho ho... My się wszyscy, jak barany, cieszyli w trakcie wymierzania pod kolej, a ten tylko się uśmiechał diabelskim manierem i mrucał: będziecie wy jeszcze inaczej śpiewali. No i stało się.

Panie szanowny, racz pomyśleć, co to było zlecić z tylego bogactwa aż do tej nory. Przecie u mnie tu w piersi wszystko żalem porżnięte, jak nożem. Wierzy pan, że dla mnie czy tłuc się na stację za tym starym klekotem, czy wziąć i skoczyć do pierwszej lepszej studni, taka jedność, że to... Słowem wymówić...

– Mój panie – rzekł Raduski, patrząc na niego przygasłym i zimnym wzrokiem – powiedzcie mi jeszcze tę rzecz: masz też pan jaką nadzieję wybić się znowu, zrobić pieniądze, czy nie?...

– Żadnej! Oho – ho-ho... Poszło! Jakaże to nadzieję? Tak jakbym z gębą i uszami w ziemię zakopany.

– A chciałbyś pan jeździć po tym Łzawcu karetą i trzymać aktorkę?

Stary rzucił zezem ostre spojrzenie i coś, niby rumieniec, prześliznęło się na czerstwej, szarej skórze jego policzków.

– Teraz bym już takich rzeczy...

– Daj pan pokój! Co tam będziemy o tym gadali... Ja ze swej strony dołożę jedno słowo, chociaż ono wcale pana nie przekona. Zostaniesz taki sam, jak jesteś, tak samo zmartwiony, aż do śmierci, ale ja to powiem, bo tak, a nie inaczej rzeczy widzę. Czyś pan był szczęśliwy wtedy, jakieś pan jeździł na gumach? Nie. Pieniądz daje mnóstwo uciechy w życiu, ale też akurat tyle, a czasem więcej niż uciech niesie ze sobą zgryzoty. Jeździć powozem, trzymać duże mieszkanie, służbę, oddawać córki na pensję, a cytryny za podwójną cenę kosztu, to robi byle facet. Ale spaść z dużego lokalu na pierwszym piętrze do bardzo ciasnego w antresoli i drwić sobie z takiej maskarady, tego pierwszy lepszy kiep nie potrafi. Jeśli nędzny aktor gra w teatrze główną rolę, to wszystkich nudzi i złości – ale gdy znakomity artysta gra najpodrzedniejszą – wtedy dopiero sztuka idzie. Jesteś pan teraz w gronie ludzi pracujących, ludzi porządnych, na których świat stoi – i czego pan u diabła masz kwękać...

– E... łatwo panu mówić... – rzekł Żołopowicz ze wzgardliwą niechęcią. – Sam pan przecie stanął w pięknym numerze, nie w antresoli, nosi pan ubiór doskonały, nie kacabając...

– A no bo my wszyscy powinniśmy mieszkać czysto i ciepło, chodzić w kortowych ubraniach, nie zaś w gałganach.

– To też to... racja fizyka...

– Ale jakże możemy przyjść do tego, kiedy pasibrzuchy z głupoty dają bale za balami, jeżdżą karetami, dla mody utrzymują próżnujące dziewczyny i w takie oto bagna ciskają nasze pieniądze.

Portier odął wargi, umilkł i siedział z zasepionymi brwiami.

Raduski czuł, że mówi, jakby do słupa wiorstowego. To też urwał tę gawędę, podziękował za gościnność i wyszedł. Z ulicy wrócił się raz jeszcze i spytał:

– Drogi panie, kto tu we Łzawcu mieszka z młodych lekarzy?

Stary wymienił parę nazwisk.

– A z adwokatów, z młodych? Nie ma tu czasem Koszczyckiego?

– A jakże, jest. Mieszka na Frontowej ulicy w domu Millera.

– Józef Koszczycki? Nie wie pan, Józef?

– Zdaje mi się, że Józef.

Raduski pożegnał go ruchem głowy i zamknął drzwi.

III.

Wprost z hotelu „Imperial” udał się na ulicę Frontową. W drodze obejmował marzeniami lata przeżyte z Koszczyckim, ową izbę niezapomnianą, gdzie się z Warszawą rozstał. Gdy przychodził do refleksji, że za niedługą chwilę ma zobaczyć twarz człowieka z tamtych czasów, twarz samego Koszczyckiego, głębokie drżenie wstrząsało jego sercem. W ulicach snuły się gromady ludzi bogatych i biednych. Wszyscy mieli oblicza rozjaśnione, niektórzy bardzo wesołe, a trafili się i może cokolwiek nadto uśmiechnięci. Wiatr przycichł, deszcz ustał i ciepła, rozmarzająca, senna wiosenka błąkała się między murami.

Na ulicy Frontowej Raduski już z dala spostrzegł szyld: Józef Koszczycki, adwokat przysięgły. W sieni widać było drzwi z tym samym napisem, a obok drut zardzewiały i drewnianą rączkę dzwonka. Przed progiem leżała słomianka zdeptana, jak niedola i czarna od błota.

Raduski maszerował wielokrotnie, chwycił rączkę dzwonka, lecz za każdym razem cofał się i puszczał w defiladę po ulicy, nie mogąc wydobyć z siebie odwagi. Bezpośrednich, towarzyskich, przyjaznych stosunków z ludźmi nie miał tak bardzo dawno, że rozpanoszyła się w jego naturze zupełna dzikość, jakiś lęk wewnętrzny wobec spojrzeń i pytań, chociażby i bardzo życzliwych. Z drugiej strony, w samotności, nie zmaconej latami przez nikogo i nic – myśli, wyobrażenia, uczucia i odruchowe afekty zrosły się w całość tak zwartą, jednolitą, tak silnie indywidualną, że właściwie nie znosiła obecności, oraz przejawów cudzych uczuć i myśli. Nad tym wszystkim zresztą panowało nieokreślone wzruszenie, trwoga przysercowa, tłumiąca decyzję.

Po długotrwałych marszach i kontrmarszach w pewnej okolicy trotuaru, po wyczerpaniu wszelkich momentów i kresów, naznaczonych samemu sobie, targnął wreszcie rączkę dzwonka. Cienki głosik przebrzmiał w głębi mieszkania i nikogo, widać nie przywołał. Gdy upłynęła długa chwila czasu, Raduski zadzwonił śmieiej i głośniej. Dało się słyszeć głuche stąpanie kroków, zgrzyt klucza i drzwi otworzono.

– Pan Koszczycki jest u siebie? – spytał młodej dziewczyny w lejniku, która patrzyła na niego wytrzeszczonymi oczyma.

– Ajno, jest.

– Można się widzieć?

– Można.

Zrzucił okrycie, minął długi, wąski, mroczny korytarz i wszedł do salonu. Był to wielki pokój o trzech oknach. Firanki ze ślicznie wyhaftowanym monogramem J. K., obramowane wspaniałym pluszem, zasłaniały szyby, puszczając na salon światło przyćmione. W środku siarczyście woskowanej posadzki leżał ogromny dywan i stały banalne wykwintne meble. Stół przykryty kapą dźwigał albumy z fotografiami i lampę z pięknym kloszem. W rogach kryły się mniejsze kanapy, fotele, stoliki. Wprost okien wisiła paskudna kopia z jakiegoś ucznia Guerin’a czy Pussin’a, malowidło do cna zczerniałe, z jedynie widzialną czerwoną łydką kobiecą i podpiętą grecką tuniką.

Raduski zatrzymał się przy pierwszym oknie i patrzył na sadek tuż leżący. Ziemia okryta jeszcze była suchymi liśćmi, ułamkami gałązek przez wiatr strąconych, ale już ktoś jedną rabatę rydlem był skopał. Dalej ciągnęła się wąska uliczka między grubymi pniami drzew, pełna rzadkiego błota, w którym pływały się jeszcze rozmiękłe szczątki lodu.

Drzwi sąsiednie cicho skrzypnęły i ukazał się w nich mężczyzna blisko czterdziestoletni, wysoki, kościsty i zwiędły. Czarne włosy nad jego czołem były już przerzedzone, w ciemnej, spiczasto przyciętej brodzie plątały się gęsto białe nitki. Oczy przeszywające i jak brylanty migotliwe bystro patrzyły z pod brwi zsuniętych, pięknych, prostych, jak dwie linie.

– Raduski... – rzekł pan Jan, nie ruszając się z miejsca.

– Co ja widzę? Jaś! Krzyknął Koszczycki, rozwierając ramiona. – Chłopie kochany jak się masz!

Objął go mocno i ucałował. Po chwili wziął go za ręce i wstrząsnawszy je raz koło razu, mówił:

– Jak mi Bóg miły! To ta małpa... Właśnie kilka dni temu ktoś mnie pytał o ciebie... Zraz...czekajże... któż mi to pytał o ciebie? Nie mogłem nic powiedzieć, bom i nie wiedział ani tyle. I cóż u ciebie słyszać?

– A no wracam.

– Prawda, prawda...

Cień zasępił twarz Koszczyckiego i jakby zimnem tchnął na obydwu. Przeszli do sąsiedniego gabinetu, który pełnił obowiązki kancelarii adwokackiej. Był to pokój niewielki, ciemny. Proste biurko, dźwigające pliki papierów, stało przy ścianie. Dookoła wyciągnęła się długa, czarna ława. W szafie bez szyb leżały i stały książki, przykryte dość dużą opończą pyłu.

Koszczycki siadł na drewnianym fotelu przed biurkiem, gość na krzesło wyściełanym. Zajrzeli sobie w oczy jeszcze raz, uśmiechnęli się do siebie... Ani jeden, ani drugi nie mógł sformułować zdania, któreby teraz pasowało. Sam tylko wzrok przybysza cieszył się widokiem kamrata z lat dziecięcych, obejmował to samo piękne czoło, wydatny, chrząstkowaty nos, ściśnięte usta i śmiałe, płomienne źrenice...

– Myślisz osiąść tutaj w Łzawcu? – spytał wreszcie Koszczycki.

– A tak.

– Chcesz zapewne szukać jakiego zajęcia?

– Rozumie się, coś będę majstrował.

Mówiąc te słowa, Raduski patrzył w oczy kolegi z usiłowaniem odnalezienia w nich wyrazu przyjaźni z chwili powitania. Nie było go tam już, a raczej był schowany w prędkich, dziwnych błyskach.

– Jeżeli ci mam wyznać szczerze, to żałuj, żeś obrał na mieszkanie tę dziurę. Trza było niezwłocznie do Warszawy! Tu we wszystkich strefach, które ja znam, takie stosunki, że prawdziwie, z ręką na sercu, radziłbym ci wcale nie próbować. O posadę, chociażby tyłą, trudno tak, że to przechodzi ludzkie wyobrażenie!

– Ja miejsca płatnego na razie nie będę szukał... – rzekł Jan. – Mam pewien fundusz, który mi pozwoli żyć tak. Właściwie zaś myślę o jednym przedsiębiorstwie w Łzawcu...

Koszczycki oglądał swe paznokcie i milczał. Gdy podniósł oczy, Jan uczył w sercu nieprzewidziany smutek, prawie taki sam, jak wówczas, gdy za miastem otrzymał uderzenie pałą.

– O, jeżeli masz jakiś fundusz, to tu interesy można robić... – rzekł adwokat. – Zależy, rzecz prosta, od wysokości kapitału. A ty na czymżeś, brachu pieniądze zrobił?

– Nie zrobiłem, niestety, tylko dostałem w spuściźnie po stryju, który, może pamiętasz, gdym był w sztubie, raz mi przysyłał trzyrubłówkę na miesiąc, to ją znowu za rozmaite przewinienia konfiskował. Kiedy poszedłem do uniwersytetu, ujrzał we mnie tyle win, że mnie znać nie chciał, później wyklął i wydziedziczył, a koniec końców, umierając przed trzema laty, zapisał mi całe swe dobro.

– No, a dużo tego? – zapytał ciekawie Koszczycki.

– Po sprzedaniu gruntów, rudery, gratów *et caetera* okazało się jakieś z górą dwadzieścia tysięcy rubli.

– E... bracie! Z takim pieniędzem to tu możesz zacząć, jaką chcesz sztukę i dorobić się... Ja w tem! Uważasz? Ja w tem! Ale... ale... chodźże, przedstawię cię żonie.

Żywo porwał się z krzesła i ciągnął gościa do wspaniałej sali. Na chwilę zniknął w drzwiach sąsiedniej komnaty i wyprowadził stamtąd żonę swoją, młodą, ładną, tłustą blondynę. Była w stanie odmiennym i to ją żenowało w chwili, gdy mąż przedstawiał jej Raduskiego. Zmieniła też z tym ostatnim kilka ledwie grzecznych frazesów i pod pretekstem przyrządzenia jakiegoś barszczu wielkanocnego wysunęła się z salonu.

– Nim się podzielimy święconym jajkiem, braciszku drogi, musisz mi wygadać o sobie wszystko – od *a* do *z* – mówił Koszczycki w tonie wielce przychylnym.

– Moje życie nie jest wcale ciekawe, nie interesujące. Całą historię można zawrzeć w trzech, czterech zdaniach, ale tyś mi winien opis twego życia. Idzie ci, chwała Bogu, dobrze?...

– Nie mogę powiedzieć – idzie nieźle... – rzekł Koszczycki, wjeżdżając na tor właściwy teraz dopiero. – Ożeniłem się... – mówił z nieporównaną swadą ludzi, którzy kochają się w malowaniu dziejów ich żywota bez względu na to, czy one choćby w części są tak bogate i godne przytaczania, jak życie tych, którym je prezentują. – Ożeniłem się, uważasz pięć lat temu, wziąłem za magnifiką kilka tysięcy papierów, urządziłem budę. Oto jest główna sprawa. Dziś, braciszku, mam w Łzawcu tak zwaną śmierdzącą klientelę: żydów, chłopów, łapserdaków, ale za to... prawie wszystkich.

– Patrzajże!

– No, tak. Zgarnąłem z przed nosa starym ananasom, palestrze osiwiącej i ołysiającej między tymi murami – wszystko co się dało. Kiedym tu przyjechał i po dwu latach dependowania u boku jednego augura, porwał się na otwarcie własnej kancelaryjki za pięćset rubli Mośka Jupitera – oni mi włożyli za pazurki... Hoho... nie masz wyobrażenia, com ja z nimi przeszedł! We łbie mi siedziały idee żakowskie, skrupuły, przeszkody względy, sympatie i antypatie. Toteż miałem na kupie kilkadziesiąt rubli dochodu rocznego. Włożyłem w długi po kostki. Rozpacz mi się łba czepiała... Ale Bóg strzegł. Na dependzie i przez cały czas własnej praktyki zbadałem dostatecznie palestrantów i oświeciłem się cokolwieczek. Zacząłem ja, uważasz, inaczej rzecz prowadzić. Postanowiłem zrobić dwa kroki naprzód, a mianowicie: sypnąć od razu groszem między agentów – to raz, a drugie – brać sprawy, jakie tylko są na placu. *Dictum – factum*. Wtedy właśnie trafiła mi się dosyć śliska historyjka kryminalna. Pewien żydek miał nieszczęście przyspieszać zbyt wyraźnie zgon swego współnika... Głośna heca... możeś nawet słyszał. Dowody były bardzo, bardzo skaczące do ślepiów. Przylazła do mnie żona tego Drejhafta, zaczęła molestować... Wziąłem ja tę sprawę. Wpatrywałem się w nią uważnie, ze wszystkich boków – i jakim ci, braciszku, wyrznął mowę w okręgowym, tak tego bestię całkiem uwolniono. Absolutnie uwolniono! Od tej pory drzwi się nie zamykają...

Raduski siedział uśmiechnięty, od niechcienia rysując palcem zagadkowe litery w cienkim pyłe na powierzchni stołu.

– Prawdziwie... Ale to wpadłeś na doskonałą myśl zdobycia klienteli... – rzekł z cicha. – Dużo też rocznie zarabiasz?

– Zarabiać zarabiam tak... po trzy, cztery do pięciu...

– Tysięcy?

– No, przecie nie kopiejek.

– Bagatela.

– Widziałeś pod banhofem duże chałupsko na ukończeniu, ceglane, dwupiętrowe? To moje, uważasz pan... Tobie bym nie radził w tam gmerać. Ambarasu po dziury w nosie, a procent będziesz z tego miał licho wie kiedy...

– Ale rozumie się! No a cóż na to wszystko palestra, osiwiąta i ołysiała między murami?...

– Ba, ba! Mieliśmy z palestrą wojnę, spiczaste wyjaśnienia, zerwanie stosunków, polepszenie stosunków... Teraz jesteśmy w stadium cichego, acz uprzejmego kopania dołów. Naprzód, kiedym żył skrupułami i chodził ze srogą dziurą w bucie, traktowano mnie z życzliwym współczuciem, jak miłego szczygiełka o ładnym upierzeniu. Po wygranej sprawie Drejhafta, rzucili się na mnie, jak na dzikiego tygrysa, z czym kto mógł: z oszczerstwem, z plugawymi kłamstwami, ze wzgardą, z udawaniem, że na świeżym powietrzu nie dostrzegają moich ukłonów, a w salonie wyciągniętej ręki. Rozumiesz to?

– Rozumiem, Dłaczegóż nie miał bym?...

– Skoro zauważono, że u mnie pode drzwiami wystają tłumy żydów, chłopstwa, wezwano mnie na „zebranie koleżeńskie”.

– Na zebranie koleżeńskie?... Jednakże!

– Tak! – mówił Koszczycki, z całej siły ściskając ramię przyjaciela i wysuwając na bok dolną wargę. Oczy jego świeciły się pod zsuniętymi brwiami zimnym, nie płonącym blaskiem, jak fosfor w ciemności; złowrogi uśmiech dźwigał krótkie wąsy i odsłaniał szereg białych zębów. – Wezwano mnie na zebranie... A... poszedłem! Wdziałem czarny tużur, czystą koszulę, nowy krawat, uczesałem się i poszedłem. Najstarszy z palestrantów, moczynos Skórkiewicz, zwrócił się do mnie, jako przewodniczący w imieniu całego gremium, uważasz? Z braterskim napomnieniem. Prosił, w imieniu tego gremium, o zaniechanie moich praktyk i mojego sposobu działania – w imię... etyki. Wiedziałem bardzo dobrze, iż owo słóweczko e t y k a wylezie staremu krętaczowi z gardła, żeby tam nie wiem co! Czekałem na nie. Skoro tylko dźwiękło wśród szeregu zdań wysoce moralnych, tudzież bezinteresownie dydaktycznych, z właściwą skromnością zapisałem się do głosu. Wówczas ja potrzebowałem mówić p a r ę k i l k i c h słowa! Jestem adwokat dobry i swojej własnej sprawy nie przegrałem, braciszku, wobec całego „gremium”, za to ci ręczę. Nie mam zwyczaju mówić pod wiatr ani jednego wyrazu, o tym ty wiesz nawet z tamtych czasów, więc i tu operowałem argumencikami pewnymi, jak tabliczka mnożenia. *Primo* – fakty, *secundo* – trafność. Wywlokłem z całego gremium jednostki, indywidualia, figury, za pomocą może nawet cokolwieczek ordynarnego wskazywania palcem, uprzytomniłem sławnym mecenasom sprawy, jakie to wtedy oni prowadzili, cytowałem z imienia i nazwiska środki, manipulacje, stosunki, jakimi się posługiwali. Każdy mój argument uderzał i wywoływał niewątpliwy efekt, jak cegła, zlatująca wprost na ziemię. Mecenas X. brzydzi się tym, że Mosiek Kropla sprowadza mi klienta za umówione kwantum kopiejek, ale sam nie brzydził się sobą, kiedy tyle a tyle lat temu, w sposób taki a taki, dziesięćkrot groszy od moich, wkręcał się w łaski firmy fabrycznej Uhr Nozdrzycki et Cie przez takich fagasów... I przykłady. Mecenas Y ciska na mnie kamieniami za to, że broniłem sprawy Drejhafta i mnóstwo innych w tym rodzaju. A czy też mecenas Y pamięta jeszcze sprawę *a, b, c, d*? I fakty, daty, szczegóły! Wszystko w zęby! Zaledwie tym porządkiem czterech zbliżyłem do światła, jużem coś ważył na szali sprawiedliwości, a w momencie przerwania tego konsylium sprawa moja wszystkim, bez różnicy wieku i zdolności oszukańczej – wydawała się białą, jak papier welinowy.

– Cha, cha, cha... – zaśmiał się Raduski.

– Swoją drogą, uważasz, walka trwa, tylko cicha, cichuteńka. Jeżeli się gryziemy, to milczkiem, jeżeli psy na sobie wieszamy, to w głębokim sekrecie i wśród bardzo ciemnej nocy. No, a gdy zrobię dużego pieniącha, wszystko to ustanie i przyjdą mi jeszcze łapę lizać. Wierz mi!

– Ależ naturalnie!

– Oto tak się prezentuje moja sprawa z wierzchu. Uważasz, braciszku? Co się tyczy mnie samego, jak to się mówiło na Kruczej, „mnie samego w sobie”, to i to również warte jest paru słów ścisłej definicji. Już mi się kilkakrotnie zdarzyło, że mili ludzie, a szczególnie koledzy z budy, upatrywali we mnie strąconego anioła. Tę samą opinię czytam w twoim szyderyczym spojrzeniu...

– W moim spojrzeniu nic nie czytasz, mój stary – rzekł Raduski.

– Być może bardzo, że się mylę... A gdyby nawet tak było, chętnie bym z tobą o tym pogadał. Widzisz tak... Paru z naszych kolegów, między innymi ciebie, nie mogę uprzytomnić sobie inaczej, tylko jako pewnego rodzaju posągi, biusty, wizerunki.

– Masz teraz!...

– Jest to zapewne jakiś brak mojej wyobraźni, a nawet, kto ją tam wie – inteligencji... Mnóstwo ludzi z tej samej sfery, dawnych towarzyszków rysuje się przede mną barwnie, jasno, mocno. Ten jest, bestia taki, ten owaki, ten ma taką zaletę, a taką wadę. O was... nic nie

umiem powiedzieć. Wy jesteście jacyś papierowi, płócienni, brązowi czy gipsowi, jacyś malowani ludzie. Wy nie macie wad, ale też dla mnie, daruj! – nie macie zalet. Człowiek zwyczajny, jest to przede wszystkim człowiek, wieczny poszukiwacz kawałka chleba dla siebie i swych dzieci, jest mrówką, biegającą tu i tam. Geniusz, łeb w jakiejś dziedzinie nadzwyczajnej może sobie mieć wasze papierowe przymioty, gdyż on za to produkuje tyle, że setki, tysiące nim się żywią. Ale wy nic tak znowu szczególnego nie produkujeć. Jesteście pospolici młynarze codziennego ziarna, tylko nie zwijacie się przy tej maszynie życia.. Sterczycie w naszej obecności z mianami Arystotelesów, Giordano Brunów, czort zresztą wie kogo... Takiego na przykład Staśka Laskońca, ciebie – ja nie przedstawiam sobie inaczej, tylko z twarzą bladą, z wieńcem laurowym na skroni, ale z jakiejś racji wieńce te mają się wam należeć, nie wiem, bo przecieście i tych wierszy nie pisali... Pamiętasz, na przykład, starego poczciwca Hezjoda? Lubiłem tego chłopca ogniście, jako, rozumiesz, kamrata, jako fujarę do bajtlu, do szachów, do sprzeczki o jaką tam... *logię*... Ale cóż to był, proszę cię, za człowiek? Z rady nie wiem już czyjej, zwał się tu do powiatowego miasta, do Pałaków. No!... nie ma tam dużego terenu, ale jest sąd, można żyć, mając *kepele* nad kołnierzykiem. Cóż to się okazało? Ten kulfon brał sprawy o tyle, o ile były ten tego z etykami, ze sprawiedliwościami społecznymi... Zgadnij też, ile zarobił przez pół roku?

– Nie zgadnę.

– Rzeczywiście... to trudno. Zarobił siedemdziesiąt pięć kopiejek. Wyraźnie rubli srebrem siedemdziesiąt pięć kopiejek! No żarł ci *podlissime*, mieszkał podle, w dziurawych krypciach łąził; przywiązała się jakaś brzuszna historia i poszedł ze swą etyką do Abrahama na lepszy wikt i na jakie takie piwo. Oto masz: jeden papierowy...

– O Hezjodzie, jak łatwo pojdziesz, słyszałem piąte przez dziesiąte. Niech śpi w spokoju... Co do mnie, to nie należy mi się, rzecz prosta, żaden wieniec, Staśkowi zaś, a właściwie jego świętej pamięci, jego, jak mówisz, malowanemu wizerunkowi, należy się, ale cierniowy.

– Pamięci? A cóż to i ten umarł?

– Umarł, braciszku.

– Kiedyż to? Bój się Boga! Nic nie wiem...

– To nie ma żadnej łączności z twoimi sprawami. Papierowy człowiek był, deszcze go rozmoczyły, burza go poszarpała na szmaty, a dziś nie ma zeń ani jednego włókienka – oto wszystko. No, gadaj dalej...

Koszczycki milczał przez chwilę. Twarz jego drgała i błędziły po niej ciemności. Wkrótce opanował się i mówił tonem, w którym czuć było pewność siebie:

– No tak, tak... Ja należę do tłumu, do szeregu ludzi pospolitych, ulepionych z tutejszej gliny, kierujących się w życiu wielce ordynarnymi, zgrzebnymi maksymami. Ale czy uwierzysz, że ja to właśnie jestem bliski tego życia, bliski jego duszy i serca? I nie tylko tyle... Ja mogę sprawić, żeby się tym życiu działa minimalna, jedynie możliwa przemiana materii, jakiejś poprawki szelmowskiej duszy ludzkiej, niedostępne dla gołych źrenic dyletanta. Mogę, na przykład, oddziaływać, żeby jeden filister ustąpił drugiemu tam, gdzie to może zrobić bez szwanku swych interesów, a tylko nie chce; żeby jeden drugiemu darował zemstę, odpuścił zniewagę; żeby bogaty nie zdierał ostatniej skóry z biedniejszego... Ja nie jestem od cnót, ani od cnót ogłoszonych, ani od robionych, sam się z ochotą pożywię na drugim, gdy mogę, ale czasami urządzam sobie taki deser.

– Chwała cię za to nie minie...

– Ty zaś i twój z wielkimi wyrazami, to ci pod słowem honoru mówię, szkodzicie tylko... wyrazom, w śmiech obracacie. Mój kochany Jasiu, czy ty znasz ludzi, czy ty znasz świat, czy znasz życie? Widziałeś go tyle akurat, ile się na przykład, chwyta okiem przestrzeni w ciemną noc, przy świetle błyskawicy. Kiedy ja po upływie dziesięciu lat wpatrywania się w to życie człowiecze, wracam wolną chwilą do wyobrażeń młodości, które ty jeszcze piastujesz, to daruj, ale mi się nawet gadać o tym nie chce! Ja przecie, braciszku, nic innego nie robię, tylko

docieram do prawdy, życiowej prawdy, esencji zdarzenia, jak było, w jakim porządku się odbywało? Nic innego nie robię, tylko wywłóczę i rozpatruję cuchnące bebechy człowieka. Badam trzeźwo, bez odrobiny, bez cienia pesymizmu, bo z natury jestem sobie człowiek wesoły. Jak lekarz robi sekcję truposza, znajduje przyczyny i powody śmierci, zwyrodnienia i zaburzenia organizmu, tak samo ja z tym życiem mrowiska ludzkiego: otwieram je i roztrząsam. A czy wiesz, jaka jest suma i ostateczny wynik moich doświadczeń?

– Nie wiem, bo i skądże mógłbym wiedzieć...

– Oto, wierz mi, natura człowieka jest zła. Co więcej – jest podła. Człowiek – jest to skrytobójca i złodziej, tchórz i krzywoprzysięzca...

– „Pełne fałszu i chytrości krokodyle plemię...”

– Nie inaczej, mój złoty! Chciej tylko chociażby przez chwilę, wysiłkiem pociągnąwszy wolę, wspiąć się na pazury i zajrzeć bystro w bliźnich odmiennymi źrenicami, albo lepiej – wmyśleć się i wsłuchać się w samego siebie, jakby to czynił obywatel z innej gminy i parafii. Czy rzeczywiście zobaczyłbyś tam aby jedną zdecydowaną cnotę w postaci czystej, aby jeden z pewników, jedną z prawd, jakie wysławiamy, nie myśląc wcale o treści słów naszych? Przypomnij sobie tych ostrowidzów, którzy śmiało badali tajemnice serca ludzkiego. Weź, na przykład, Hamleta...

– E... Hamleta!...

– Był to wytrwały i sumienny podglądacz, jeden z tych, co to lubią włączyć w krater wulkanu dla zobaczenia własnymi oczyma, jak to tam robi owa natura... No i nie możesz twierdzić, żeby taki Hamlet przychodził do refleksji optymistycznych. Jako środek uniknięcia tego gada, który nazywany sercem ludzkim, rekomenduje metodę: „umrzeć... zasnąć” Inny badacz, nierównie zdolniejszy od królewicza Danii, Napoleon pierwszy, znał po królewsku stado ludzkie i zaczął je gnać żelaznym kańczugiem według swojej woli.

– II... Czy to aby nie są jakie paradoksy?...

– To ci się tylko tak widzi, że paradoksy. Weźmy, proszę cię, takie tylko zjawisko, jak ludzką namiętność do pieniędzy. Czegóż to dla nich człowiek nie poświęci? Wskaż mi tę świętość, tę cnotę, to prawo... Przedstawię ci zresztą jeden kawał, który całą rzecz wytłumaczy. Był tu, może pamiętasz, na szosie warszawskiej farbiarz, stary Miller z Niemców, z Czechów, czy z jakiś tam diabłów, dość, że miał gruby kapitał. Siedział tu nad rzeczką całe życie w swej nędznej budzie, gołymi kolanami świecił, a grosz do grosza ciułał. No, uważasz, bracie, *sztyrbnął* ten Miller. Testamentu żadnego, rodziny jak na lekarstwo, a w samym tylko banku warszawskim leżało *gotiu* osiemdziesiąt tysięcy rubli. Cóż się nie robi... Mamy tu w mieście rozmaite rybki, między innymi jest pewien pokątny doradca, istny geniusz, pan Kołpacki Hilary. Już go sądy wielokrotnie prosiły siedzieć, ale to nic. *Business* precz robi. Pan Hilary, pan Siapsia Kirszenbaum, oraz pan Nuchym Poniedziałek zeszli się skromnie w handelku Gwaździckiego, ucięli małą radę – i cicho, sza. Zaraz następnego dnia zjawił się kuzyn nieboszczyka Millera, urzędniczek, czy kolejarz. Skądś, bestyjka, wylazł z Pabianic, czy z Łodzi, słowem – ukazał się w żałobie. Przyjechał z wielkim płaczem oglądać jedyne pamiątki po stryjaszku. Towarzyszyli mu w tej smutnej procesji dwaj panowie izraelici. Mecenas Hilary wcale się nie ukazywał. W stancyjce nieboszczyka stryja było trochę obskurnych gratów: łóżko żelazne, siennik, stoliczek... Bystrooki radca Kirszenbaum zaczął pilnie szukać testamentu i, wyobraź sobie znalazł. Leżał testament, jak byk, w szufladce, między zardzewiałymi gwoździemi, testament pisany po niemiecku, w którym stryj Miller caluteńki majątek przekazuje bratankowi Millerowi z Pabianic, czy z Łodzi. Ano – wszyscy czterej się ogromnie ucieszyli. Pan Kołpacki urznął się przy tej okazji z radości i wyciął pięścią w brzuch samego Gwieździckiego. Jazda do sądu, do formalnego stwierdzenia aktu! Wszystko zostało załatwione, jak się patrzy i młody kuzynek podniósł pieniądze, gdzie tylko jakie były. Zebrało mu się w kieszeni, uważasz, około stu tysięcy rubli... Ale cóż się wtedy nie okazuje! Mecenas Kołpacki otrzymał nagły list z Wrocławia, czy skądś tam, że w takim a takim punkcie prze-

mieszkuje rodzona żona z dziećmi papy Millera. Ta żona grozi, że testament musi być unieważniony, że jej się wszystko należy. Pędzi, uważasz, mecenas Kołpacki do młodego Millera, który już był we właściwy sposób napoczął grajberów i przedstawia mu całą sytuację. Młody i lekkomyślny spadkobierca traci przytomność. Wtedy mecenas podejmuje się zamazać sprawę, babę uciszyć, otumanić jej głowę wykrętami prawnymi, wyłgać słowem urzędowy akt zrzeczenia się całej schedy. Ile? Prosta rzecz, jakieś piętnaście tysięcy rubli. Lekkomysłny młodzieniec w strachu o całość sypie fajgłę na stół, pan Kołpacki zgarnia ją w kabzę i grzmi niby do Monachium, czy do Wrocławia...

– Szybkim sposobem zrobił pieniach... Co?...

– Nieobecność Kołpackiego trwała kilka miesięcy. Wówczas rozmaici krewni farbiarza zaczęli szturmować listami do panów Siapsi Kirszenbauma i Nuchyma Poniedziałka, którzy ze swej strony musieli na gwałt uciszać tych niebezpiecznych krewniaków funduszami spadkobiercy. W trakcie tego wraca z za granicy główny mecenas i oświadcza, że baba nie zgodziła się na żadne ustępstwo, że jedzie do Łzawca z groźbami wdrożenia procesu. Z piętnastu tysięcy rubli nie została ani złamana kopiejka. Wtedy także wszyscy trzej mecenaszi zaczęli straszyć ogłupiałego Millera szeptaniem, że testament rzeczywiście jest niepewny i że lepiej by chyba było zawczasu bryknąć w jakie miejsce. W istocie też wszyscy czterej puścili się do Austrii. W Wiedniu...

– Ślicznie... ale to wszystko miało czegoś dowodzić?...

– To wszystko i następne wysoce ciekawe perypetie aż do przymknięcia trzech inspicjentów i prośby o długie siedzenie – znakomicie pokazuje, że nasz świat łzawiecki składa się *mutatis mutandis* z takich oto Millerów, Kirszenbaumów, Kołpackich. Marzyć, że się tchnie w te instynktowne ruchy ślepego żywiołu ludzkiego jakąś ideę, znaczyłoby, według mnie, tyle, co dmuchać na morze z zamiarem powstrzymania jego przyływu. A czyż my sami nie stanowimy jego kropel? Czy nie tak samo rozwalamy obcasikami fizjonomię naszych bliźnich w gonitwie za pieniędzmi, ażeby mieć możliwość pielęgnowania pewnych cnót, niby kwiatów cywilizacji? – Mów że, nie mam słuszności? W społeczeństwie dzisiejszym trzeba przede wszystkim i koniecznie mieć na to, żeby można być uczciwym, nieskazitelnym, kultywować honor – podobnie jak trzeba mieć fundusze na kolekcjonowanie numizmatyki, sztuchów czy malowideł. Jeden z młodszych kandydatów do posad sądowych ujął nawet to zjawisko w aforyzm bardzo, moim zdaniem, udatny. Rzekł mianowicie, że szlachetność myślenia i postępowania znajduje się w prostej zależności od dochodów.

– Z młodych mówisz? To widzę, skłonność do ścisłych definicji ogromnie się krzewi wśród młodzieży, wstępującej w życie!...

– Mniejsza o ironię, bo tu, braciszku, idzie właśnie o to, czego chciałem. Kto nie korzysta z czasu, żeby w chwili szczęśliwej chwycić garścią majątek, ten nie należy do szeregu ludzi rozumnych, a *eo ipso* godnych uwagi. Tak jest zbudowane nasze życie.

– Dlatego niby, że orzekł kandydat do posad sądowych?

– Nie! Dlatego, że właśnie życie mówi to samo. Nic nie pomogą twoje ironiczne uśmiechy. Chcesz mi dowieść, że ja jestem mało wart dlatego, że zębami i pazurami gromadzę majątek... Ty mi teraz wytłumacz, objaśnij mi, jaką korzyść przyniosła światu śmierć Laskońca!

Raduski spojrział na niego dzikimi oczyma i wstał ze swego miejsca, mówiąc:

– Nic ci już nie będę tłumaczył, gdyż wychodzę... Przepróż żonę i tego...

– Ale słuchajno, fujaro, może ja ci zrobiłem przykrość.. Widzisz, ja szczerze gadałem, ja z pod serca... Zostańże, nie rób mi tej przykrości! Proszę cię... słuchajże...

Raduski uderzył go kilkakroć po ramieniu, zaśmiał się i wyszedł z mieszkania.

IV.

W marcu i w kwietniu Raduski zajmował się gorliwie utrwalaniem egzystencji swojej gazety. Wkrótce po przyjeździe słyszał stąd i zowąd, że przed kilkoma laty wychodziła współrzędnie z *Gazetą Łzawiecką*, organem, bez którego nie było możliwości uzmysłowić sobie miasta, druga kierowniczką opinii, pod bezinteresownym i skromnym zawołaniem *Echa Łzawieckiego*, trzykroć w ciągu każdego tygodnia informująca Europę o losach guberni, tudzież tej okolicy, a gubernię o losach wyż wzmiankowanej Europy. Na piętnaście miesięcy przed przybyciem Raduskiego *Echo Łzawieckie* po dwuletnim wzywaniu do prenumeraty z takim skutkiem, jakby się rzecz odbywała w centrum pustyni Gobi czyli Szamo, chwiać się poczęło w posadach, zniżyć do upadku, a wreszcie z właściwym hałasem runęło w grób na czas bliżej nie oznaczony. Żeby też jeden promyczek wiary w przebudzenie oświecał mogiłę tego pisma!

Tymczasem, ledwie upłynęło kilka tygodni ciszy, tak pożądanej przez miasto, znowu, niby błyskotliwy fajerwerk, wyleciały na Łzawiec numery ze zwoływaniem jakiejś kategorii mieszkańców, stale tytułowanych „ludźmi dobrej woli”, ażeby ci „materialnie i moralnie” *et caetera et caetera*. Na tym się wreszcie nie skończyło. „Ludzie dobrej woli” uspokoili się i odetchnęli. Ustało wzruszanie ramionami. Koncesję piastował niejaki Okładzki, urzędnik jednego z biur gubernialnych, sławny w mieście z tak zwanej ostrości pióra. Ta ostrość przejawiała się swą głównie w trawestacjach utworów literatury romantycznej na modłę specyficznie Łzawiecką, nie tyle dowcipną, ile pornograficzną, oraz w majstrowaniu cichych paszkwilów i karykatur, wysyłanych do pism humorystycznych warszawskich, w celu zgnębienia heretyków, którzy w jakikolwiek sposób obrażali czułość opinii gubernialnej.

Redaktor *Echa* starał się na wszystkie strony o „rzutkiego a głupiego” wydawcę, który by chciał cisnąć w walkę dziennikarską z *Gazetą* jakąś ilość tysięcy rubli, ale o takiego nie było wówczas łatwo. Ludzie spali.

Udało się, co prawda, podmówić kolegów i przyjaciół do składki na wydawnictwo. Dzięki temu *Echo* wstało z letargu, nie mogła jednak taka wegetacja zbyt długo się przewlekać. Nim czytelnicy namyślili się, którą z gazet prenumerować, już *Echo* z braku „poparcia materialnego i moralnego” zapadło w nowy somnambulizm.

W tym czasie *Gazeta* szła doskonale. Liczyła tysiąc z górą abonentów. Prenumerata, wynosząca pięć rubli rocznie, dawała jej pięć tysięcy rubli dochodu, a ogłoszenia pokrywały koszty bibuły, papieru i druku. Innych wydatków prawie nie było, gdyż cały zapas artykułów, przerobionych z gazet warszawskich, wklejał pracowicie w „łamy” sam redaktor, a raczej sam trzymający pierwsze nożyce, felieton zaś wypełniały tłumaczenia powieści angielskich, na przestrzeni wiorst i mil stębnowane w kółku familijnym tegoż redaktora.

Gazeta była silnie, trzeba by powiedzieć, monstrialnie szlachecka, chociaż i zamożniejszemu mieszczaństwu nie odmawiała praw bytu i prenumeraty.

Wiadomości prowincjonalne czerpała dziewiczo z raportów, składanych w urzędzie gubernialnym, co ją zabezpieczało nie tylko od kłamstw reporterskich, ale także od zbytecznego wścibiania nosa; wypadki kościelne kreśliła bezpośrednio w przedpokoju władzy duchownej. „Tydzień polityczny” robiły nożyce, a plotki brukowe całymi kosztami znosili usłużni moszterdzieje, częstokroć w nadmiernym mnóstwie, a całkiem bezpłatnie, bo tylko za cenę możności gadania, ile się zmieści.

Laury i okrągłe zyski *Gazety* nie dawały zdrzemnąć się redaktorowi *Echa*. Dzięki tej czułości, w parę dni po przyjeździe do Łzawca, Raduski zaszczycony został wizytą Okładzkiego. W pierwszej chwili wędrowiec nasz stanowczo uchylił propozycję wskrzeszenia pisma, które i t. d. Jednakże po wyjściu ex-redaktora, ze szczególną przenikliwością wiedzącego wszystko, co się tyczyło funduszów – zaczął myśleć o tej kwestii. Następnego dnia roztrząsał ją uważnie, ze wszech stron i wezwał publicystę do siebie. Ostre pióro stanęło w hotelu niezwłocznie i zgodziło się na wszelkie warunki jakie mu Raduski przedstawił. Warunki te średnicowo

zmieniały ton gazety. Miała ona stracić wszelką dotychczasową barwę, unikać polemiki z towarzyszką, a natomiast miała wytknąć sobie cel bytu i do tego celu zdążać bezustannie. Raduski proponował dwie rzeczy: primo, żeby gazetka była przede wszystkim organem Łzawca i gubernii; po wtóre chciał, żeby z niej uczynić informator dla piśmiennictwa krajowego o bycie, stanie, losach, pracach i mocy produkcyjnej zakątka, którego wyrazem być miała. W jego rozumieniu gazeta w ten sposób prowadzona, a raczej na taki tor stale a niepostrzeżenie wpychana, musiałaby z czasem przybrać charakter jakby umiejętnego wykładu o prowincji. Miał tam być przedstawiony kolejno w dobrych opisach, które by w felietonie zastąpiły czcze banialuki angielskie, stan przemysłu fabrycznego i kopalń, rolnictwo w drobnej i wielkiej jego postaci, rzemiosło w miastach i na wsiach, handel wielki i drobny. Miały być podawane w formie, na przykład, wesołych i dowcipnych wspomnień z wycieczek a la Heine opisy życia, mieszkań, dworów, chat, ruin kościołów, cmentarzy, lasów, dróg, pól. Artykuły także musiały być pisane jasno a pięknie, żeby je wybornie zrozumiał i żeby się w nich rozkochał czytelnik. A czytelnikiem owym byłby szary, przeciętny człowieczyna „ze Łzawca”, „z pode Łzawca”, czy to z tamtej strony, od Sapów, czy choćby aż do samego *hań* Obrzydłówka. Felieton barwny miał być z czasem zamieniony na poważny. Miał traktować o kwestiach najżywotniejszych, o kromce chleba czarnego i szczypcie soli, proponować wytwórczość rozmaitych rzeczy, dla których rynek zbytu gazetka miała uprzednio, specjalnie dla Łzawca wynaleźć i wiarygodnie opisać. Jedną z głównych rubryk miało stanowić wyjaśnienie zjawisk ekonomicznych w sposób umiejętny i podnoszenie z naciskiem tych, które byt ekonomiczny Łzawca i całej prowincji dźwignąć niewątpliwie mogły. Ponieważ istniała w mieście druga płachta, dająca wszelkie wiadomości brukowe i gubernialne, więc *Echo* winno było, według Raduskiego, mniej „łamów” przeznaczać na sensacyjne wypadki, wiadomości polityczne referować w treściwych i jasnych zdaniach, awantury zaś i bajdy tylko co ważniejsze i ciekawsze. Tym sposobem *Echo łzawieckie* miało stać się istotnym organem życia i wizerunkiem tego kąta kraju.

Pan Okładzki zaakceptował program, jak to mówią, z pocałowaniem ręki, a nawet z kilkakrotnym ucałowaniem obu, chętnie przyjął pensję redaktorską wynosząca kilkanaście rubli miesięcznie, tudzież warunek, że utwory swoje, zarówno trawestacje, jak cięte satyry zamieszczać będzie w innych pismach.

Raduski, jako główny współpracownik *Echa*, musiał obejrzyć się za pomocnikiem literackim, który by jego program wcielał w życie, gdyż sam nie miał żadnych talentów, aspiracji i umiowań dziennikarskich. Ex-redaktor, znawca ludzi, miejsca i stosunków, wskazał mu, dość zresztą niechętnie, pewne indywiduum, urzędujące w sądzie, które jakoby płodziło na papierze „kawały”, nie odznaczające się niczym, bo ani zadzierzystością pióra, ani dowcipem pieprzonym.

Jednego z ostatnich dni kwietnia, gdy już sprawy formalne, ugoda z drukarnią, a nawet wydzierżawienie lokalu redakcyjnego załatwione zostały, Raduski udał się wprost do mieszkania młodego człowieka, który miał być główną osobą redakcji.

Kiedy wszedł na ulicę Zasobną i myślał, jaki też ten człowiek być może, doświadczał prawdziwej trwogi. A nuż nie będzie można z nim się porozumieć, a nuż trzeba szukać kogoś w Warszawie, kogoś kto nie zna miasta i okolicy, ani stosunków ani ludzi...

Snując niecierpliwie rozmyślania na taki temat, Raduski zatrzymał się przed posesją pani Brenerowej. Była to miejscowość sławna, jeśli nie na całą gubernię to z wszelką pewnością, na cały powiat. Tyłami sięgając przedmieścia, frontem zwrócony do ulicy Zasobnej, krył się w cienistych ogrodach szereg drewnianych budynków, a właściwie jeden dworek parterowy nadmiernej długości i niesłychanego kształtu. Od ulicy stał dom fundamentalny, na którym jeszcze można było wyróżnić samoistną figurę ścian i granice strzechy. Do tego pierwotnego dworku przybudowano z czasem drugi, mniejszy, tak chytrze i podstępnie, że obydwie zaczęły się węglami, ścianami, dachem i zbutwiałością sosnowych rynien. Za drugim szedł trzeci,

kilka stóp na prawo, jakby się obawiał wleźć w kałużę ścieżki, która w tym miejscu właśnie się wyginała. Dalej krzywiła się kleta do niczego niepodobna, koślawa, niska cofnięta w tył i wlokąca za sobą dachy dwu sąsiadów. Od tego punktu domostwo znowu się bakierowało ku drodze, raptem szło w ogród i, tworząc kąt prosty, urywało się w postaci murowanej kamieniczki. Naokół pachniał sad, czeremchy, zapomniane przez wszystkich, rosnące same dla siebie, dziko, bujnie, wolno i rozłożysto. Długie gałęzie zwieszały się spoza parkanu nad wąską dróżką, moknące jeszcze w rzetelnym błocie. W środku obszerniejszego podwórza, przed obórką, chlewem i drwalniami stało kilka fur chłopskich. Wyprężone szkapięta zajadały garstki siana, rozłożone między deskami wozów, na których siedziały kobiety w chustkach i wełniakach. Trzech włościan rozmawiało z niską babiną miejską, ubraną w ogromne kalosze, wysoko ugiętą spódnicę, męskie palto z długimi rękawami, świecące się jakby je na ten dzień wyczyszczono szuwaksem, i duży, czarny czepiec. Gdy Raduski stanął w podwórzu i zaczął wędrować, z kamyka na kamyk, jejność osaczyła go swoją uwagą, ścięła nieufnymi ruchami, a koniec końców krzyknęła głosem, w którym było daleko mniej uprzejmości niż zakatarzenia:

– A czego to ?

– Czy tu mieszka pan Grzybowicz, urzędnik ? Pan Grzybowicz.

– *Miszka* kochany pan Grzybowicz w tamtych drzwiach.

– Dziękuję pani dobrodziejce.

– Aha...Dziękuję...Grzybowicz! Możebyś mu pan powiedział, że to dziś dwudziesty szósty, dwudziesty szósty!

Raduski zapewnił te niewiastę, że bezwarunkowo uwiadomi pana Grzybowicza o przemianiu daty dwudziestego szóstego kwietnia – i wszedł do sieni wskazanej. Znalazł się w przejściu, obitym spróchniałymi deskami, a stamtąd wkroczył do kuchni. W sieni, w kuchence, w otwartej spiżarni nie było żywego ducha, toteż rezolutnie uchylił drzwi spotkane na drodze i, minawszy trzy schody, trafił do stancyjki, jasno rozwidnionej dwoma oknami. I ten pokój był pusty. Raduski zatrzymał się mimo woli. Okna były nie zamknięte, a wychodziły wprost na parkan wielki, spróchniały i dziwnie smutny. O krok przed szybami stał, niby nieubłagana, zazdrosna okiennica. Nad czarnym daszkiem, z którego większość gontów odpadła, rozpościerały się gałęzie drzewa jabłoni, rosnącej w ogrodzie sąsiednim.

Raduski uśmiechnął się nie wiedząc czemu do cudnej, lśniącej, soczystej jasnozielonej smugi liści, która niby pozdrowienie przyrody zaglądała do tego mieszkania. Sprzęty w pierwszej izbie były skromne nad wyraz. W drugiej widać było poręcz starej kanapy i róg stołu, zawalony plikami papierów.

Gdy Raduski postawił krok jeszcze, dał się stamtąd słyszeć okrzyk:

– Hela, to ty?

– Czy pan Grzybowicz jest w domu? – zapytał gość z bezwiednym ukłonem.

We drzwiach stanął człowiek młody, niskiego wzrostu, krepy i czupurny. Idąc ku Raduskiemu, prawą ręką wpychał machinalnym ruchem na nos binokle, a drugą osłaniał gors koszuli.

– Czy pan Grzybowicz? – zapytał przybyły.

– Tak jest.

– Nazywam się Raduski. Mam do pana interes, pewną prośbę, o której chciałbym pomówić. Czy ma pan wolną chwilę czasu?...

– O... Ależ... Natychmiast!

– Mówiąc to, pan Grzybowicz cofał się szybko do drugiej stancyjki i znikł w niej na czas bardzo długi. Słysząc było stamtąd szelest, łoskot, a nawet szcęk błyskawicznie dokonywanego stawiania pokoju w figurze wizytowej. Raduski skorzystał z chwili czasu, ażeby wznieść oczy ku pięknej gałęzi. Myśl jego nagle uciekła od rzeczywistości, od sprawy z którą tu przyszedł, od wszelkich wreszcie interesów życia i zawisła nad czymś tak dalekim, nad czym tak

nieuchwytnym i dziecinnym, jak pytanie, czy prace przyrody, czy nieobeszłe myślą czyny jej mają cel jaki, czy pracują dla kogo. Po co rośnie zielony krzew, dlaczego zagląda przez płot na człowieka, czemu tak go kochają nasze oczy ?...

– Służę panu dobrodziejowi... Uprzejmie... Bardzo mi... Uprzejmie... – mówił pan Grzybowicz, odziany w surduta daleko mniej zniszczony, w krawat i kołnierzyk.

– Raduski wszedł do sąsiedniego pokoju i siadł w kącie wybrzeża rozległej kanapy.

– Ma tutaj – zaczął mówić, wpatrując się badawczym okiem w twarz swego interlokutora – ma tutaj w Łzewcu powstać drugie czasopismo, *Echo łzawieckie*.

– *Echo łzawieckie* ?

– Ja należę do składu redakcji, a raczej do grupy wydawców. Ponieważ słyszałem, że szanowny pan zajmuje się literaturą...

– Ja?... Ależ... Proszę pana... – mruknął pan Grzybowicz, rumieniąc się jak dziewczeczka i związując skrawki papieru.

– Ponieważ pan zajmuje się literaturą, chciałem prosić o współpracownictwo stałe. Moglibyśmy zaraz umówić się co do honorarium miesięcznego.

– Miesięcznego ?

– Nie potrzebowałby pan chyba opuszczać swych zajęć biurowych. Moglibyśmy naznaczyć godziny redakcyjne po południu i opracowywać artykułki w tym czasie... – mówił pan Jan szybko, zły na siebie, że wyjawia całą propozycję nie zbadawszy człowieka.

– Pan Grzybowicz mrugał prędko powiekami i wciskał co chwila swe binokle z taką zapamiętałością, jakby miał intencje wydłubać sobie naraz obie gałki oczne. Po chwili dopiero rzekł głosem zmienionym.

– Panie dobrodziej... Ja nie rozumiem... Ależ ... i owszem! Słyszane rzeczy !

– Czy pan pracował już w jakiejś redakcji ?

– W redakcji? Nie. Stale – nie. Zawsze paliłem się do tego, jak trociczka... Cóż, kiedy – nie! Pisywałem stale na kursach do jednego pisma... tam... Ale to, proszę pana, to inne sprawy.

– Inne sprawy ?... No, a później ?

– Z drugiego kursu prawa wymydliło mnie...

– Co pana wymydliło ?

– E... nic... drobnostka... brak dochodów. Ożeniłem się. Tu człowieka wiatr zaniósł – i koniec. To jest ja pisywałem od dawna, no, ale to prywatnie.

– Niby jak to prywatnie ?

– Uważa pan bez czyhania na druk. To tam literackie różne, rozmaite...

– Wiersze ?

– Tj... Ale teraz ja nie waham się ręczyć, że opracowywałbym z całą sumiennością, z całą sumiennością!...

– Raduski zaczął objaśniać mu swój pogląd na gazetę i wyluszczał w skróceniu projektowane artykuły. W miarę jak mówił, twarz Grzybowicza bladła i jaśniała przedziwnie, jakby na nią blask padał. Z warg jego uśmiechało się uczucie, tak bezmierne, z oczu strzelał taki błysk namiętności, że aż w piersi Raduskiego zatlił westchnienie.

– Tym sposobem – prawil wydawca – można by prowincję tutejszą prezentować krajowi, niby w dokładnym lustrze odbitą, interesy jej wiązać z interesami całego czynnego u nas ogółu, a, co jest rzecz pierwszorzędną, otwierać oczy, wskazywać niewyzyskane ugory wszelakiej pracy, wystawiać strony głupie, podłe, złe i zmuszać nie za pomocą napaści, lecz siłą argumentu – do reformy.

– Tak, tak, tak! – szeptał z cicha Grzybowicz, kiwając głową i wykonywując lewą ręką taki ruch, jakby kręcił procę. – A co się tyczy opisów, to ja gotów jestem za darmo, zupełnie za darmo! Ja to sam pragnąłem robić. Bazgrałem stąd do pism warszawskich podobne szkice życia przemysłowego i obywatelskiego z Łzawca. Pisałem tak i owak. Próbowiałem w kształ-

cie felietonów. Ale zazwyczaj redaktorzy odrzucali wszystko z wyjątkiem takich rzeczy, jak gradobicia, powodzie, teatry amatorskie „zderzenia wagonów” etc. Jeżeli się nie trafił wielki pożar, bal publiczny, wybory w towarzystwie kredytowym ziemskim, wizyta pasterska, to korespondencji wcale nie zamieszczano. To, co pan mówił, usiłowałem w pismach popularnych. Ale i tam nic. Pisma takie muszą mieć na oku rozległy i różnorodny teren, czytelnika z tyłu prowincji odmiennych, nie można tedy zapychać gazetki wiadomościami z jednego ustronia, traktowania tak szeroko. Zbierałem dane etnograficzne, pieśni, podania, legendy... Cóż z tego? Wszystko dorywczo, dorywczo... Ja mam trzydzieści pięć rubelfajgli miesięcznie. Resztę muszę dorabiać kopiowaniem papierów...

– Łaskawy panie...

Grzybowicz podniósł się z krzeselka, nieśmiało ujął rękę Raduskiego, zaczął ją śmiesznie a mocno wstrząsać i mówić:

– Teraz pan zwiastuje mi taką rzecz. Proszę pana, ja nie jestem w stanie wypowiedzieć, nie jestem w stanie wypowiedzieć...

W pierwszej stancyjce dał się słyszeć łoskot drzwi szybko rozwartych i weszła przez nie kobieta, młoda jeszcze, prawie podlotek, nieładna, w sukni starej zniszczonej, ale bardzo sympatyczna. Wstrzymała się nagle na widok gościa i mierzyła go ciekawym, zdumionym spojrzeniem. Pan Jan wstał i złożył jej ukłon. Grzybowicz jękając się, wymówił cichym głosem jego nazwisko, potem ustąpił żonie miejsca, a sam stojąc przy jej krześle, zaczął opisywać całą historię propozycji, którą mu przed chwilą zrobiono. Wykład ten urywał co moment i o czymś rozmyślał. Niespodziewanie zaczął mówić do Raduskiego:

– Żona moja jest córką tutejszego urzędnika z gubernii. Zapaliliśmy się do siebie jeszcze w sztubie. Pomagała mi, gdy byłem na kursach i gdy patrzył głodowi prosto w ślepią...

– Antoś... – szepnęła żona.

– Nic, nic... Czekajno! Byliśmy w sekrecie zaręczeni. Rodzicom jej wcale to nie smakowało, gdyż odrzuciła kilku starających się konkurentów z „pozycją socjalną”. Tymczasem trafił się konkurent z nadzwyczajną „pozycją”: profesor gimnazjalny, młody elegant i z dobrej familii. Wtedy ją papa i mama zaczęły namawiać argumentem postronkowo – rzemiennym...

– Antoś !

A więc do bata rodzicielskiego! W mieszkaniu było dzieci stadko, a ta sobie miłość długoletnią ze studentem!... Trza było sytuację ratować, uniwersytet puszczać kantem. Łatwo postanowić... Ale o miejsce w hierarchii ludzkiej nie tak łatwo! Wkręciłem się na trzydziestorublówkę i wzięliśmy ślub między ulewą łez, a grzmotami wyrzekanń ojcowsko-macierzyńskich. Bieda nas zżerała nie byle jaka! W rok po urodzeniu się Włodziunia (mamy syna, proszę pana, Włodek się wabi) w rok po urodzeniu się... *uuu!*... była bryndza, tak węgierska, że dalej nie idzie...

– Tak źle nie było, mój mąż przesadza! – zaczęła mówić szybko pani Grzybowiczowa.

– Wtedy odchodziło kopiowanie papierów... hu-ha! Gdy tylko wyzdrowiała, wnet się wzięła do tych lekcji muzyki. Proszę pana, piętnaście kop lekcyjka, deszcz nie deszcz, zima nie zima! Musieliśmy najać do malca służącą. W tych izbach, prawdę mówię, przeżyło się... Żona była bardzo chora, puściły się deszcze jesienne, chłody i jakieś wielkie, wielkie smutki... Ach, Boże! Dach tu przecieka, proszę pana, leje się jak z rynny, wprost w łóżko. A ponieważ, *entre nous soit dit*, zalegałem cokolwieczek w opłaceniu czynszu mieszkalnego, więc nasza gospodyni słuchać nie raczyła o reperacji dachu. Podstawialiśmy na górze wszelkie szkła i fajanse, jakie tylko były w domu. Ale nic z tego: piękny Staubbach lał się swoim trybem do łóżka. W drodze łaski gospodyni przysłała tacę na dwadzieścia cztery szklanki, zabytek familijny i klejnot wielce szanowany w tym dziedzińcu i pod tą tacą moja żona musiała całymi dniami leżeć dla osłonięcia się od kapiącej wody. I oto teraz pan proponuje...

Zwrócił się nagle do żony i objaśnił jej szczegółowo cały plan wydawnictwa. Raduski wodził oczami po stole przywalonym aktami, stosem książek i gazet, po gratach dawnych, znisz-

czonych i biednych. Wtem drgnął i z niepokojem przyjrzał się pani Grzybowiczowej. Siedziała sztywno wyprostowana i lewą ręką cisnęła do ust chustkę, której koniec gryzła mocno zębami. Czoło jej marszczyło się coraz bardziej, brwi zbliżały się jedna ku drugiej. Raptem trysnęły z oczu jej łzy strugami i łkanie wydarło się z piersi. Siedziała nieruchomo, wciąż patrząc przez te łzy na Raduskiego szeroko rozwartymi źrenicami w sposób tak żalony, tak głęboko dziękczynny, że nie mógł usiedzieć. Zerwał się na równe nogi, strzepnął palcami, zaczął sykać, machać ręką i wykonywując dzikie ukłony w kierunku różnych sprzętów mieszkania, co tchu stamtąd umknął.

V.

W połowie maja ukazał się pierwszy numer wznowionego Echa i wywarł niejaki wrażenia doborem artykułów. Okazało się, że Grzybowicz, szumnie zwany sekretarzem redakcji, był dzielnym literatem. Pisał swoim własnym, wesołym stylem, zdradzającym dziennikarza, a raczej poetę gazety z daru i użyczenia losu. Numer pierwszy nie zawierał jeszcze ani śladu tego, co miały przynieść następne, a jednak uderzył ludzi czytających żywotnością swoją. Bardzo silnie interesował się nową redakcją współzawodnik, właściciel Gazety Łzawieckiej, p. Olśniony. Pewnego dnia w godzinach przedpołudniowych zjawił się u drzwi tymczasowej redakcji i administracji, którą stanowiły dwie ciasne izdebki Raduskiego i zaznaczył, że przychodzi opłacić prenumeratę, a także, jako stary na tutejszej glebie gazeciarski, życzyć tysięcy i tysięcy abonentów redaktorom i wydawcom nowego pisma. Raduski jeszcze w neglizżu serdecznie powitał i usadowił na krześle redaktora Olśnionego, a sam co tchu zaczął się ubierać. Stary publicysta był mężczyzną dziwnie suchym i wysokiego wzrostu. Gęste, szpakowate włosy strzygł przy samej skórze. Na górnej wardze nosił mały wąsik, niepodkręcony do góry. Rysy twarzy miał piękne, czysto polskie, a oczy żywe, z wejrzeniem mądrym, przesywającym i pańskim. Gdy dłużej mówił, lewą ręką osłaniał swoją kształtną, niebieskawą wskutek ogolenia, brodę przymrużał i rozwierał oczy, a cały korpus miarowo nachylał i cofał. Mówił wolno, z precyzją, powagą a stanowczo i kategorycznie. Z paru zdań jego Raduski wywnioskował, że ma przed sobą człowieka z erudycją i czytaniem, jakich sam sobie nie mógł w żaden sposób przyznać. Redaktor Olśniony przeproszał go kilkakrotnie za zrządzoną subiekcję, ale tłumaczył się tym, że ma robót w swojej redakcyjce tak dużo, a tylko tę chwilę czasu, z okazji święta, wolną... Wizyta nie trwała długo, a ucięła się jakoś na niczym, chociaż Olśniony miał coś, jak to mówią, na końcu języka. Wychodząc i ściskając w chwili rozstania dłoń Raduskiego, przymykał powieki a otwierał usta dla wygłoszenia czegoś, a mimo to, nic nie rzekłszy, odszedł. Gdy pan Jan sam został w pokoju, doświadczył szczególnego udręczenia i niesmaku. Żał mu było gentlemana, któremu wchodził w drogę, a właściwie w prenumeratę, ale z drugiej strony spojrzenia tamtego pełne głuchej i skrytej nienawiści budziły w nim bardzo dawną i zardzewiałą energię. Pragnąc zniweczyć przykre wspomnienie, ubrał się w nowe paletko, nowy kapelus, zawiązał jasny krawat, wziął w rękę parasol i ruszył wprost do ogrodu miejskiego. Młode liście kasztanów nie kryły jeszcze całkowicie głównej alei, formowały z niej jakby prześliczną nawę z ostrymi łukami prawdziwej piękności. Tu i tam strzelały przez jasną zieleń złote krople światła, niby owe gwiazdy, rozsiane po sklepieniu, naśladowującym firmament, w starych tumach gotyckich.

W parku było mnóstwo osób. W alei głównej chodziły, wzięwszy się pod rękę, młode i starsze panny, tłumy uczniów, kawalerka i starcy. Raduski witał ukłonem w tej całej gromadzie zaledwie parę osób i to przeważnie świeżo poznanych.

Gdy oglądał mijające go twarze, dopiero co, jak wiosna rozkwitłe, gdy chwycił wstydlive a promienne uśmiechy, spojrzenia oczu, ciskane na tego lub tamtego ósmoklasistę, gryzł mu serce szczery żal i rzeczywista zazdrość. Prostował się, jak mógł, żeby pokazać, choćby tylko samemu sobie, jako ma dopiero lat trzydzieści sześć, a mimo to czuł, że już ani jeden taki płomień czystego wejrzenia serca jego nie oświeci...

Minął park i wyszedł na miasto. Na wschodniej stronie gromadziły się chmury czarne, jak żelazo i szły wolno, niby kolosalna przykrywa, gotowa lada chwila runąć i przytłuc ziemię. Kiedy niekiedy pędził stamtąd zimny wiatr, herold rzeczy straszliwych. Gdy gnał przez pola, młodzieńskie pióra zbóż gięły się, migocąc, i warowały przy samej ziemi, dopóki nie odleciał ku swoim tajemniczym mocarstwom. Od czasu do czasu stare topole przy drodze zaczynały bełkotać grubymi liśćmi, ale i one cichły, jakby w strachu wyglądając na inne cuda. Pan Jan, przeszedłszy duży kawał drogi, wrócił do parku. Było tam już osób daleko mniej. Wiatr się zrywał coraz ostrzejszy, kiedy niekiedy słychać było, ponury, urwany grom, jakby jęk stru-

chlałej gleby. Krótkie błyskawice migają się między pniami drzew. Pewna ilość spacerujących obsiadła tak zwane Trianon, czyli werandę cukierni ogrodowej. Pan Jan znalazł tam jeszcze miejsce przy stoliczku i lichy wie po co wypił szklanekę ohydnej kawy. Gdy na werandę wchodziły coraz nowe osoby, nie chcąc zabierać miejsca, opuścił zdobyte krzeselko, zapłacił i wyszedł. W alei nie było już prawie nikogo. Wiatr, wiatr baszybuzuk, z rykiem przelatywał aleje i ścieżki, gwałt do ziemi całe zarośla bżów, zgarniał na drózkach wszystkie piasek i rozdmuchiwał go słupami. Jakieś pióro kurze latało samo jedno w powietrzu. Ilekroć się zniżalo, nowy podmuch ciskał je w górę. Kołysało się tak, ciężąc ku ziemi i nie mogąc jej nigdy dosięgnąć, niby planetnik wichrem porwany. Raduskiemu przywidziało się, że gdzieś w głębi parku stoi budka "sodowego wodziarza". Tam zamierzał schronić się w razie deszczu. Liczył zresztą, jak na Zawiszę na swój parasol. Tymczasem budki jakoś nie było widać, pomimo że Tarianon zostało daleko. Nagle sypnął deszcz okropnymi kroplami. Siarczysta ulewa, niby olbrzymi wodospad zwałała się na park i zalała go w mgnieniu oka. Aleja główna i dróżki boczne przemieniły się w łożyska potoków. Liście drzew ociekały wodą i bezsilnie zwisały ku ziemi, jakby się lada chwila wszystkie miały oderwać. Deszczówka płynęła strumieniami nawet po pniach wiązów i lip, zupełnie osłoniętych liśćmi, szorowała wszystkie sęki i myła skaleczenia kory. Przewód tak dalece pełen był wody, że w odległości kilkudziesięciu kroków, za trawnikiem najbliższym krzewy i drzewa wydawały się mdło – zielonymi, a kształty ich tonęły w wilgoci. Szelest spadającej wody zagłuszył zupełnie i wchłonął w siebie wszelkie dźwięki. Raduski schował się pod rozłożysty kasztan, wstąpił na ławkę z piaskowca i ukryty w czeluści swego parasola zaczął w sposób nieinteligentny gapić się na płynącą wodę. Zmysły jego ukołysane przez szmer deszczowy, trzymały się jak pijany płotu, jednej lokucji: *panta rej.. .panta rej..*

Wymawiał te słowa drzemiącymi wargami, nadaremnie usiłując przypomnieć sobie kto i kiedy taką mądrość sfabrykował.

– Wszystko płynie... *Panta rej...* Czekajcie no, wielebni prorocy i doktorowie! Czy to czasami nie ten kawalarz Heraklit z Efezu. To na niego patrzy!... Heraklit... Co znowu za Heraklit? Z jakiego Efezu?

Senna myśl przeniosła go od tej nazwy do klasy drugiej czy trzeciej... Cisza, cisza, tylko w niej szemrze gwar mowy towarzyszków... Czy to deszcz bije w szyby, czy to skrzypią buty starego Greka? Gwar zamiera, ucicha... *Panta rej...* Gdy tak w najlepsze filozofował w języku Sokratesa, uderzyło słuch jego głośniejsze chlupnięcie błota. Zwrócił głowę w kierunku bramy i zauważył, że ktoś biegnie od drzewa do drzewa, szukając schronienia. Tym nieszczęsnym zbiegiem była kobieta. Krew przodków, a może nawet własna, zakipiała w Raduskim. Skoczył z rycerską w błoto i pędem wybiegł na spotkanie uciemnionej przez burzę. Gdy już rozciągnął nad nieszczęśliwą jej głowę opiekuńczy parasol, dopiero się wstrzymała. Raduski osłupiał. Zobaczył tuż przy sobie damę niewymownie piękną. Kapelusz jej, ozdobiony ślicznym kwiatem, był w położeniu Kartaginy, kiedy los jej opłakiwał Mariusz, włosy rozplątane mokrymi pasmami lepiły się do twarzy i szyi. Jasnozielony stanik z wstążek, cieniutkiej materii przemókł zupełnie, przylgnął do ramion i piersi, pokazując szczegółowo nie tylko te miejsca, gdzie się ukrywał gorset, ale nad to haft szlaku koszuli. Z pod sukni, którą trzymała w rękach, widać było złotawe buciki o wiśniowej cholewce, wyżej kostek w szarym błocie unurzane.

Piękna pani przyjrzała się Raduskiemu przecudnymi oczyma, gdy ją parasolem zasłonił, i splatając bezsilnie ręce, rzekła:

– Widzi pan...

– Widzę, niestety! Czy pani nie zimno?

– Mniejsza o zimno!

– O, nie! Daruje pani, ale jako mężczyzna, muszę roztoczyć opiekę... Bez względu... Jako mężczyzna!... Pani wybaczy...

– Co pan zamierza zrobić, jako mężczyzna?...

– Zamierzam okryć panią moją peleryną.

– Ależ, panie! Za nic w świecie! Pańskie okrycie nie uchroni mnie od przeziębienia, a może nabawić posądzeń o to, że umyślnie chciałam wplątać pana w chorobę. Za nic!

– Mniejsza o posądzenie, gdy wilgoć przejmuje ostatnią niteczkę!

– Nie, nie! Dziękuję panu... Może jakoś nacichnie...

Deszcz ani myślał nacichać, lecz owszem coraz szerzej odkręcał swe krany. Raduski umieścił towarzyszkę pod drzewem i trzymał nad jej głową parasol. Oczy jego mogły nasycać się widokiem tej postaci i czerpać szczególne wrażenia. Rysy twarzy przypominały mu obraz, nie wiadomo kiedy i gdzie widziany. Oczy błękitne, zamglone patrzyły wiecznie w próżnię, jak gdyby nawet wśród tak zmiennych kolei losu nie spostrzegały towarzysza rozmowy. Czoło, prosty nos, brwi, usta, kształt brody i szyi były nad wszelki wyraz harmonijne, jakoś szczególnie urocze, składały niby przedziwny utwór, wprowadzający uczucia i myśli widza do kraju marzeń. Stojąc tak blisko, pan Jan wchłaniał nozdrzami zapach ramion, w niewidzialnej parze od zetknięcia z żywym ciałem wilgotnej sukni ulatujący wraz ze słodkim odorem perfum; mógł niespostrzeżenie rozmarzać się widokiem ruchu piersi w osłonie mokrego stanika.

– Panie ten deszcz nie ustaje...

– Nie, ustaje... jakoś... nie ustaje...

Raduski tyle lat nie widział kobiet subtelnych, tak dawno nie prowadził z nimi rozmowy, że w owej chwili był całkowicie zbity z tropu, wstydził się swoich słów, ruchów, swoich rąk i nóg. Spojrzenia i uczucia swoje uważał za tak haniebne, że byłby się z satysfakcją wysłał na odwach. Kiedy przychodził do refleksji tyle stanowczych, piękna pani spytała go bez owijania rzeczy w bawełnę:

– Pan nie mieszka w Łżawcu stale?

– Owszem, mieszkam tutaj kilka tygodni.

– Tak?

– Nazywam się Raduski... – rzekł pośpiesznie, przekładając niezdarnie rączkę parasola z prawicy do lewicy dla wykonania kapeluszem ukłony.

– A... pan Raduski... wydawca nowego pisma – rzekła nieznajoma, uśmiechając się z odrobiną zalotności. – Mój mąż miał przyjemność znać pana dawniej, w uniwersytecie.

– Mąż pani?

– Tak, mąż mój, Zygmunt Poziemski...

– Co do mnie, – rzekł pan Jan, mrużąc oczy – to nie przypominam sobie tego nazwiska... Zupełnie... to już tak dawno...

– Bardzo być może, bardzo, że go pan wcale nie znał. On pamięta... Mówił mi wszystko...

– A... Państwo tu dawno mieszkają w Łżawcu?...

– Pięć lat, proszę pana, pięć lat. Mąż jest lekarzem. Ach! – zawołała nagle – czy pan nie widział mojej Elżbietki? Prawda! Nie zna jej pan wcale... Mały sześćioletni dzieciak z jasnymi lokami... Szła ze służącą. Właśnie miałam zamiar posłać obydwie do mieszkania, gdy ten przekłety deszcz zaczął padać. Co tu teraz? Leje i leje...

– A gdybyśmy też spróbowali wędrować ku miastu? Czy tu stać, czy iść, to prawie wszystko jedno. Córeczka z pewnością jest na werandzie. Widziałem tam dzieci mnóstwo.

– Tak pan myśli? A więc chodźmy.

Wzięła Raduskiego pod ramię, lewą ręką uniosła suknię i ostrożnie stając na kamieniach rynsztoka, dała się prowadzić ku bramie głównej. Zimny wiatr uderzał w deszcz z boku i smagał nim liście, krzewy i trawy to z tej, to z innej strony. W pobliżu furty ogrodowej utworzyły się całe jeziora bez upustu i grobli, które by umożliwiły przedostanie się na trotuar kamienny. Raduski proponował swej towarzyszce, że ją tam odniesie, ale tylko na gniew jej zasłużył. Stał więc z brzegu bajora i głęboko deliberował co czynić. Pani Poziemska nie namyślała się tak długo i przebyła kałuże w bród, z wielką szkodą dla sukni, której widać z umysłu, nie chciała podnosić wysoko. W ślad za nią Raduski mężnie wtargnął na chodnik marmu-

rowy. Przyległe ulice zalane były wodą. W miejscu otwartym deszcz nie tylko padał, ale prał strugami wody, jak biczem. Na szczęście w uliczce sąsiedniej dał się słyszeć leniwy turkot dorożki. Raduski zaczął ją przywoływać iście wilczym głosem i ku wielkiej radości osiągnął skutek: drynda z hałasem i trajkotem podjechała. Doktorowa wsiadła co tchu i umieściła się w rogu siedzenia. Opiekun uważał misję swą za skończoną, uchylił tedy kapelusza...

– Panie! – rzekła Poziemska – wehikuł zdobyliśmy wspólnymi usiłowaniami. Nie przystaję na to, żeby miał się pan z mojej winy przeziębic! Proszę...

Mówiąc tak, wskazała mu ręką miejsce obok siebie. Usiadł natychmiast i dorożka poczęła walić swymi kołami w bulwy bruku ławieckiego. Raduski nie mógł przyjść do siebie. W pewnej chwili wzbudziła się w nim raptem refleksja: trzeba korzystać z czasu! Sam na sam w zamkniętej budzie z taką niewiastą! Co czynić? A gdyby też a la Bonaparte!... Właśnie pod wpływem genialnej decyzji wyciągnął rękę o dwa cale na bok i przymknawszy oczy, przebieirał palcami w poszukiwaniu dłoni doktorowej, gdy, jak na złość, drynda stanęła. Piękna kobieta wyjrzała i rzekła:

– Otóż i cel...

– Co za cel?

– Nasze mieszkanie...

Raduski pomógł jej wysiąść i odprowadził zmokniętą do bramy kamienniczej. W chwili rozstania, mówiła, wpatrując się weń swymi dziwnymi oczyma:

– Mój mąż kilka miesięcy już leży w łóżku...

– Jak to?

– Kilka miesięcy choruje... Gdyby tylko mógł podziękować panu za jego dobroć... Może pan będzie łaskaw odwiedzić nas kiedy... Zygmunt, mój mąż byłby panu bardzo, bardzo wdzięczny.

Wydawca *Echa* był ciągle tak zdumiony tymi wszystkimi wiadomościami, że nie mógł zorientować się, co ma w danej chwili uczynić i mówić. Pani Poziemska uśmiechnęła się do niego życzliwie i znikła w ciemnym zagłębieniu schodów. Medytował w bramie jeszcze czas pewien, potem zapłacił dorożkarzowi należność i piechotą udał się w swoją stronę. Deszcz już był ustał i rozsiewały się tylko lekkie pyły wodne. Chmury przeszły daleko i odsłoniły błękit nieba. Znalazłszy się w swym mieszkaniu, Raduski zrzucił mokre odzienie i przebrał się w garnitur wizytowy. W chwili, kiedy już w zupełności dokonał tego dzieła, siadł na krzeselku i myślał, co czynić dalej. Palił się w nim jakaś gorączkowa wizja, niecierpliwość, podobna do bardzo dawnej, kiedy w dzieciństwie miał nadzieję być w teatrze i usiłował przewidzieć, odgadnąć, co tam zobaczy. Teraz owa wyostzona ciekawość splatała się z jakimś zabobonnym pewnikiem, który leżał w głębi duszy, jak mała pruszyńska na źrenicy, patrzącej w daleki krajobraz. Czasami bolesne ściśnienie serca dosięgało takiego stopnia, że z niego rósł ból szczyry. Oczy pani Poziemskiej patrzyły ciągle, piękne oczy, które nic nie wiedzą, w których nic się nie maluje... Jakże szczęśliwym ten człowiek być musi, na kogo te oczy patrzą z miłością, kogo witają i żegnają... Raduski nie pragnął już takiego szczęścia. Życie jego zostało zamknięte, a klucz dawno rzucony w niezgruntowane wody. Szczęście osobiste jest to razowy chleb, którym się karmi siła i młodość. Jego siłę pochłonął inny, jedyny romans całej młodości, romans zawodny, namiętność niewzajemna, nieszczęsna, chodząca brzegiem przepaści górna i chmurna. Tamta wszczepiła się w krew i nerwy tak zżarcie, że prawie nie było możliwości przyjść do ludzi tego padolu i jąc się życia ich na nowo...

Około godziny drugiej Raduski szedł z wizytą do pięknej pani. Na spotkanie gościa nikt nie wychodził, aczkolwiek służąca, która drzwi otwierała, poszła uwiadomić kogo należy o jego przybyciu. Dom był w nieładzie. Gabinet lekarski wyglądał jak sypialnia: szeszląg był zawalony kupą pościeli zwiniętej od jednego razu w gruby rulon, – na biurku między emblematami sztuki medycznej stała misa z wodą, gąbki, szklanki, noże, widelce. W salonie małe kanapy, etażerki, konsole, stoły, pełne były zwojów czystej waty, wałków gazy, bandażów,

słoików i dużych gašiorów z wodą. Powietrze przesycił jodoform i karbol. Raduski żałował, że przyszedł, ale nie było już czasu o tym rozmyślać... Pani Poziemska wyszła do niego w szarej, prostej sukni. Na twarzy jej nie było ani cienia wesołości, ani jednego z czarujących u śmiechów. Włosy miała zwinięte w zanedbały węzeł. Patrząc na te włosy złociste, o barwie i połysku, jakie oglądać można w miejscu złamania płyty czystej miedzi, Raduski zapomniał o wszystkim i marzył tylko, niby o wielkim szczęściu, żeby się te pukle rozwiązały i żeby cała ich kaskada spadła na ramiona, plecy, aż do kolan. Doktorowa przyjęła go życzliwie, ale z pewnym roztargnieniem, niby osoba wsłuchująca się ciągle w jakieś szmery. Mówiła szep-tem, zdaniami urywanymi, z wyrazem niepokoju, jak gdyby gość ten był znajomym sprzed lat dwudziestu, którego wizyty nie oczekiwała nigdy w życiu. Prosiła, żeby usiadł i sama zajęła miejsce obok w fotelu. W pewnych chwilach podnosząc oczy, uśmiechała się, ale przez jakiś wielki smutek, przez głębokie zmartwienie. Uśmiechy te spływały na jej oblicze, jak pełne wesołego światła w nocy ciemnej i burzliwej, które jeszcze grubsze wywołuje mroki.

Do salonu wbiegła za panią Poziemską dziewczynka sześciolatka z długimi blond włosami rozsypanymi na jej barkach. Nie miała oczu matki. Tylko po rysach twarzy można było zgadnąć, że to infantka, Elżbietka. Wbiegła prędko, kiwnęła na matkę i rzekła:

– Zygmuś woła...

Piękna pani weszła bez szelesty do sąsiedniego pokoju i wkrótce ukazała się znowu, mówiąc:

– Panie redaktorze, czy nie zechce pan odwiedzić mego męża? Prosi uprzejmie...

Raduski wsunął się tam na palcach. Był to salon duży i prawie pusty. Okno zasłaniała zielona stora. Pod nim wprost drzwi, na środku mieściła się szeroka otomana. Tam leżał chory. Biała jego twarz, koszula i jej rękawy odcinały się żalobnymi pręgami na tle kołdry w ciemne pasy, pokrywające całe niemal pościelenie. Doktor był mężczyzną lat trzydziesty dwu, może trzech. Włosy miał krótko ucięte, zarost rzadki. Twarz jego była straszliwie wychudzona.... Oczy czarne, zupełnie takie jak u córki, bez władzy leżały w głębi sinych dołów, okrążone szerokimi smugami. Powieki były ledwo, ledwo uchylone, zda się na to tylko, żeby się tamędy mogła przeciskać sama rozpacz, a nieprzykryte części jablek ocznych były suche, jak pergamin. Zaostrzony nos daleko występował z pomiędzy kości oblicza. Chude, białe, przezrocyste dłonie złączone były palcami i leżały, jak martwe rękawiczki.

– To pan Raduski... – wyszeptał, wcale nie dźwigając głowy, gdy żona przyprowadziła gościa do łóżka – poznałbym pana od razu. Pan mnie zapewne nie pamiętasz, ale...

– Owszem, teraz sobie przypominam. Nie znałem pana z imienia, ale twarz pamiętam. Maieszkał pan ze Sworzniem, Smolna... Prawda?

– Ze Sworzniem... – szepnął doktor. Usta jego przykneły się i wnet spadła z oka na poduszkę jedna łza....

– Może byś nie rozmawiał Zygumencie? – rzekła do chorego pani Poziemska głosem takiego brzmienia, że Raduski w tej minucie coś w sobie jak gdyby złamał, czy zmiądzzył.

– Będę mówił z panem Raduskim! – zaskrzeczał chory, wyszarpując z kołdry nitkę bezsilnymi palcami. Jedyna moja frajda i ta zawadza... Precz! – syknął przez zęby, dziko błyskając oczyma.

– Może to szkodzi, doktorze? – cichym głosem wtrącił Raduski.

– A więc pan nie mów ze mną do wszystkich diabłów!

– Ależ...

– Uciekli przecie wszyscy, gdym zaczął śmierdieć. Co do jednego! Pies się o mnie od sześciu tygodni nie dowiedział. Uważasz pan! Kiedym stawiał wino przy obiedzie, to było współbraci, towarzyszków, ilu kto chciał!

– Zwykła kolej...

– Zwykła kolej! We wszystkim zwykła kolej... Dawno pan tu mieszkasz?

– Parę tygodni.

– Słyszałeś pan o moim przypadku?
– Nic, nic a nic.
– Uważasz, Marta? Już o mnie zapomnieli nawet w tym parszywym Łzawcu... Nawet tu!...
– Doktorze! Ja tu jestem zupełnie obcy... Nic dziwnego, że mi się o panu rozmawiać nie zdarzyło...

– Co mi pan tam gadasz! To taka na świecie kolej... Sam przecie... Wczoraj szanowany, wzięty, głośny, a co najważniejsza wyzyskiwany, leczący za darmo, doktor Poziemski... a dziś... upadł... i już go nie ma. I to bydło, ta gawiedź, którą leczyłem bezpłatnie, do której lazałem po nocach już z pewnością innego nabiera i zasypuje czułościami. Usiądź no pan tutaj, wszystko panu opowiem, jak było.

– Zygmusiu... – znowu mężnie wymówiła pani Poziemska.

Doktor milczał przez chwilę ze ściągniętymi brwiami i przygryzioną wargą. Rzuciwszy na żonę jadowite spojrzenie, zaczął mówić na złość, widocznie, głośno, z wysiłkiem:

– Uważasz pan, ja tu byłem lekarzem wolno praktykującym. Miałem dochody, pracę dużą, za dużą, jak na moje siły, ale orało się, człowiek był pełen animuszu. Proszę pana... co się nie robi... Chodziłem po przedmieściu, jak zwykle, tu na Kamionkach, nie wiem, czy pan... Wezwany nie pamiętam już przez kogo do nędznej chałupy, poszedłem na swoją zgubę. Chałupsko stoi u samego końca przedmieścia, niedaleko folwarku, jeśli pan widziałeś tę okolicę. Siedział tam na komornym u faceta, wykuwającego pomniki...

– A... szepnął Raduski.

– Znasz pan może tę budę?

– Nie, nie, nie.

– Otóż mieszkał tam jakiś parobek, wyrzucony ze służby. Zajmował się, jakem później doszedł, rozmaitymi przygodnymi interesami, np. obdzierał ze skóry zdechłe konie, krowy, nosił żydom wodę, czyścił miejsca ustępowe. Wszedłem, panie i zastałem tego *drania* w śmierdzących gałganach. Ach, Boże! Pobieżnie, bo czasu było brak, za darmo, rozumie się, obejrzałem świniarza i nie mogłem zrozumieć, co mu jest. Zdawało się zrazu, że to przymiot, bo miał po sobie rany z paskudnym wyglądem, o dnie gnojącym się, lepieże płaskie... Babrałem się w nim długo. Tymczasem on gadał sobie ze mną, a że był mocno zakatarzony, więc parsknął co chwila prawie na twarz moją. Bajtlowaliśmy tym porządkiem dosyć długo, aż raptem wyznał mi, ścierwo, że on koniska obciąża. Przyszła mi myśl, że to może być nosacizna, ale nie miałem czasu zajmować się tym dłużej. Chory leżał w podłym stanie i trudno było głowę sobie nim zawracać. Umyłem ręce i wyszedłem. Minęło kilka dni. Rzecz działa się w sierpniu zeszłego roku. Mieliśmy tu majówkę towarzyską, tańce w lesie, następnie wieczór u adwokata Koszczyckiego. Było to coś we cztery dni po wizycie. Na majówce czułem w sobie jakieś dreszczyki, jakieś coś w rękach i w nogach, ale uwagi nie zwracał. Dopiero w nocy u Koszczyckiego przy wincie zastanowiłem się, co to być może. Czyżby tyfusik? W głowę mnie czasem uderzył dziwny jakiś żar, miałem duszenie w okolicy serca i nie to, że bolesne, bo prędzej zabawne dławienie w mięśniach i stawach. Jedna z ładnych kobiet zbliżyła się do mnie i zaczęła, jak to mówią, flirtować na złość Marcie. A kiedy tak plotła mi jakieś miłe trzy po trzy, nagle mnie, jak drągiem zwała myśl: a nóż to jest soczek tego zgnilca? Panie, dużo później przeżyłem, ale nigdy i nic gorszego nad tamtą chwilę, kiedym się uśmiechał do owej damy. Rozumiesz mnie pan? – zapytał, wyciągając ku Raduskiemu skurczoną rękę ze zgiętymi palcami, straszna w istocie, jak myśl, o której mówił. – No a w tydzień później wiedziałem już dokładnie, że to jest *malleus humidus, farciminosus*... nosacizna. Koledzy, eskulapia tutejsza rada w radę. Wysłano mnie do Warszawy. Tam także... Dziś, panie, oto co jest...

Z trudem odsunął kołdrę i ukazał gościowi swe nogi. Lewa ręka była spuchnięta, brunatna, pokryta paskudną wysypką, jak gdyby ospą. Tu i ówdzie formowały się wzdęte, ciemne abscesy. Chory przyglądał się tym swoim ranom przez chwilę, następnie odkrył piersi, a raczej grube powijaki, zakrywające widok bolesny...

– Widzisz pan, – mówił z uśmiechem – jak to matka przyroda nagradza lekarza, tego, co za byle jakie honorarium latami dusi się wśród fetoru trupów, a później przez całe życie swoje wacha, ogląda, rozpatruje, maca rękami wszelkie wrzody, rany, najwstrętniejsze choroby, smrody i kały człowiecze. Gdzie każdy parobek, każdy lokaj, ostatni sługus cofnie się ze wstrętem, tam idzie lekarz. Musi nie tylko uprzątnąć, ale nadto uzdrowić... Widzisz pan, jaka to jest sprawiedliwość...

– Panie Poziemski... – zaczął mówić redaktor.

– Czekajno pan, nie tak prędko! Życie się do mnie uśmiechnęło, gdym sobie tu osiadł. Elżbietka chowała się zdrowo, a teraz co, a teraz co! Marta! – wrzasnął nagle – Marta! Boli, boli! Psiakrew jedna, boli, suko ty... boli, boli!...

– Gdzie koteczku, gdzie, maleńki mój?...

– Prawa małpo... Ja ci dam!... Prawa koło *patelli*... Marta, Marta...

– No cicho, mój biedny, mój najbiedniejszy, mój skarbie jedyny... Cicho, cicho... Teraz jeszcze nie można przewinać. Może ustanie, może ustanie, może... – szeptała, zapomniawszy całkiem o gościu. Wtedy Raduski dopiero zobaczył, jakie to było spojrzenie tych oczu cudownych i co znaczyła w nich mgła zadumy.

Doktor jęczał i mlaskał ustami. Po twarzy ściekały mu dwiema strugami łzy bólu. Pani Marta delikatnie przytknęła chustkę do twarzy chorego i osuszyła mu powieki.

– Może byś teraz troszkę zasnął... – szepnęła cicho, nieuleknionym, kochającym głosem.

– Jużem ci kazał, żebyś poszła do cholery! – jęknął. Będę rozmawiał z panem Radwańskim, czy jak tam, bo chcę odpocząć, odpocząć... Wyobraź sobie pan, miałem już tysiąc rubli uciulanych. Wszystko poszło, jak dym z papierosa. Teraz przecie nic nie zarabiam sześć miesięcy! Rozumiesz pan, co ja mówię? Oto masz pan dolę eskulapa wolno praktykującego...

– Panie Raduski, on za dużo mówi... – rzekła doktorowa, spoglądając na gościa nieśmiało.
– Musimy go ubezwładnić...

– Ani mi się waż ty! Będę prał po pysku!

– Chodźmy, panie, chodźmy... – mówiła, kiwając ku choremu głową. Na wargach jej trwał nieopisany, zagubiony uśmiech, o spędzeniu którego, jakby zapomniała. Gdy się znaleźli w salonie, Raduski usiadł naprzeciwko doktorowej i mamląc zdania, począł ją rozpytywać o tryb życia. Przepraszał tak ciągle za swoją ciekawość, że nie była w stanie zrozumieć, o co mu chodzi.

– Chce pan wiedzieć, ile mamy służby? Są jeszcze dwie służące. Jedna z nich pilnuje Elżbietki, gdyż ja nic już prawie o tej małej nie wiem, a kucharka gotuje, sprząta i czasami pomaga w doglądaniu Zygmunta. On ciągle musi kogoś mieć obok siebie.

– Kogoś?

– Tak, mnie najczęściej. Słyszał pan jak hałaśliwie przypisuje mi krew, to psią, to inną. Kucharka, to rzeczywiście dobre babsko, ale długo nie może siedzieć, bo zaczyna ciskać na nią rękami, płuć...

– A lekarze, felczerzy?

Pani Poziemska uśmiechnęła się blado.

– Dawniej – mówiła – przychodził to ten, lub ów na noc, na część nocy. I teraz, owszem, ktoś sobie wspomni, ale rzadko. Pieniądze nam wyszły, a raczej prawie wyszły, każdy boi się przede wszystkim prośby o pożyczkę.

– A czy zgodziłaby się pani, żebym ja, aczkolwiek nie lekarz i nie felczer miał prawo zaglądać tu kiedy niekiedy, przeczytać co choremu, może w nocy posiedzieć...

– Śmiałażbym zabronić? Ale co na to... Łzawiec, tutejsza cnota? Ja gorąco proszę...

Za chwilę podniosła oczy i blade rumieniec mknął przez jej twarz, niby różowy ranny obłoczek.

– Marta, Marta! – dał się słyszeć krzyk z sąsiedniego pokoju.

VI.

Nazajutrz rano pan Jan udał się z odwiedzinami do chorego lekarza wcześniej, niż zezwalał obyczaj. Wpuszczony do mieszkania zastał je w daleko większym nieładzie, niż dnia poprzedzającego. Sala i gabinet zarzucone były mnóstwem sprzętów i mebelków, przyniesionych z innych okolic lokalu, a nawet bodaj ze składu i spiżarni. Minąwszy je, Raduski wszedł z cicha do pokoju sypialnego. Chory spał dziwnym snem, więcej przypominającym śmiertelne wyczerpanie się samych cierpień, niż szczęśliwe zapomnienie o nich. Strasznie blada i chuda twarz jego leżała na poduszce bez władzy, jak głowa trupa, doły oczne czerniały, niby jamy i tylko jęk, wydzierający się z ust otwartych razem z oddechem świadczył, że w tym ciele, życie jeszcze nie ustało. Przy sofie doktora, z tej strony, w którą zwrócona była twarz jego, leżał na ziemi materac nieokryty prześcieradłem. Górny brzeg poduszki dotykał prawie brody chorego. Jasno niebieska, lekka atlasowa kołdra leżała obok.

– Któż to śpi tutaj? – cichym szeptem spytał się Raduski służącej, która na palcach szła za nim.

– Pani, – odrzekła dziewczyna równie cicho.

– Zawsze tu sypia?

– Zawsze. Czasem to nawet nie śpi, tylko w krzesle siądzie przy panu i ucisza go, jak weźmie bardzo wyklinać i krzyczeć...

– A gdzie pani?

– W ogrodzie...

Nie chcąc budzić chorego, Raduski jak mógł najciszej zbliżył się do zielonej firanki w oknie, uchylił ją i wyjrzał. Był tam kwadratowy wirydarzyk między starymi domami, zamknięty ze strony bardziej odkrytej grubym murem, małe więzienie dla drzew, które na swe nieszczęście tam wyrosły. Wąski trawnik, poprzecinany drózkami żwiru zaścierał go tu i tam. Jasno biały blask padał na jeden tylko klinik murawy i na róg starej kamienicy. Doktorowej nie było tam widać. Raduski wysunął z okna głowę i wówczas dopiero zobaczył ją, siedzącą pod cieniem dużego wiązu, tyłem do mieszkania, na starej, z odgniłymi nogami ławce drewnianej. Poręcz tej ławki zrosnięta prawie była z odziemkiem drzewa. Pani Marta siedziała bez ruchu, jakby spała. Nogi jej były wyciągnięte, ręce rozkrzyżowane na oparciu ławy, głowa w tył odrzucona, niby jakiś ciężar, jakieś brzemień dokuczliwe i bolesne...

– Śpi... – pomyślał Raduski. Po chwili wpatrzywszy się w twarz bystrzej, zauważył, że oczy były otworzone i obserwowały konary, liście drzew, czy ptaki, śpiewające wśród zieleni. Czoło pani Marty, odcięte równymi brwiami od reszty twarzy ukrytej dla wzroku, widać było, niby białą, podłużną plamę słoneczną. Na jednej z rąk leżał ruchomy błysk, który czasami wahał się w prawo i w lewo, błędząc na powierzchni dłoni, to znowu zstępował na spróchniałe drewno, jakby w usiłowaniu wyważenia i dźwignięcia bezwładnych, rozstawionych palców. Takież światelko obrało sobie miejsce we włosach siedzącej, na jasnym puklu, w tyle głowy. Zdawało się, że promień słońca, wpuszczony do tego cichego miejsca przez liście, rozgarnia bujne włosy pani Marty, usiłuje rozwiązać pasma niedbale rozwinięte i roztrzepane nieco wskutek zetknięcia się z szorstką kora, jakby składał na jej głowie nieskończony pocałunek.

Wtem chory doktor jęknął z nagłą i, nie otwierając oczu, jął wołać żony wyrazami już to gminnymi, już pełnymi czułości. Raduski zbliżył się do jego wezgłowia i schylony mówił z cicha:

– To ja tu jestem, Raduski. Żona pańska jest w ogrodzie. Zaraz tu przyjdzie. A może bym ja mógł w czymkolwiek usłużyć?...

– Co mi tam pan możesz usłużyć?... – mówił doktor parszcząc ciągle. – Daj mi chustkę czystą. Tu leżą w szafie na drugiej półce, od góry. Żona w ogrodzie... Wypoczywa... Żona jest od tego, żeby tutaj... Płacimy za nie, stroimy je, oddajemy im cały zarobek, a gdy którego los

zwali, to taka... wypoczywa... Wiedz pan, że mam w nosie rany. Wydzielina jest krwista i cuchnąca. Uważasz co ja mówię? Na błonie śluzowej formują się węzłki, wielkości mniej więcej ziarnka prosa. Wskutek rozpadania się tych węzłów tworzą się ranki, z wolna zbliżają się ku sobie grupami, łączą i pokrywają całą błonę. Coraz większy rozwój węzłów i ciągłe ich rozpadanie się na dnie i w okolicach ran prowadzi procesy zniszczenia głębiej. Obnażają się więzy kości... Potem to martwieje, kruszy się, odrywa. Uważasz pan co ja mówię? W wydzielinie z nosa mieszczą się zmartwiałe tkanki. Strzeż się pan.. – rzekł z okropnym uśmiechem, wznosząc głowę o jaki cal nad poduszką i przez chwile mierzając Raduskiego wzgardliwym wejrzeniem. – Strzeż się pan, z nosacizną nie ma żartów!

– Będę się pilnował, doktorze... – mówił Raduski, podając chustkę w momencie, gdy plecy jego przeniknął zimny dreszcz tchórzostwa.

– U mnie, – ciągnął chory, – proces niszczący, zapalny rozszerza się już wolno na sąsiednie błony, nie mówiąc o caluteńkim ciele, na jamę ustną, dziąsła, oczy, krtań i oskrzela. Boli mnie już gardło i płuca. Uważasz pan, co ja mówię?

– A może by doktorowi przeczytać cokolwiek? – zapytał Raduski z uśmiechem, wywołanym na usta całą mocą.

– Przeczytać? A przeczytaj pan. Cóż to niby masz zamiar ?

– Może powieść jaką, wesołą ? „Klub Pickwicka”?

– Wesołą powieść? Nie! daj mi pan święty spokój! Zapomnę się na trzy, cztery minuty, a gdy przyjdzie wracać do siebie!... Daj mi pan pokój!

– Może historie, opis jakiej wyprawy?

– Co mnie to wszystko!... A zresztą czytaj pan... Masz tu ze sobą?

– Nie, właśnie myślałem, że trzeba by poszukać takiej ciekawej książki. Ja teraz wyjdę na miasto i wrócę za godzinę. Dobrze?

– Dobrze, wróć pan... – rzekł chory, z wyrazem lodowatej drwiny, patrząc swym suchym okiem na jego buty.

Raduski oddalił się nie po to nawet, żeby szukać „właściwej” książki, lecz prędzej dla rozstrzygnięcia zagadki, która go dręczyła w obecności chorego doktora. Jak dziwnym, ciekawym, a tak do okrucieństwa niepojętym trybem łączą się z sobą wypadki i splatają uczucia ludzkie! W myślach, a raczej w wyobraźni jego stała izba, oświetlona lampką naftową, starzec z łysą czaszką i człowiek, leżący w kącie pod gałganami. Dlaczegoż ja to widziałem, – marzył – dlaczego znowu tu jestem u tego doktora? Co za sens, jaka logika? Pod ciężką i szczelną pokrywą racjonalistycznego myślenia roiły się, niby kłęby sprężystego gazu, niepokonane uczucia, pewniki zabobonu, trwogi westchnienia i jakieś głupie uciechy. Czasami na mgnienie oka wcielały się w kształt, który można by określić za pomocą trwałego sylogizmu – i wnet przewiewała je idąca chwila w coś zupełnie obcego, w jakieś prawie nic, rozproszone, jak strzeżoga.

Zatopiony w myślach pan Jan stanął przed księgarnią łzawiecką pana Saula Glockego. Kiedy już otworzył drzwi i przekroczył próg, dopiero zorientował się, że nie wie po co przyszedł, co ma kupić, o co zapytać... Młody ryżawy subiekt z ogromnymi wąsami, zadartymi w sposób modny ku górze, co nadawało jego twarzy cechę suprasarmacką, schylił rozczesaną głowę z gestem wielkiej uprzejmości i, mrużąc oczy, spytał:

– Co pan dobrodziej każe?

Raduski zarumienił się, rzucił okiem po półkach i najniespodziewaniej dla samego siebie rzekł:

– Proszę o sto arkuszy papieru listowego i pięćdziesiąt kopert.

Miał, jak to mówią, na końcu języka pytanie jakąby książkę trzeba kupić dla osoby chorej, dla bardzo chorej, ale widok modnie uczesanego subiekta był tak daleki od treści jego myślenia, że pytanie wydało mu się wprost śmieszne i niemożliwe. Wyliczył pieniądze za papier, oddał winne ukłony księgarzom i, wewnątrz rozczłuszczony na siebie o to, że się dobrowol-

nie skazał na kupno i dźwiganie zbytecznego sprawunku, jał przyglądać się półkom z książkami. Oczy jego biegły po tytułach, umieszczonych na grzbiecie niektórych druków, ale to bezcelowe błędzenie wzmagało tylko irytację. Skłonił się modnym żydowinom raz jeszcze i wyszedł.

Trzymając w ręce sznurek pakietu z kopertami, szedł teraz ulicą bez jasnego pojęcia, co robić dalej. Przyszła mu do głowy myśl, żeby nająć ze dwudziestu małych łobuzów, ustroić ich w dziwaczne kostiumy, wyuczyć byle jakiej roli i odegrać teatr przed oczyma chorego, ale i ten projekt odsunął. Czuł to jedno, że musi rozradować tego człowieka za jaką bądź cenę i w jakikolwiek sposób. Wtem, rzuciwszy oczyma na jedną z wystaw sklepowych, ujrzał za szybą dwa stare, żółkłe autografy hetmańskie, jakiś bardzo dawny pieniądz, kilka rycin...

– Prawda, toż tu siedzi stara mumia... Do niego! – zdecydował się Raduski otwierając z trudem drzwi sklepu.

Znalazł się w dużej sali, od podłogi do sufitu zastawionej szafami, pełnymi książek. W głębi widać było drugą mniejszą salkę, również naładowaną drukiem. Prowadziły do niej dwa otwory bez drzwi, w kształcie nisz z gotyckimi łukami. W środku pierwszej stały rzędem w pewnej odległości jedna od drugiej trzy gabloty oszklone ze wszystkich stron, pełne autografów i starych książek, pootwieranych na pierwszej karcie. W rogu tej sali przy oknie mieściło się duże biurko za którym siedział wiekowy jegomość w czapce i ciekawie patrzył na wcho-dzącego.

Raduski uklonił mu się i z jękaniem wyjawiał cel swego przybycia.

– Chciałem – mówił – znaleźć książkę, którą mógłbym czytać człowiekowi śmiertelnie choremu...

Antykwariusz wstał ze swojego miejsca, oparł się szerokimi dłońmi na biurze i spoglądał Raduskiemu prosto w oczy z wyrazem niby dobroci, niby ironii.

– Czyż ja wiem?... – mówił wysuwając dolną wargę – jeżeli to człowiek religijny... Pismo święte, Ewangelia, Żywoty świętych...

– Nie, nie...

– Nie? – spytał księgarz i ponury błysk mignął w jego szarych źrenicach.

– Uważasz pan – mówił Raduski śmiało i dumnie – jest to człowiek, który życie strawił na badaniu przyrody, na chwytności jej sekretów. Mogłoby go zająć coś z tej dziedziny.

Mina starego mola biblioteki złościła go, wejrzenie i skryty uśmiech podpowiadały mu ostre słowa, których jednak nie chciał wymówić. Czuł w tym zasuszonym szurze twardego bigota, z którym daleko prędzej można przyjść do kłótni, niż do jakiegokolwiek transakcji.

– Może pan zobaczy katalog? – mruknął antykwariusz.

– Drukowany ?

– Nie stać mnie na drukowany. Jest tu cały alfabetyczny, kartkowy... – mówił, prowadząc Raduskiego, do skrzynki drewnianej i otwierając jej wieko.

Podłużna, wąska i płaska skrzynka rozdzielona była wewnątrz na kilkanaście jednakich przedziałów, a każdy z nich pełen był twardych, stojących kartek, z szarej tektury.

– Oto A, oto B. C itd. – mówił stary. – Białe kartki to są odsyłacze z grupami miejscowości, tytułami wydawnictw zbiorowych pseudonimami etc.

Raduski przeglądał kartkę za kartką i odczytywał wypisane niezmiernie jasno tytuły całkowite. Nazwiska autorów mieściły się w osobnym inicjale, daty i szczegóły o druku w osobnej przegrodzie, wartość książki z boku, numer katalogu, pisany czarnym ołówkiem, w specjalnej obwódce. Przeczytawszy kilkanaście kartek z litery A, parę z B, C i D, Raduski zauważył, że nic z tego nie będzie. Trzeba by czytać cały katalog. Mnóstwo imion i tytułów pociągało jego myśli w najrozmaitszych kierunkach i do przeróżnych dziedzin. Daty świadczyły, że zły pan zgromadził książki przeważnie stare, z XVI, XVII i XVIII wieku i że trafiały się wśród nich inkunabuły.

– Cóż ja tu mogę wyczytać? – pomyślał Raduski i zwrócił się do jegomości, który z głową schyloną nad samym biurkiem pracowicie i wolno przepisywał sążnisty początek jakiegoś odwiecznego kulfona. Antykwariusz dostrzegł ruch jego twarzy, wstrzymał lewą ręką wędrujące okulary i zmarszczył czoło.

– Nie trafia się nic odpowiedniego, nic z zakresu chwywania przyrody na gorącym uczynku – spytał grzecznie z ledwo, ledwo dającymi się wyczuć kpinami w tonie mowy. Raduski udał, że nie słyszy, ani rozumie tego tonu i rzekł oschle:

– Trzeba by czytać pozycją za pozycją cały pański katalog. Jest to nudne jak flaki z olejem. Nie będę czytał.

– A może pan dobrodziej tak oto z grzbietów coś sobie upodoba ?...

Mówiąc tak wylazł zza swego biurka i szedł obok szaf, wskazując ręką książki, ale z takim gestem i taką miną, jakby wcale nie miał chęci sprzedawać którejkolwiek. Później zbliżył się do gablot i ruchem głowy wskazał druki za szkłem rozłożone. Były to przeważnie rarytasy bez kart tytułowych. Antykwariusz spoglądał na nie z dziwnym wyrazem oczu...

– To jest – mówił – *Malleus maleficarum*, owoc trudów wielebnego jezuita, inkwizytora księdza Jakóba Sprengera, wydany w Kolonii 1489 roku. Zaleca tu dla dojścia prawdy szczególne tortury, radzi przeszkadzać wszelkimi sposobami apelacji do wyższego sądu, albowiem procedura ma na celu nie wykrycie niewinności, lecz udowodnienie zbrodni. Pierwsza część składająca się z osiemnastu rozdziałów, mówi o czarodziejstwie w ogólności, o działaniach diabła za pomocą czarownic, o różnych sposobach szkodenia ludziom, głównie przy współudziale akuszerki. Część druga, rozdziałów szesnaście, obejmuje środki unikania diabłów i czarów, czyli leczenie się z uroków. Trzecia wreszcie, rozdziałów trzydzieści pięć, zawiera procedurę. Na początku były zamieszczone, jako aprobaty: bulla Innocentego VIII, papieża, dyplomata Maksymiliana I i pochlebne zdanie wydziału teologicznego w Kolonii. Rzuć no pan okiem, rzuć no pan okiem: ten wstęp ktoś później wystrzygł... Uważasz pan? Ktoś go wystrzygł!... Ale my go znamy doskonale, my go umiemy na pamięć, przepisaliśmy go starannie i wkleili w miejsce właściwe... Ba, a to nic? – wołał starowina, prostując okulary i wydobywając książkę, – to nic, ten przypisek polski z wieku XVII inkaustem: „Nie godzi się tem piśmem parać nie tylko katolikowi, ale i kapłanowi...” Cóż pan powiesz? Nie godzi się już tem parać... Już przyszedł promień kultury i uderzył w zgniłe mroki! I kto by to był, co pisał te słowa, kto by to był... – szeptał z cicha antykwariusz, wpatrując się swym ostrym, natrętnym, drwiącym wzrokiem w stare wyblakłe litery.

Raduski wziął z rak jego książkę i oglądał ją, niby cacko, które się może za chwilę rozlecieć. Papier był tu i ówdzie podziurawiony przez małe robaczki, zwierchnia okładka urwana. Zostało z niej tylko drewno wewnątrz, pod spodem ucięty kawałek pergaminu z szeregiem liter tak czarnych, jakby je pracowita ręka mnicha wczoraj stawiała, – i szmat grubej skóry z wytłoczonym emblematem.

– Polska oprawa – rzekł antykwariusz, biorąc książkę z rak pana Jana. Bardzo ciekawa, bardzo ciekawa... Czy pan uważasz, – rzekł nagle ze szczególnym uśmiechem, – co się w tym druku mieści, jaki to jest dokument? Kto ją tu przywiózł, kto czytał, ile to z niej wyszło tego, jakże się zowie... potem ktoś wyciął przedmowę, a wreszcie ktoś napisał, że już... Albo ta – zawołał z nowym blaskiem w oczach – *Historia Bohemiae*, z wielkim koślawym, czerwonym tytułem. Pisał ją biskup Dubraw z Ołomuńca. Ulegała zupełnemu paleniu na stosie. Ten egzemplarz pochodzi z Szwecji. Widzisz pan, przypisy szwedzkie!... Kto też i kiedy unosił ze sobą tyle książczysko, jaka miłość kryła ją pod płaszczem i niosła za morze? A to, mój panie, *Vierzig Fragen von der Seele* z 1623 r., Jakóba Bomego, szewca filozofa. I to było palone zażarcie.

Idąc obok swych gablot, stary księgarz wskazywał z żywością rozmaite druki, przeważnie w białych skórkach. Jedne z tych opraw były gładkie i piękne, jasne żółte i lśniące, inne szcer-

niałe i niby krwią pokryte zamykały się na stare zluzowane klamerki. Wszystkie te dzieła leżały w wielkim ordynku: mniejsze formaty na górnej półce, czwórki niżej, foliały nisko.

– Oto masz pan elegancką hołotę, wydaną *Lugduni Batavorum*, – mówił księgarz prezentując maleńkie szesnastki polskie i obce, prześlicznie drukowane w Leydzie ze sztychowymi tytułami. – Tu są nasze, *Dantisci apud Joannem Forsterum cum gratia et privilegio Sacrae Regiae Majestatis Poloniae et Sueciae*. Fredro, Opaliński...

Stary zapomniał o celu przybycia Raduskiego, wpadł w ekstazę bibliograficzną i zaczął przedstawiać

Swój własny, jakoby nieporównany, wzór katalogowania, umieszczania sygnatur, manifestował biegłość swą w odczytywaniu znaków, symboli, cyfr i liter na okładzinach etc. Raduski słuchał go ze spokojem, jednym uchem chwytając, a drugim wypuszczając te wiadomości.

– Zbiór starych książek, panie dzieju, – mówił bibularz, trzęsąc rękami – to nie księgarnia, to nie skład druku, to żywy organizm, zrozumiale przemawiający. Każda z tych książek ma swoją historię i dla człowieka co dłużej na nią patrzy a myśli, ma dziwny urok i wzbudza szacunek. Niech no pan zważa, ile to tu jest roztrząsań, dociekań, uniesień ducha, wizji, marzeń, poetyckiego wzruszenia, napomnień, klótni, przekleństw i błogosławieństw...

– A już to wszystko, cmentarz. Co kogo obchodzi płomienna satyra Jordanusa Brunona *II Candelajo*, pisana w roku pańskim 1582, która przecie była jedną ze szczap, rzuconych przezeń na stos własny? Wszystko to minęło i człowiek, stojąc wobec tego, może tylko rozmyślać sobie niby Hamlet nad czaszką błazna: „Biedny Yorricku! Gdzież teraz twoje drwinki, twoje śpiewki, twoje koziołki, twoje wybuchy wesołości, które doprowadzały do ryku stół biesiadniczy? Ani jednego teraz, by wyśmiać twoje własne szczerzenie zębów z zuchwą do cna opa-dłą...” Oto na przykład, mam tutaj dwie ciekawe książeczki Tomasza Campanelli, których bym za nic nie sprzedał. Jedna z nich nosi tytuł *Civitas solis*, wydano ją w Utrechcie, roku 1643. Druga *Apologia pro Galileo*, wydana była we Frankfurcie, w roku 1622. Tę ostatnią książkę siarczysty mnich pisał między jedną torturą a drugą. A tortury były nie byle jakie, trwały po trzydzieści pięć godzin, zrzadzając ciężkie uszkodzenia ciała. Arterie i żyły pękały, a krwi płynącej z ran filozofa nie można było zatamować. Okręcono go powrozami, które wpiły się aż w kości. Zawieszono ze związanymi rękami nad ostrzem drewna, które wygryzło mu szesnastą część ciała i wytoczyło zeń dziesięć funtów krwi. Ta książka, mówił antykwariusz, trzymając w ręce *Civitas solis*, przemawia do mnie, jak miecz złamany w boju, skrwa-wiony po rękojęść. Nie sprzedałbym jej za żadne pieniądze, za żadne pieniądze!

– A gdzieżeś ją pan kupił?

– Gdzież kupił? Tutaj, u Żydka, który furę, słyszysz pan, furę takich książek zgarnął za trzy ruble w czasie licytacji gratów po jakimś kanoniku, zmarłym na prowincji... Bo i dlatego taki Campanella pisał swoją *Civitas solis*? Dlaczego? – wołał stary głośno, patrząc Raduskiemu w oczy. Jakiż wariat! Tracić na zaostrzonym drągu szesnastą część ciała i dziesięć funtów krwi dlatego... No dlaczego, dlaczego? Dla iksa, który miał być dopiero po nim, *czort* wie kiedy, i którego nawet on nie mógł zrozumieć dostatecznie. Mój łaskawco, bronić Galileusza, uprzeć się dla satysfakcji myślenia według własnych upodobań, dać sobie rozpruć żyły...

Raduski siedział na stołku przy gablocie, odkładał książkę za książką i uśmiechał się pod wąsem. W pewnej chwili wlepił oczy w starego rozmówcę i przypatrzył mu się ciekawie. Jedne z drzwiczek ostatniej szafy nie dawały się otworzyć z łatwością i antykwariusz poszedł szukać jakiegoś klucza. Stukając pantoflami, wszedł z pierwszej sali do drugiej z błyszczącą posadzką, która leżała o kilkanaście centymetrów wyżej niż w głównej, i, zbliżywszy się do ściany, gdzie widać było tylko same półki z książkami, znikł wśród oprawnych tomów, jak gdyby się nagle zamienił w proch biblioteczny i schował w pierwszej lepszej szufladzie.

Raduski obejrzał się po sali. W ciszy, która nastąpiła z chwilą wyjścia właściciela zbioru, słychać było z kąta wolne *tik-tak* ogromnego szafkowego zegara. Dźwięk ten zabawnym

uczuciem przejął serce pana Jana. Z łatwością można było teraz pojąć, co tak niejasno, choć krzykliwie opisywał stary antykwariusz, owo uczucie przykre i dławiące, gdy się słyszy systematyczne i jednakie kroki niestrudzonego czasu wśród odwiecznych druków. Raduski trzymał na kolanach jakiś wielki tom in folio i przewracał kartę za kartą. Druk był polski. Oczy Raduskiego padły na jedną z stronic i przyłgnęły do niej. Antykwariusz wrócił ze skrzyneczką, napełnioną pękami kluczy, i zajął się otwieraniem niesfornych drzwiczek. Gadał głośno, zwracał się do gościa, ale bez skutku. Po upływie blisko godziny Raduski wstał prędko i rzekł:

- Sprzeda mi pan te książkę?
- Żywoty ojców świętego Hieronima? Phy... No może. Choć mi żal. To dla tego chorego?
- Co pan każe sobie zapłacić?

Antykwariusz począł przeglądać swe spisy, notować na rozmaitych karteczkach, a na koniec końców mruknął, ruszając wargami, jakby coś przeżuwał:

– To tam żywoty... Pieniądzy się za to nie bierze. Czytaj pan temu choremu.. Niech wam służy.

- Ja wezmę książkę tylko za pieniądze.
- Nie dam tej książki za pieniądze!
- No to nie.

– Kładź pan tu na gablocie dziesiątkę i bierz tego Hieronima! – krzyknął stary, jakby kto z niego darł pasy.

Raduski podał mu rękę, wymienił swe nazwisko, co tamtego, zdawało się, wcale nie interesuje, umieścił na szklanej szubie szafki dziesięć groszy i wyszedł, dźwigając księgę.

– A nie zniszcz pan druku! Zawszeć to siedemnaste stulecie... – wołał antykwariusz. Raduski słyszał głos jego, gdy już był na ulicy. Wprost ze sklepu bibularza udał się do mieszkania Poziemskich. Gdy tam przyszedł doktorowa zajęta była brzydką operacją przepłukiwania choremu nosa. Ledwie to skończyła i ledwie biedak złożył swą głowinę na poduszkach, w przedpokoju dał się słyszeć głos dzwonka i w parę minut później wszedł Koszczycki. Twarz miał wystraszoną i oczy biegające. Ujrawszy Raduskiego, dźwignął brwi wysoko i zachował dyplomatyczną pozę, która mogła równie dobrze zwiastować chęć uściśnięcia kolegi, jak i świadczyć, że go się wcale nie zna. Raduski uśmiechnął się i podał mu rękę .

– No i jakże? – szepnęła przybyły, zwracając się do pani Poziemskiej, – nie lepiej ?

– Nie, nie lepiej... – odparła ruchem ust i oczu. Następnie, według swego zwyczaju, odchyliła cokolwiek w tył głowę i spod rzęs, z ledwie co widocznym uśmieszkiem przyglądała się adwokatowi. Raduski udawał, że ma oczy spuszczone, a pilnie śledził każdy ruch mecenas, nie mogąc zrozumieć, po co on tam przyszedł.

– A może go posądzam... – rozmyślał – może to w istocie litościwy człowiek?

Gdy upłynęło kilkanaście minut chwycił sekret w przestrzeni, na gorącym uczynku. Koszczycki schylony nad łóżkiem chorego uwielbiał doktorową, która siedziała z drugiej strony posłania, wzrokiem pełnym głębokiej, utajonej, gwałtownej namiętności. Nie pragnął on, widzieć, żeby afekt jego był dostrzeżony przez samą panią Martę i z oczu jego wyglądała tylko czysta, nienasycona i nienapatrzona żądza miłości. Zbadawszy to zjawisko, Raduski spuścił z oka mecenas i zajął się doktorową. Ciekawość jego przekroczyła teraz wszelkie granice: czuł, że sił wzroku zdolna by była wydrzeć prawdę z cieniów nocy, z dna wody, z głębi gruntu. Twarz pani Marty była zupełnie obojętna, ale czasami przesuwaly się po niej zamaskowane uśmiechy, niby zimne światło, idące późną jesienią przez role smutne i pełne żalności. W chwili, kiedy oczywiście była pewna, że Raduski patrzy w inną stronę, pani Marta uniosła rzęs i przeźroczyście, jastrzębie źrenice jej spoczęły na Koszczyckim. Wnętrznosci Raduskiego zadygotały, jakby go kto skrytobójczo dźgnął nożem. Doktor leżał bez życia, niby kłoda. Nawet stękanie jego ucichło. Raptem począł chrząkać, prędko zamykać i otwierać usta, – i wycedził przez zęby:

– Panie... panie... pa... Raduski, miałeś czytać, miałeś coś czytać...
– Ach, prawda, przyniosłem książkę... – rzekł Raduski i rozłożył na kolanach *Żywoty*. – Chcesz pan posłuchać żywotów świętych? – z uśmiechem zwrócił się do chorego.
– Żywotów... Wszystko mi jedno, wszystko mi jedno. Czytajże pan... Dlaczegoż nie czytasz u diabła?...
– Janek i żywoty świętych pańskich... – cicho wymówił Koszczycki do pani Poziemskiej. – Świat się przewraca...

Pan Jan otworzył książkę i zaczął czytać życiorys świętego Pawła Pustelnika, spisany przez świętego Hieronima. Czytał, jak za prześladowania Waleriana Paweł, wyćwiczony w naukach greckich i egipskich, opuścił wielkie dobra, rodzinę, uciekł w pustynię syryjską i sto trzynaście lat przeżył w pieczarze; jak świętemu Antoniemu, który na innej puszczy dziewięćdziesiąt lat już był wytrwał, śnił się sen, ażeby iść do Pawła, czytał o spotkaniu świętych u wejścia do grotty, o rozstaniu ich.

– Nudne to jest! – zawołał doktor, marszcząc się. – Nudne jest, nudne... Co mnie to może obchodzić?

Niech no pan czeka! – z gniewem w głosie rzekł Raduski i począł czytać ciąg dalszy o tym, jak Antoni wrócił do klasztoru, spustoszonego przez saracenów i jak znowu szedł na puszcę. Wreszcie czytał taki ustęp: „A jako już dzień rozświecił się inszy i przez trzy godziny czasu drogi zostawało, zobaczył między aniołów hufcami i między proroków i apostołów chórami śniegową Pawła białością świetnego, ku niebu postępującego. I zaraz na twarz padłszy, piasku na głowę swoją sypał, płacząc i narzekając mówił: czemuż mnie Pawle opuszczasz? Czemuż odchodzisz nie pożegnany? Tak nierychło poznany, tak prędko odchodzisz... Powiada potem błogosławiony Antoni, iż z taką prędkością ostatek drogi biegał, iż jakoby ptak przeleciał. I słusznie. Bo wszedłszy w jaskinie, zobaczył klęczące, z rozciągniętymi do góry rękoma ciało martwe. A tak obwinawszy i z jaskini wyniósłszy ciało, pieśni także i psalmy według podania chrześcijańskiego prześpiewawszy, frasował się Antoni, że grace, którą by wykopał ziemię, nie miał. A mieszając się różną umysłu burzą i sam ze sobą uważając, mówił: jeżeli do klasztoru chcę się wrócić, trzy dni drogi jest, jeżeli tu zostanę, nic dalej nie pocznę. Niechże tedy umieram, jakom zasłużył, i przy twoim padłszy, wojenniku, Chryste, niech ducha ostatniego wyleję. To gdy sobie w głowę roił, a oto dwa lwy z głębszej pustyni zbiegłszy, z rozczochranymi na karkach grzywami przylatują, których obaczywszy naprzód zląkł się, a znowu do Boga ducha podnosząc, jakoby ciche gołębie zobaczył. A oni prosto do ciała błogosławionego starca przybiegłszy, zastanowili się i przychlebiając się ogonami, przy nogach jego ulegli, głosem rycząc wielkim tak, iż rozeznał się, że płakali ile mogli. Potem niedaleko poczęli ziemię nogami drapać i piasek na przemian wyrzucając, prawie na jednego człeka miejsce wykopali. I zaraz, jakoby za zapłatę za pracę mieli żądać, robiąc uszami i nachylając karku, do Antoniego poszli, ręce jego i nogi liżąc. A ów zrozumiał, że go o błogosławieństwo prosili.”

Gdy Raduski czytał ostatnie wiersze, rzucił okiem na twarz chorego i wnet cisnął książkę. Poziemski o własnej sile dźwignął czaszkę, straszną, przypominającą głowę kondora, z mokrymi włosami, które oblepiły ciemną, szeroko otworzył powieki i z nieznośną badawczością patrzył na linie druku.

– Któż to pisał? – zapytał ostrym głosem.

– Święty Hieronim.

– Hieronim?

– Tak.

– Przecie to autorytet?

Raduski uśmiechnął się mimo woli.

– Tak... autorytet... – rzekł cicho.

Chory spuścił głowę na poduszki, zamknął oczy i szeptał do siebie:

– Umarł z wyciągniętymi do góry rękoma, a lwy mu grób kopały...

Mecenas bez ruchu siedział w fotelu z głową wspartą na ręce. Nie spuszczał oka z twarzy Raduskiego. Brwi jego były zsunięte i czoło tak zmarszczone, jakby w głębi swego mózgu szukał rozwiązania jakiejś sprawy niewymownie splątanej. Pani Marta przyglądała się choremu suchymi oczami, a wzrokiem tak zgasłym, że się wydawało, jakoby miała źrenice we łzach utopione. Milczenie zaległo pokój.

Nagle doktor wziął chrypieć i łkać. Łzy płynęły po jego twarzy wielkimi kroplami, spadały na jasiek i wnet rozlewały się w duże, ciemne plamy.

– Oto, – mówił wśród szlochów i stękań, – po tylu latach dążenia do prawdy, po przebyciu morza trudu lekarskiego przyszło mi na to, że jedyną ucieczką mojego umysłu stanowią takie brednie, takie banialuki... Oto... Trup zastygły trzymał ręce ku niebu, duszę jego aniołowie odnieśli, a lwy mu grób wykopały „przychlebiając się ogonami...”

Głęboki smutek przejął serca obecnych, ale wszyscy troje siedzieli nieruchomo, czując doskonale, że są tylko bezsilnymi widzami, którzy nic a nic w tych sprawach nie tylko zdziałać, mówić, ale nawet sądzić nie mogą...

– Co ja pocznę, co ja pocznę, gdzie ja się obrócę, co ja będę robił! – zakrzyknął nieszczęsny, zrywając się z łóżka i targając rękami bieliznę na sobie.

Pani Marta wolno zbliżyła się do wezglowia, uklękła przy nim i nagiąwszy rękami ku poduszce głowę chorego, zaczęła mu, jak zwykle, obcierać chustką oczy i skrzywione usta.

– Po co ja, głupi, przyniosłem tę książkę i po co ja to czytałem?... – rozważał Raduski, brnąc myślami w jakiś zaułek swej własnej duszy, skąd nie było wyjścia i na poprzek którego stała tylko czarna głębia otwartej mogiły.

VII.

Długie, cudne dni maja przechodziły dla Raduskiego tak szybko, jak godziny. Zaledwie rozświetlał się jasny, zmoczony rosą poranek, już szła noc, prawie ciągle bezsenna i wnet ustępowała przed nowym przyjściem słońca. Nocne czuwanie, sen pełny trwogi wprawiały redaktora w stan szczególnego oszołomienia.

Widząc ogromne znużenie, pod ciężarem którego pani Marta z nóg się waliła, zaczął ją sumiennie wyręczać w doглядaniu chorego. Siedział tam prawie dzień i noc, kiedy niekiedy wymykając się dla chwili snu, obiadu i zasięgnięcia od Grzybowicza języka o stanie gazety. Już po upływie paru tygodni stał się w rodzinie doktorskiej osobą tak niezbędną, że gdyby raptem usunął się od spełnienia tych własnowolnych obowiązków, stracono by tam całkowicie w warunkach tak fatalnych możliwość bytowania. Pani Poziemska nie opuszczała swego stanowiska u wezgowia, spała przy nim, jak dawniej na ziemi, ale nie zajmowała się już sprawami domu i wykonawczą jedynie rolę pełniła w kuracji. Bardzo w czynach jej, w dźwiękach głosu, w ruchach, w wyrazie twarzy, a szczególnie w tępych spojrzeniach widać było niemoc utrudzenia, wstręt i obojętność. Męstwo umysłu, wytrzymałość serca nie zmniejszyły się w niej ani o jedną kreskę, ale ręce i nogi, uszy i oczy – ustały. Często idąc przez pokoje z filiżanką bulionu, flaszką lekarstwa lub termometrem w ręce, zbliżała się do jakiegoś fotela lub krzesła, zamiast do męża, składała rzeczy niesione na pierwszym z brzegu stole i w postawie byle jakiej usypiała, a raczej tonęła w odrętwieniu sennym, krótkim i jeszcze bardziej męczącym, z którego budził ją pierwszy szept lub westchnienie chorego.

Wszystkim zajął się Raduski. Gdyby go kto wprost spytał, dlaczego to wszystko robi, nie umiał by odpowiedzieć, a właściwe nie byłby w możności wyrazić słowami, co go pchało do tego rodzaju czynności. Była to przede wszystkim z pewnością jakaś miłość. Coś strasznie, nad życie swoje w całej tej historii kochał. Ale osobę, czy co? Skulone ciało, ranami wstrętnymi okryte, źrenice pani Marty w próżni zatopione, czy szczebiot Elżbietki, której do ojca nie wolno było przybliżyć się i dotykać? Ta głęboka miłość smutnych salonów, osłoniętych żaluzjami, podobną była do jakiejś siekiery. Obuch jej stanowiła tępa zemsta, nie wiedząca w kogo ugodzić. Ale częściej, daleko częściej myśli snuły się długim szeregiem, jedne za drugimi, jak ciche siostry miłosierdzia, co, ukrywszy twarze, niestrudzenie, ze świętym bohaterstwem idą w środek łoskotu wojny, aby na polu zniszczenia zbierać straszliwe jej plony. Pod wpływem tego uczucia rzucał się do walki z chorobą i starał się przemóc jej siłę. Urządził dwa razy konsylium specjalistów warszawskich i wybitniejszych miejscowych lekarzy. Przepisy i najszczegółowsze, najdrobniejsze wskazania wypełniał sam i przy współdziałaniu doktorskiej, nad wszelki wyraz gorliwym. Ale była to bitwa przegrana. Każdy dzień przynosił nowy znak porażki. Wśród mozołów gorączkowego wydzierania naturze życia doktora, w półsnach, półjawkach znaki te łączyły się w dziwne kombinacje, w pewne formuły. Niebezpieczeństwo i groza wywyższały te myśli, dźwigały je na górne miejsce, skąd widać się dawał szeroki obraz ludzkiego bytu. Choroba doktora i połączone z nią okoliczności były to dla Raduskiego nie tylko codzienne fakty, nie tylko zatrute owoce dzikości świata, ale nadto były dlań jakby typy działania pewnych sił, gromadzące się ciągle w jego umyśle. W ciągu tego całego miesiąca zapamiętał szczególnie kilka wypadków, a raczej kilka chwil swej duszy.

Pierwsza zdarzyła się jednego dnia ranem, o samym brzasku, kiedy chory czuł się gorzej niż zwykle. Pani Marta usnęła na swym materacu, jak głaz. Głośnie chrapanie jej rozlegało się po całym domu. Za przymkniętym oknem słychać było wesoły szczebiot ptaków. Raduski podniósł storę i uchylił okna tyle, że mógł słyszeć, jak z łagodnym szepczeniem liście na drzewach cichy wiatr głąska. Chory ocknął się i leżał nie śpiąc, z zamkniętymi oczyma.

Z nagła wyszeptał:

– Raduski...

Pan Jan, nie mogąc przyjść doń z tej strony gdzie spała doktorowa, stanął w nogach i pochylił się. Chory zwrócił na niego swoje oczy i bez słowa patrzył, patrzył, patrzył. Dreszcz zimny zaczął łązić po krzyżu Raduskiego i zjeżył mu włosy nad głową. Straszny widok schożłego, zdawał się podawać z oczu do oczu tajemnice, zachwycone u ostatniego krańca bytu przez szczelinę, na tamten świat wychodzącą.

Nareszcie te oczy uśmiechnęły się dziwnie, a wargi cicho, tak bardzo cicho, że Raduski tylko po ruchu ich był w stanie rozeznac wyrazy – szepnęły:

– Liście... szeleszczą?

Liście...

I znowu uśmiech, uśmiech nieziemski. A później z trudem wyszeptane słowo:

– Przyjacielu...

Drugą chwilę przeżył kilka dni później, w drukarni, kiedy wśród mnóstwa listów z kilku dni, adresowanych do redakcji, czytał jeden, najbardziej jak tylko może być osobisty. Nie podpisany autor w wyrazach bardzo uszczypliwych i prawdziwie dowcipnych znieważał go za to, że jakoby przy łożu konającego człowieka on, Raduski, śmie prowadzić nikczemny romans. Romans ów autor listu określał za pomocą terminów plugawych, a szczególnie jeden z tych wyrazów kilkakrotnie napisał. Raduski, odczytawszy kartkę, zmrużył oczy i zbladł. Wzrok jego, jak gdyby przylgnał i nie mógł się oderwać od owego haniebnego słowa. Wargi mimo woli powtarzały je, rozdzielając sylabę od sylaby, a za każdą z nich dusza łykała truciznę.

Na trzecią chwilę duszy pana Jana złożyło się wiele zdarzeń, towarzyszących ceremoniom pogrzebu doktora. Zmarł w pierwszych dniach czerwca. Za trumną szedł cały Łzawiec: chrześcijanie i żydzi, bogaci i ubodzy, dorośli i dzieci. Kiedy niezmierny kondukt przy blasku mnóstwa świec wyszedł z katedry i niby bujna fala powodzi, wlał się w ulicę, prowadzącą ku cmentarzowi, Raduski, stojąc na wzniesieniu kościelnym, zaśmiał się z cicha. Przyszły mu na myśl słowa starego antykwariusza, cytowane z Hamleta: „Biedny Yoricku, Yoricku!...” To stado ludzkie z pompą oddawało honory, na jakie stać je było, czemuś niewiadomemu, co przed chwilą gotowe było zaniedbać i rzeczywiście lekceważyło... Na cmentarzu Raduski umyślnie z daleka się trzymał od trumny, grobu i pani Marty. Ta ostatnia miała opiekunów nie mało. Prowadził ją pod ramię z wielką i surową godnością najgrubszy co do objętości i najstarszy co do wieku reprezentant medycyny w Łzawcu, dr Falanty. Z drugiej strony Koszczycki, dalej piękny i młody antysemita dr Bydlower oraz inni żonaci i bezzenni przedstawiciele fakultetów. Pani Marta rozpaczała, jak się wydało Raduskiemu, w sposób niezupełnie szczerzy, efektowny i banalny. W czasie mowy kaznodziei, który rozrzewniał publiczność wielokrotnym ubieraniem w klejnoty retorycznych myśli, że oto był człowiek żywy, był doktor medycyny, był małżonek, był ojciec dzieciom (kaznodzieja stale powtarzał to „ojciec dzieciom”, aczkolwiek Elżbietka była jedynym dziećciem zmarłego), a oto teraz leży martwy trup, nic więcej, tylko pewne terytorium robactwa, – pani Marta mdlała. Gdy wreszcie trumnę spuszczone na powrozach w głąb dołu, okropnie usiłowała rzucić się za nią, czemu adwokat Koszczycki z właściwą forszą przeszkodził. Pomysł owego rzucenia się w grób wydał się Raduskiemu również kiedy indziej obmyślonym, jak to mówią, zrobionym szydełkową robotą. Dopiero gdy łopaty chłopów o kostropatych łbach i nieogolonych gębach poczęły spychać na trumnę mokrą, cuchnącą glinę, twarz wdowy nagle przybrała wyraz głupi, nieefektowny, wyraz strachu i bóleści. I serce Raduskiego ów łoskot o wieko przeszył uczuciem nigdy nie doświadczonym, uczuciem wielkiego strachu, jakiemu człowiek podlega chyba tylko topiąc się w wodzie. Władze ciała i wytężone palce nie znajdują żadnego przedmiotu twardego, nie znajdując nic, prócz żywiołu, który się złapać nie da! Wtedy także przemknął się w jego pamięci dziwny uśmiech doktora. A potem nastąpiła obojętność.

Wróciwszy z pogrzebu, Raduski udał się do mieszkania pani Marty, ale jej tam nie znalazł. Na cały tydzień wzięła ją do siebie żona grubego lekarza. Pan Jan zajął się odświeżaniem

lokalu, który przesiąkł niejako chorobą. Kazał go wietrzyć, zmieniać i zreformować. Wszystko to czynił dla sprawienia pani Marcie niespodzianki, gdyż miał zamiar sprzeciwić się temu, żeby tam dłużej mieszkała. W ciągu tych kilku dni tęsknił za nią i nie mógł sobie znaleźć miejsca. Od chwili pogrzebu widział się z nią raz tylko, w parku miejskim. W krótkiej rozmowie, przy starszych wyobrazicielach rodziny głośnego uzdrowiacza cierpiących, zdołał zaproponować wdowie, czy by nie chciała odbyć krótkiej, jednodniowej wycieczki do miejscowości, znanej mu z lat dziecińczych. Pani Marta zgodziła się w sposób nudnie – bierny, a gdy się rozstawali, patrzyła mu w oczy z uśmiechem, który w nim stworzył nowe życie.

Nazajutrz, około godziny ósmej rano, pan Jan stawiał się przed chwilowym schronieniem pani Marty w wynajętym powozie, umieścił w nim wdowę, doktorową Falantową i Elżbietkę, a sam wlaź na tak zwany kozioł. Gdy przejechali szosą o dziesięć wiorst drogi, Raduski kazał furmanowi zjechać na boczny trakt piaszczysty. Poczyniała się tam okolica pagórkowata, zarośnięta na wielkich obszarach jałowcem. Przed oczyma jadących wznosiły się znaczne, nieco powydłużane wzgórza, obleczone w ciemne lasy, z głębi których szarzały tu i ówdzie osypiska gładów. Wehikuł sunął wolno po drodze, uginając się jednostajnie... Szprychy kół zbierały na siebie całe warstwy piasku, który sypał się ciągle z cichym szelestem. Śliczne, wesole słońce stało nad krajem i ciągnąc z zarośli jałowcowych mocną woń żywicy, rozlewało ją w powietrzu. Za wyższymi krzakami, na sinych cieniach, przecinających koleiny drogi, stała jeszcze rosa. Gdzieniedzie, po żółtym tle piasku, niby plamy na skórze pantery, widać było siwo-szare kępy wrzosów. Srokosze zawodziły w gąszczach swe jednostajne pieśni, z lasu kiedy niekiedy dawał się słyszeć krzyk ostrożnej kraski. Wolno jadą u podnóża, wycieczkowicze okrążyli jeden z pagórków bez wkraczania do lasu i znaleźli się w zakręcie wąwozu, który łagodnie schylał się ku jakimś wodom, błyszczącym daleko, daleko. I tam rosły jałowce na litym, do środka ziemi sięgającym piachu. Tylko w środku doliny, nad strumieniem, stały małe, karłowate olszynki długim pasmem szarozielonym. Wyżej, po wzgórzach czerniały sosny. W tym głuchoniemym zagłębieniu było tak cicho, tak pusto, tak nieruchomo i tak jakoś po swojemu, że wszyscy prawie jednocześnie zakrzyknęli:

– Tu wysiadamy!

Elżbietka pierwsza skoczyła na ziemię i wnet poczęła chichotać, gdy buciki jej nurzały się w głębiach ciepłego piasku. Śmiech jej cudownie brzmiał między dużymi krzakami jałowców. Raduski zaprowadził ją do nadrzecznych olszynek. Gdy rozsunęli ciemnozielone liście, ujrzeli wodę. W miejscu, gdzie z cichym szemraniem ocieniony kępami soczystej, zielonej trawy, po rumianych i siwych kamykach strumyczek się przelewał, Elżbietka stanęła jak wryta. Oczy jej, ręce i usta pociągnęła ku sobie ta czysta, srebrna, migotliwa woda, prędko dokądś lecąca. Uwijały się tam bure ślize, trzepiąc bez przerwy ogonkami i pakując tępe łby pod płaskie kamienie. Wysmukłe żdźbło tymotejki, stojące nad samym brzegiem, kiwało się za każdym powiewem wiatru, rzucając na jasną wodę cień swój maleńki, niby oko srogięgo sidła do chwytania tłustych ślizów. Wszyscy maszerowali jakiś czas poza olszynami aż do samotnej brzózki, która wstąpiła białym odzienkiem swoim aż w łożysko strumienia. W cieniu, rozesłanym na trawie i piasku przez jedwabie szeleszczące, zielone sploty jej liści, wstrzymano pochód. Nie tylko Elżbietka ulegała czarowi zacisznej rzeczki. Obydwie panie śmiały się do jej wód spojrzeniem i ustami. Raduski czuł się jak w niebie. Usiłował gościom pokazać wszystkie piękności tych swoich stron, wszystkie tajemnice miejsc, których sam tyle lat nie widział. Nie obfitowały one w efekty. Widok na daleki staw, jałowce, sosny, piasek i trawa, oto wszystko. Wskazywał tedy, co mógł: trznadla, wydzwaniającego swoją gminną piosenkę, a wskazywał w taki sposób, jakby to był gatunek, gnieźdzący się jedynie w okolicy Niemrawego; prowadził do leśnej dróżki i stwierdzał fakt wielkiego znaczenia, że tamtędy można wyjść na pola niemrawskie; pokazał wielkie mrowisko, które pamiętał z lat dzieciństwa i pragnął mocą argumentacji nadaremnie objaśnić niewysłowny i dziwnie żalony dla niego pewnik, że to mrowisko urosło przez ten czas o tyle a tyle...

Do rodzinnego folwarku nie dojechał umyślnie, gdyż chciał ten dzień poświęcić nie sobie, lecz chorej duszy pani Marty. Chciał ja uzdrowić balsamem, w który wierzył najbardziej, otaczał ją tym, co miał najdroższego, najbardziej ukochanego w swej duszy: swoim powietrzem i słońcem, ziemią i wodą. Zgarniał oczyma widoki, o których śnił lat tyle, i przynosił je do stóp osieroconej z ciągłym błaganiem: nie płacz... Ale przyszła chwila, że nie mógł dać sobie rady. Pod pretekstem, że chce zostawić towarzyszkom możliwość swobodniejszego wypoczynku, odszedł sam na wzgórze, skąd widać było folwark niemrawski, zamieszkały przez pana Sapsię Jajko, byłego pachciarza. Usiadł tam na pniaku między sosnami. Czarny dach dworu lśnił w słońcu, ściany jasno białeły między wysokimi lipami. Oto stary modrzew, oto droga wjazdowa, oto młyn i wielkie olchy, zwieszane nad stawem...

Z głębokiej zadumy wyrwało go nawoływanie. Obydwie panie szły brzegiem strumienia. Raduski dopędził je i poprowadził pewną drogą, a raczej pewnym szlakiem wśród jałowców, któredy od lat wielu nikt nie przejeżdżał. W jednym punkcie wzgórek piaszczysty zsuwał się stromo w nizinę, gdzie wody strumienia wyżłobiły rozdół dość długi i przestronny. Całe dno jego zaścielały duże trawy, dzikie maliny i dziady. Ku wschodowi ramiona pagórków rozsuwały się i płaska, równa, daleka łąka precudnie srebrzyła się w słońcu. Z prawej strony stał nad nią gaj sosnowy. Wismukłe pnie widać było daleko z pomiędzy koron i cieni. Tu i ówdzie bielila się w czarnozielonej głębinie jasna osika, albo lśniąca brzoza. Z lewej strony po urodzajnych, okrągłych wzgórkach, zaraz od granicy łąk ciągnął się długi i szeroki łąn żyta. Było jeszcze zupełnie młode, ale już lekki wiatr przeganiał na zielonej jego powierzchni fale szaro-płowe. Z dala wydawało się, że cała niwka idzie z dymem, że płynie, leci, występuje z miedz swoich, ciemnymi smugami dzielących ją od pól sąsiednich, że przelewa się w łąkę, to znowu, że nawraca i pędzi pod górę. Za żytem ciągnęły się działki owsa i role, z lekka żółta-wo-zielonymi żdźbłami osłonięte.

Raduski wziął Elżbietkę *na barana*, gdyż trzeba było brzegiem łąki przedzierać się między zaroślami jeżyn i prowadził obydwie panie dalej. Wąska ścieżka, z wierzchu okryta błoną zeschniętej gliny, a uginająca się pod nogą, szła w łąkę. Boberek trójlistny, goryczka ze swymi szafirowymi kwiatami, żółty łomikamień, strzępiaste goździki i bladoróżowe, gorzkie centurie stały tam między burymi kiściami dojrzewającej mietlicy. Pospolity złocien patrzył swym żółtym okiem z głębi wysokich traw w samo słońce. W małych, wilgotnych kotlinkach siedziały kępami niezapominajki, na miejscach suchych rozrastała się koniczyna.

Czasami wiatr zupełnie nacichał, jakby się przed skwarem krył pod cień brzóz i sosen. Wtedy cisza pozwalała słyszeć muzykę łąki, jej pieśń własną. Dostałe żdźbła, suche torebki i strąki pełne nasion, kiście i kieliszki kwiatowe wydawały jakiś sypki, dzwoniący szelest, który wciągał słuch, umysł i całą duszę do kraju przedziwnych marzeń. Chyże wspomnienie cofało się ku dniom dzieciństwa, najwcześniejszego dzieciństwa, mijało je i szło dalej, dalej, aż do jakiegoś niewiadomego czasu, kiedy cały byt był drzemaniem, zamykaniem i otwieraniem, przez taką czy inną melodię.

Oto biały, jak lilia, puszysty obłoczek nakrył słońce, niby dziecko małą rączką oczy matki i krótka jak westchnienie, lekka, mglista pomroka sunęła się przez wzgórze, dolinę i zarośla. W pewnej chwili ważyła się kania, rzucając na trawy cień swój ruchomy. Elżbietka stanęła zdumiona i wskazując wszystkim ów cień, pytała z niepokojem: kto to? Co to za jeden? Roje much kursowały tam i na powrót z wielkimi nowinami, kręciły się jakieś wysoko postawione muchy ze złocistymi skrzydłami, pełzały z badyła na badył boże krówki, łąziły trawojady pająki, całe zielone i z zielonymi, złowieszczą na dół obwisłymi wąsikami, wolno mknęły pszczoły i osy. Raz ukazał się obok Elżbietki bąk w aksamitnym kostiumie ze złotymi galonami. Z rykiem groził to tu, to tam, jak lew straszliwy, czyhający, kogo by pożarł. Odgrażał się, trąbił, szedł udry na udry, aż raptem znikł bez śladu. Wówczas uwagę wszystkich skupił na swych lotnych skrzydłach motyl biały, jak płatek śniegu. Kiedy niekiedy przytulał piersi do badyła i wtedy leniwie poruszał skrzydłami, jakby się nimi wachlował.

Doktorowa Falantowa szła pierwsza, prowadząc Elżbietkę po miękkich, suchych na wzniesieniu rozestanych zatokach łąki. Raduski nie odstępował pani Marty, która ciągle była małomówna, rozdrażniona i ulegająca jakimś nieustannym, przykrym wzruszeniom. Mówił jak najęty, dowcipkował, śmiał się, a chwilami wprost paplał dla rozweselenia towarzyszki. W pewnej chwili pani Marta zwolniła kroku, a gdy tym sposobem większa przestrzeń dzieliła ją i pana Jana od Falantowej, rzekła cicho:

– Jeszcze nie podziękowałam panu...

– Co takiego! Mnie? Za co?

– Jak to za co? Gdyby nie pan...

– Ależ proszę pani! Tylko aby o tych rzeczach nie mówmy! Raz niech pani zapomni. Oto ma pani świat, życie, słońce i taką łąkę... Trzeba wyrzucić z pamięci...

– Nie tak to łatwo...

– No co, no co? – szepnął z czułością, której ukryć nie był w stanie.

Doktorowa miała oczy spuszczone, jak zwykle, ale policzki jej lekko się zabarwiły w tej chwili i cudowny uśmiech otoczył usta.

– Gdybym ja mogła zrobić dla pana choć dziesiątą część tego, co...

– Chce mnie pani koniecznie wynagrodzić?

– Chciałabym panu wyrazić...

– Ja sam się nagrodzę za to wszystko... – rzekł szorstko, kategorycznie i nie swoim głosem.

Wzniosła na niego swe śliczne oczy, ale zdołał zrozumieć ich wejrzenie, nakryła je powiekami, ruch których zdawał się mówić: tak, tak...

VIII.

Echo łzawieckie nie wywierało na czytającą publiczność w pierwszych miesiącach swego bytu bardzo wielkiego wrażenia. Prenumeratorowie przybywali kiedy niekiedy, ale z wolna. W *Gazecie łzawieckiej*, która pierwsze numery *Echa* witała z obłudną życzliwością, zjawiać się zaczęły pewne symbole w kostiumach entuzjastycznych pochwał, wskazujące palcami zalety przeciwnika, o jakie *Gazeta* nie kusila się nigdy, a wreszcie pewnego dnia usiadło w szpaltach skromne, dyskretne, iście braterski pytanie czy by nie było „wskazanym”, ażeby pismo periodyczne w takim Łzawcu, przeznaczone, „jakby wnosić należało dla wierzących, dla chrześcijan – katolików” trzymać w duchu bardziej religijnym?... W numerze następnym tkwił już dokumentny artykuł o tym, co to jest moralność „prawdziwa”, a co moralność „niezależna”, czyli „bezwyznaniowa”... Grzybowicz, odczytując te pytania i admonicje, wciskał binokle i zacierał ręce, szykując się do siarczystej odpowiedzi. Raduski gasił animusz jego – i nie dał żadnej. Czuł on, że wojna tak czy inaczej wybuchnie, a rad był odwlec moment starcia na czas nieograniczony. Wkrótce potem właściciel drukarni, gdzie odbijano *Echo*, ni z tego ni z owego zerwał umowę i nie chciał nadal drukować pisma, motywując ten krok dziwacznie i niezrozumiale. Na szczęście istniały w Łzawcu trzy drukarnie. Przeniesiono teraz *Echo* do drugiej, ale z wielkimi stratami, gdyż właściciele jej kazali sobie płacić w dwójnasób. Nie było jednak rady i pan Jan przystał na słone warunki.

Przykrości idące z tego tytułu, nagradzał wydawcy stosunek z Grzybowiczem. Ten ostatni był to niezrównany gazeciarz, człowiek rozkochany w bibule i farbie drukarskiej. Od chwili zagnieżdżenia się w redakcji przekształcił się niczym kameleon: ożył, nabrał w siebie i wyładowywał masę energii. Zbierał wiadomości miejskie pierwszy, sposobem jemu tylko wiadomym, miał najdokładniejsze sprawozdania o wszystkim, co się działo w mieście i poza jego rogatkami, szturmem zdobywał ogłoszenia i pakował gazetę na wszystkie strony. Raduski miał sto pociech, patrząc na jego zabiegi, walki, triumfy i klęski. W tym czasie doznał także małej uciechy, otrzymawszy z prowincji kilka listów pomyślnych. Pewien młody urzędnik akcyzy wychwalał z entuzjazmem myśl *Echa*, a sam proponował redakcji, czy by nie umieściła jego pracy o przemyślnikach, pewnego rodzaju studium, opartego na kilkuletnich badaniach, prowadzonych w całej rozciągłości, bo przy użyciu z jednej strony broni, a z drugiej kołków, noży i pazurów. Praca ta miała mieć charakter nie tylko etnograficzny, ale także społeczny, miała ukazać całą tę warstwę ludzi w świetle wyraźnym i dokładnym, *sine ira et studio*. Drugi, nie mniej pomyślny list przysłał do redakcji pewien rządca dóbr prywatnych. Pisał on, że ma gotową do druku robotę o parobkach folwarcznych, opartą na materiale zebranym w kilku wsiach okolicznych. Referat rządcy miał jakoby dać opis całkowitego żywota parobka folwarcznego i jego rodziny. A więc miał przedstawić, ile taki robotnik zarabia, ile i jak pracuje, gdzie mieszka, co je, ile pije wódki, jaki jest jego stan fizyczny, moralny i umysłowy.

Bardzo szczerze posypały się korespondencje z rozmaitych punktów gubernii. Niektóre z nich były obszerne i doskonałe. Jedna n.p. zawierała obraz drobnego przemysłu w małej miejscinie Pałaki, napisana była wybornie i ze znajomością rzeczy. Raduski promieniał. Nie tylko żądał od referantów ich prac, ale obstałował nowe studia, przyrzekając drukować je w całości lub w wyciągach, pewny, że te artykuły zastąpią dla czytelników odcinek z przekładami i obróć serce mieszkańca tamtejszej okolicy do jego braci na niskim stopniu społecznym... Pisał wtedy na wszystkie strony, gdy wtem nowe zdarzenie wytrąciło mu pióro z ręki. W ostatnim tygodniu czerwca zjawił się pewnego popołudnia w drukarni dr Falanty, wywołał Raduskiego na ulicę, ujął go pod ramię i przysiadając kolejno na swych grubych nogach, mówił:

– Przychodzę zakomunikować panu smutną nowinę, bardzo smutną nowinę... Istotnie... Mnie samego takie rzeczy... istotnie... Byłem dziś u doktorowej...

– U doktorowej Poziemskiej?
– Zgadłeś pan, u doktorowej Poziemskiej. Żona kolegi, coś, tego... Pierwsza powinność! Wezwała mnie, więc idę, bez względu na to, że płatni pacjenci... Nie ma o czym mówić... Pierwsza powinność i skończona rzecz! Byłem, zbadałem stan chorej...

– Chorej!

– Tak. Złe jest, proszę pana. Mówię to jako przyjacielowi zmarłego. Ona jest zakażona tą nosacizną. Jest to, zdaje się, mniej ostre, ale to samo.

Twarz Raduskiego skurczyła się i przybrała jakiś psi wyraz. Stał na trotuarze i żuł coś w wysuniętych wargach. Stupidowny rozsądek przywalił jego duszę. Serce w nim zamarło. Szedł obok doktora Falandego, z uwagą słuchając jego medycznych określeń. Wciąż myślał o tym, że należało się tego spodziewać, że to było do przewidzenia, że były pewne oczywiste wskazówki, aczkolwiek najłżejsze przypuszczenie w jego imaginacji nie pozostało. Gdy wstępował na schody mieszkania doktorowej wraz z grubym medykiem, uległ silnemu złudzeniu, że słyszy przez ściany głos Poziemskiego, coś jakby jęk, coś jakby śmiech szyderczy.

Pani Marta ubrana leżała na sofie w pokoju bawialnym. Miała oczy rozbiegane, wypieki na twarzy i dzikie drgania brwi, drgania, jakich Raduski nigdy nie zauważył. Skoro tylko weszli do pokoju, zapłakała rozdzierającym serce, cichym bezsilnym łkaniem. Głowa jej upadła na skórzaną poduszkę i leżała zwieszona ku ziemi, kiedy niekiedy wznosząc się i opadając, jak u starych niewiast zatopionych w modlitwie. W płaczu tym nie było skargi, rozpaczy, ani żalu, tylko jakieś bezlitosne wspomnienie długich dziejów bezprawia i krzywdy. Raduski stał obok sofy i nie ruszał się z miejsca. Był pewny, że ten głos już za życia swego raz słyszał w śpiewie brudnej, cuchnącej, chudej indianki, na pokaz obwożonej w szalasię wędrownego kuglarza, która w antraktach między jednym tańcem, a drugim siadała na deskach, pod szkaradnie malowaną kulisą i niańcząc zziębnięte, paskudne, chore, kaszlące niemowlę, śpiewała mu swą pieśń ojczystą, czy macierzyńską. Nie długo bawił u chorej. Na ulicy począł się naradzać z Falantym, co czynić, zaproponował zwołanie konsylium... Znakomitość łzawiecka przystała na to chętnie i zaraz tegoż dnia zebrało się w mieszkaniu pani Marty grono lekarzy. Radzili dosyć długo i jak się później okazało, doszli zgodnie do pewnych wniosków. Pan Jan tę noc przepędził bezsennie, a cały następny dzień u wdowy służąc jak jej szarytka. Późno wieczorem, około godziny jedenastej wrócił do siebie, w ubraniu położył się na sofie i twardo zasnął. We dwie godziny później zbudził się nagle, jakby rzucony z posłania niewiadomą siłą. Noc była ciepła, księżycowa, cudowna. Przez otwarte okno płynął ze starego parku zapach narcyzów, podniecający, prawie ostry. Wszystko spało, a raczej wszystko, jakby utonęło w nocy i ciszy. Ani z oddali, ani z bliska nie dochodził szmer najłżejszy. W przestworze zalanym światłem miesięcznym stały tu i ówdzie po niebie rozwiane, blade chmurki, niby skrzydła i szaty cherubinów, co ukryci za nimi, pełnią nocną służbę przed drzwiami, niewidzialnymi dla oczu śmiertelnych. Biały blask martwymi kształtami leżał na murze ogrodowym, na potłuczonym daszku z cegły, na zielonej pleśni omszałych słupów. Jak świecący żar ważył się bez końca na strzępiastym liściu dzikiego wina, niby ulotny i sprężysty ognek wstępował do ciemnicy pod gęste liście przez szczeliny między igłami starego modrzewia. Tam w czarno – zielonej głębi chwiał się, posuwał, cofał, oglądał mokre trawy i kielichy skromnych kwiatów. Na drózkach zasypanych piaskiem, a wystawionych na zimne światło leżały urocze cienie grubych odziemków, gałęzi, prętów i liści, jakby widma drzew ściętych.

Raduski usiadł w oknie i podparł głowę rękami. Objęły go we władanie: cisza nocna i coś stokrójc lepszego niż sen, bo spokój, spokój zupełny. Bolesne szarpanie się w sobie, współczucie a nawet litość sunęła przed nim, jakby zewnętrzne obrazy, wcale jego samego nie dotykające. Była to chwila wzmocnienia ducha, chwila równowagi, zdrowia i siły. Zaskorupiałe rany zdierał bez bólu, bez czucia i zimnym wzrokiem do środka nich przenikał. Czuł, że to nie jest obca jego naturze, przemijająca reakcja, ani obłudna forma tych samych wzruszeń. Rozumiał, że wchodzi w jakiś doskonalszy zakres życia, gdzie siły jego muszą spotężnić.

Ciążył mu tylko brak ruchu, więc ubrał się, wdział letnie palto i wyszedł z domu. W pustych ulicach, gdzie rysowały się nagie granice światła białego jak mleko i cieniów czarnych, jak wnętrze lochu, myślał o granicy rzeczy dobrych i złych, czynił szybkie wnioski, oparte na mnóstwie zdarzeń, przygód, cierpień i radości ze swego życia, którego w owej chwili bardzo daleką przestrzeń widział jasno, niby oblaną światłem miesięcznym. Wnioski owe nie sprawiały mi żadnej przykrości, chociaż jak ręka złodziejska rozdierały zasłonę miejsca świętego świętych, podobne były raczej do sennych, czułych marzeń. Tak rozmyślając, stanął przed domem, w którym na piętrze mieszkała doktorowa. Tylko jedno okno sypialni było słabo zabarwione światłem, co wskazywało, że chora śpi spokojnie. Z ulic brukowanych zszedł na chodnik wysypany żwirem, znalazł się w alei, a stamtąd ruszył w pole.

Daleki horyzont ginął we mgłach nocnych. Białe pasmo szosy, tak wyraźnie z bliska widzialne, wpełzło między mgły, jakby się wznosiło ku górze i ginęło. Pola zasłane zbożami lśniły się w rosach, które osrebrzało senne światło. W nizinkach, daleko, daleko pokrzykiwały derkacze, a gdzieś, zdawało się, za borami, za lasami rechotały żaby. Raduski lał prosto na ten głos dróżką, między dwiema koleinami której szedł wysoki, trawą bujnie obrośnięty grzebień przykopy. Przed oczyma jego zmieniały się działki zbóż i forma roli, a wreszcie droga zginęła na miedzy, gdzie rosła sama prawie dziewanna i leżały stosy kamieni. Na jednej z takich kamionek usiadł, zwiesił głowę i utonął w zadumie. Wstał z tego miejsca, gdy się już dzień budził. Na wschodzie płonęła zorza, przenikając wskroś mgły, rozciągnięte daleko ponad łąki, pola i lasy. Idąc z powrotem Raduski słyszał jak we śnie rozlegające się wśród jednego z łąkowych tumanów ostrzenie kosy, gdzieś tam, tuż prawie obok drogi wołanie przepiórki. Był dzień zupełny, gdy wkroczył do miasta. Zszedł do siebie, umył się, zmienił przemoczone obuwie i od razu wyruszył do domu pani Poziemskiej. Pragnąc unikać stuku i dzwonienia u drzwi głównych, wsunął się na wąskie podwórko, na brudne schody, z cicha przycisnął klamkę i wszedł do kuchni. Starsza służąca spała jak zabita, głośno chrapiąc na swym wysokim łóżku. Nie obudziła się wcale, gdy Raduski mijał szybko duszną izbę i wchodził do stacji, gdzie Elżbietka sypiała z młodszą niańką. Obydwie twardo spały, aczkolwiek słońce prażyło ich głowy pierwszym, rześmym snopem światła. Drzwi do pokoju pani Marty, dawniej sypialni doktora, były zamknięte, więc Raduski, ująwszy klamkę, długo ją z lekka naciskał, wahając się czy nie obudzi chorej, gdy wejdzie tak wcześnie. Drzwi z cichutkim szelestem ustąpiły i pan Jan stanął za progiem. W pierwszej chwili cofnął się instynktownym ruchem, sądząc, że przychodzi nie w porę, ale wnet skoczył w osłupieniu i ze zgiętym grzbietem schylił się, a raczej zawisł nad łóżkiem. Leżał przed nim na wznak trup wdowy. Zwłoki zawisły w pętlicy ze sznura od portiery, którego dwa końce samobójczyni przywiązała była do klamki w środku okna. Łóżko było pchnięte nogami, widać w sekundzie rzucenia się w próżnię, a stężałe ciało, kolanami zaczepione o krawędź tkwiło prawie poziomo. Szyja była dwa razy okręcona sznurem. Ręce w agonii stargały koszulę na piersiach, a potem rozbiegły się martwe, zwisły ku ziemi i zastygły w powietrzu. Raduski nachylił twarz do strasznego oblicza, zajrzał w wywalone oczy, które, zdawało się, pękną lada chwila. Wargi jego złożyły się do dzikiego wrzasku o pomoc, ale raptem jakieś gorzkie zachłyśnięcie ścisnęło mu gardziel, jak ów zielony stryczek, na który patrzył w tej chwili. Z całej siły starał się rozumnie opowiedzieć sobie – co to jest – gdy wtem poczuł w ustach smak wstrętnego kwasu, w głowie jego rozlegały się jęki mnóstwa dzwonów, ujrzał okno, wyrrywające się z futryny, przez sekundę widział krawędź żelaznego łóżka, wreszcie jakąś mglistą, bezbarwną ciemność... Kiedy po trwaniu nie wiedzieć jak długim ten zmrok rozpraszać się zaczął, Raduski ze zdumieniem zobaczył o dwa cale przed swymi wargami leżącą podwiązkę z metalową spinką, mały skrawek papieru, a dalej chropawą warstwę pyłu i drobnych śmieci na błyszczącej, froterowanej posadzce. Leżał bez ruchu, zwolna przypominając sobie wszystko. Gdy się nareszcie dzwignął, miał oczy zmrużone i jakieś niezwykle wykrzywienie twarzy, co mu nadawało pozór jakby się z sarkazmem uśmiechał. Trzymając się żelaznej sztaby łóżka i patrząc na umarłą,

zaczął myśleć, myśleć, myśleć i przychodzić do władzy nad sobą. Owiął go lodowaty chłód i śmiertelne, głuche milczenie. Tak upłynęła zapewne godzina czasu. Wówczas, nie oglądając się na trupa, wyszedł wolno do sąsiedniego pokoju. Elżbietka już się przebudziła i w koszulice siedziała na łóżku, gadając coś do trzech lalek z wydłubanymi oczami, które obok niej leżały. Ujrzawszy Raduskiego, rzekła, wytrzeszczając ze zdumienia oczy:

– Chudy Janek! Skądś się tu wziął? Kiedyś przyszedł? Ale cicho, cicho, nie hałasuj, bo Florca śpi. Nie można jej budzić, bo by nie chciała bajek opowiadać. Widzisz, jak ona śpi...

W rzeczy samej niańka chrapała donośnie. Raduski siadł na krzeselku, przy łóżeczku małej i zaczął podawać jej trzewiki i sukienki.

– Ty mnie będziesz ubierał, ty, chudy Janek? Czekaj, cicho! Nic nie mów Florce, błagam cię! Ona się przebudzi, a ja już...

I gorączkowo zaczęła sama naciągać pończochy. Raduski uczesał ją, służył przy myciu szyi, twarzy i uszu, a gdy już była gotowa zupełnie, obudził służącą i rzekł:

– Pani umarła. Niech żadna tam nie waży się nic ruszać, dopóki nie przyjdzie policja. Ja biorę panienkę ze sobą.

– Bierzesz mnie ze sobą, bierzesz mnie ze sobą? – wołała Elżbietka, zaglądając mu w oczy.

– Biorę cię ze sobą... – rzekł, patrząc na nią spod nawisłych powiek.

IX.

Zwłoki samobójczyni odprowadzono bez asysty duchowieństwa na miejsce poświęcone. Mały skrawek gruntu za murem cmentarza, obrosły dzikimi chwastami, gdzie znać było kilka bezimiennych mogił przyjął ją w łono swoje. Sekcja pośmiertna stwierdziła diagnozę doktora Falantego. Za trumną szła bardzo nieliczna gromadka osób. Między innymi Raduski dostrzegł zrujnowanego kupca Żołopowicza i starego antykwariusza. Ten ostatni czmychał nosem i mrużył wybladłe, sowe oczy, podczas gdy cienkie wargi jego stulał uśmiech głęboko mądry. Całkowite urządzenie smutnego obrzędu było dziełem Grzybowicza, a właściwie jego żony. Sam Raduski tak bardzo upadł na duchu, że nie był w stanie zajmować się niczym. Ten prosty wypadek, jak ostra piła przeciął jednolity łańcuch jego dawnych myśli, z trudem, w ciągu długich lat samotności ogniwo po ogniwie wykuty. Niby więzień, raptem wtrącony do lochu, pan Jan zgubił wyobrażenie praktycznego świata, a to, co go ze wszech stron zamknęło zimnymi ścianami, mierzył wzrokiem nienawistnym. Na domiar główna klęska nie przyszła sama, lecz jak to bywa, wlokła za sobą cały orszak innych. Cztery listy bezimienne czyniły Raduskiego winowajcą śmierci doktorowej, jako uwodziciela. Biedna ofiara nie miała jakoby innego punktu wyjścia wobec tego, że całe miasto dowiedziało się o romansie, a nędzny krzywoprzysięzca o żeniactwie ani myślał. Wolał łatwą miłośćkę... Raduski nie przywiązywał do tych sygnałów moralności wielkiego znaczenia, były to jednak ziarenka maku, padające na szalę czulej wagi jedno po drugim, jedno po drugim. Samotność późniejsza zagoiła rany i naląła w nie żrącego kwasu rozmyślań. Serce jakoby umierało i ciemności niezgłębione oślepiły wzrok duszy. To, co było świętym jej namaszczeniem, wysał wrzód rozczarowania i szyderstwa, gorąca miłość pracy zgasła i przemieniła się na próżnowanie umyślne, wypełnione bezprzedmiotową nienawiścią. Każda nowa doba jątrzyła smutek i wytrącała korzenie zasad, przyzwyczajęń, odruchów szlachetności. Nikt z otaczających nie miał już nad zgorzkniałym żadnego wpływu. Gazetę wydawał sam Grzybowicz; znalezieniem mieszkania, sprzedaniem mebli zmarłej doktorowej, zgodzeniem bony dla nadzoru nad Elżbietką zajmowała się pani Grzybowiczowa. W pierwszym tygodniu Raduski rzadko kiedy rozmawiał z sierotką. Zazwyczaj przebywał sam w ostatnim pokoju nowego mieszkania, gdzie chodził z kąta w kąt. Czasami mógł czytać jedną książkę, która znalazła się w jego ręku i którą znosił, *Instytucje kościelne* Spencera, ale pierwszy z brzegu wyraz, jakieś uboczne wspomnienie, niby ostrze noża dotykało rany. I wnet płynęła wszystkim żyłami do serca zła krew melancholii, budziła w nim nie dającą się niczym zatruć, niczym ogłuszyć, ani uspić tęsknotę do nicości, ślepe, ciężkie, bydlęce marzenie o tym, gdzie, w jaki dół siebie samego zepchnąć. W drugim tygodniu opanowała go bezsenność. Żaden środek apteczny nie mógł obezwładnić ani na chwilę rozwścieczonej przytomności umysłu. To co się przedtem wydawało jako kraniec, jako kres ostatni cierpienia było tylko ruchomą granicą innych jego dziedzin. Niezmierzone obszary, całe państwo półmroku otwierały się jedne za drugimi, a każda noc prowadziła do krajów ciemniejszych. Człowiek włókł się z tymi płaszczyznami naprzód, bez końca naprzód, ciągniony przez wątłą nadzieję, przez jakieś włókno, cienkie jak nić pajęcza.

Czasami w tym pielgrzymstwie przed oczyma zasłoniętymi mrokiem, jak ślepotą, ukazywała się wizja błędna, zwodząca, zrobiona z nicości, a jednakże tak niewątpliwa, jak osoba która by szła, odwracała piękną głowę, przez chwilę patrzyła smutnymi źrenicami... Mara z momentu śmierci zginęła we wspomnieniu tak zupełnie, jak gdyby na podobieństwo zwłok cielesnych bryłami ziemi zasypana została. Ta błędząca była postaci uroczej, dawnej, jakby z dzieciństwie jeszcze wyśniewanej. Nieraz zdawało się, że natychmiast wejdzie do pokoju, że jest w sąsiednim, że bezcielesną ręką ujmie klamkę, że słyhać atlasowy szelest jej pachnących sukien. Kiedy indziej dotykał zbolałych nerwów jej głos, czy westchnienie, mówiąc bez użycia dźwięku i sylab: musisz iść dalej, musisz iść dalej... Te szybkie zjawiska nie wypełniały dnia ani nocy. Snuły się tylko, jak senne kształty. Przez wszystkie godziny trwała napaść

smutku pożerającego duszę, ślepego i głupiego, jak wiatr, co przytula, uderza i cichnie. Owa żywiołowa siła, nieujęta, nie wiedzieć skąd i dokąd lecąca ciskała na barki Raduskiego niezmiernie masy i bryły, pod ciężarem których serce czuło ucisk śmiertelny, jak gdyby agonię swoją...

Z mebli doktorowej Poziemskiej pani Grzybowiczowa nie sprzedała tylko fortepianu w nadziei, że czasem Elżbietka będzie się uczyła muzyki. Był to instrument o głosie jeszcze zupełnie pięknym. Ustawiono go w największej sali mieszkania, gdzie sierota sypiała ze służącą. Zamknięty był na klucz i osłonięty pokrowcem z żaglowego płótna. Pewnego razu, po upływie blisko dwu tygodni od czasu śmierci doktorowej, gdy Elżbietka była na spacerze, a pan Jan zamknięty w swojej izbie siedział nad rozłożoną książką z oczyma w dalekiej przestrzeni utkwionymi, jęknęła w pustych pokojach melodia. Pani Grzybowiczowa grała jeden z najpiękniejszych nokturnów Szopena. W pierwszej chwili dźwięki te uderzyły Raduskiego i tchnęły weń prawie rozpacz. Ale stopniowo cudowna siłę muzyki wlewała do spalonego serca krople wody ożywczej. Szczególnie jeden trel, powtarzający się w tłoku bujnych akordów zmuszał do zapomnienia. Raduski przymknął oczy i słuchał. W młodości swej, gdy przechodził z klasy siódmej do ósmej, był korepetytorem słabowitego chłopca, który jechał z rodzicami na wakacje do Włoch. Wędrował z tymi ludźmi z miejsca na miejsce, z miasta do miasta, z hotelu do hotelu. Rzucił tylko okiem na ludne ulice, gmachy monumenty, muzea, widoki, ale nie skorzystał prawie nic, nie zostało mu nawet nic w pamięci. Dopiero teraz wpłynął z nicstwa jeden krajobraz. Zdawało mu się, że stoi na brzegu jeziora, wśród szosy, prowadzącej do miasteczka Bellagio w stronę Porlezzy. Tuż u stóp jego ściele się tuman, płasko rozpostarty. Nad wodami we mgle skrytymi leci z przeciwnego brzegu ten nokturn cudowny. Zdaje się, że po drodze tonie w głębiach fioletowych. Oto westchnął ostatni raz boleśnie i zamilkł. Wówczas z otchłani wypłynął jakiś głos nieznan, jakby tytaniczny oskarżyciel wzywał na świadectwo wszystko stworzenie, jakby Prometeusz rozpięty na łańcuchu gór uderzał Jowisza płomiennym słowem, w środku którego leży krzywda połowy świata. I głos jego wzmagął się i ogromniał aż do pęknięcia płuc, aż do pęknięcia piersi, aż do pęknięcia serca. Wtem zamilkł w niemocy bez wymówienia ostatniego słowa. Wtedy znowu w siwych mgłach, nad czarowymi nurtami zapłakała smutna pierś.

Muzyka nie uzdrowiła ani o jedną kreskę chorej duszy, ale same udręczenia przelała w inną formę. Rozwinęła ich ogrom, ale pozwoliła je widzieć samowiedzy. Słuchając tych dźwięków, pan Jan mógł ujmować w pewne słowa i zdania wściekłość narosła w duszy, mierzyć myślami odchłanie, dzielące jedne dzikie zjawiska od innych i cierpieć nie tak jak przedtem, lecz za pomocą klątw i protestów. Gdy pani Grzybowiczowa przestała grać, otwarł drzwi, stanął w nich i patrzył. Podniosła na niego bojaźliwe a badawcze oczy, oczy dobrego lekarza, który raduje się na widok cięć, świadomie zadanych lancetem i znowu grać zaczęła. Łzy rzęśiste płynęły po jej twarzy, zalatywały na ręce i one to zapewne udzielały palcom mocy wywoływania czarodziejskiej melodii. Raduski westchnął z samej głębi piersi i krótko myślał o tym, jak szczerze, jak niezmiernie odplaciła mu ta kobieta za przypadkowe podanie ręki. Ukłonił się jej w milczeniu i wyszedł. Wprost z mieszkania powłókł się na cmentarz. Był tam pierwszy raz od śmierci doktorowej. Na żółtą jej mogiłę wdrapały się już chwasty o cienkich, jasnozielonych łodyżkach. Stał przy płocie otaczającym cmentarz samobójców i roztrząsał całe życie pani Marty. Zjadliwy uśmiech błakał się po jego wargach, gdy mówił do jej cienia:

– Ty jesteś bez nazwy, ty jesteś wzgardzona tak samo, jak ci wszyscy twoi towarzysze. Imię twoje... Niedola. To też my nie wypiszemy na kamieniu twego prawdziwego imienia, lecz te tylko słowa Leopardi'ego: „Na wzgardę mnie osądziła brutalna moc, co z cienia tajnych praw na złe człowieczeństwa rządzi...”

Z tą myślą w głowie i z tym samym uśmiechem na ustach szedł ku miastu. W drodze układał plany, gdzie obstalować monument: czy jechać do Warszawy w tym celu, czy w Łzawcu szukać jakiegoś majstra kamieniarskiego. Błakał się w jego pamięci obraz rzeźbiarza, liter

kutych na płycie marmuru... Gdzie to jednak było, przed laty czy niedawno?... Stał wśród ścieżki i rysując kijem figury na piasku, grupował wspomnienia, dążąc od jednego do drugiego, ku zamglonemu wyobrażeniu. Wreszcie przypomniał sobie wszystko z taką dokładnością, jakby się tego dnia odbyło. Niezwłocznie prędkim krokiem ruszył na przedmieście Kamionkę. W zamyśleniu, nie wiadomo kiedy minął miasto, boczne uliczki i znalazł się przed krzywym domostwem, gdzie w dniu przyjazdu widział starego kamieniarza. Stuk młotka rozlegał się i w owej chwili, to też Raduski wszedł do wnętrza i otworzył drzwi do izby. Chodził po niej chłopak może siedmioletni, owinięty w zniszczoną chustkę i dźwigał w niej na piersiach dwuletnie dziecko w czerwonej, chłopskiej czapczynie, z twarzą umorusaną na czarno. Dziecko kwiliło z cicha, zmęczone widać długim krzykiem. Dziewczynka nieco mniejsza od piastuna skrobała ziemniaki i rzucała je w sagan, mrugając jak wiewiórka czerwonymi powiekami. W kącie na wyrku siedział starzec zupełnie łysy, którego Raduski widział przez okno. Dziad ów miał prawe oko związane chustką, a do drugiego przykładł sobie płócienne szmatki umoczone w wodzie. Na jego miejscu pośrodku izby siedział przy płycie marmurowej chłopiec lat trzynastu, czy czternastu i on to wykuwał litery rysowane ołówkiem. Wejście Raduskiego spostrzegła tylko mała dziewczyna i chłopak niańczący niemowlę. Obydwoje zawiesili swe czynności i przyglądali się gościowi niedbale i w milczeniu. Dopiero po upływie chwili mały kamieniarz, tyłem do drzwi zwrócony przypadkowo rzucił okiem na Raduskiego i nie wypuszczając z rąk młotka ni dłutka, czekał.

– Można u was obstalować pomnik? – zapytał Raduski, zwracając się do starca, który odjął płatek od krwawego oka i ciekawie patrzył.

– A dlaczego? Można obstalować pomnik... – rzekł dziadowina.

Malec obejrzał przechodnia od stóp do głów poważnym wejrzeniem i mruknął:

– Jakież to myśli pan pomnik stalować?

Raduski uśmiechnął się mimowoli.

– Duży nagrobek marmurowy.

– Płytę?

– Tak... chyba płytę...

– Ja bym nawet nie mógł inaczej, bo dużemu grobowcowi rady nie dam... – rzekł chłopiec.

Plunął w garść i zabrał się na chwilę do roboty.

– Płytę można obrobić... dla czegoś...

– To już wy nie zajmujecie się tą pracą, tylko ten jegomość? – spytał Raduski łysego starca.

– On się zajmuje, bom ja oto ślepie wyrobił.

– Dawno? Przecież ja was tu widział parę miesięcy temu przy robocie.

– Robiło się do dnia, do ostatniego. Teraz przyszedł koniec i *hola!* U *nasz* tak: robisz, robisz, aże proch ślepie wyżre. Wtedy – *hola!*

– To wasz wnuczek?

– Nie, nie mój. Obcy.

– A cóż uczeń, praktykant, czy co?

– Był i przy mnie, a tera sam robi.

Mały kamieniarz bił w dłuto drewnianym młotkiem, podobnym do przeciętej kuli. Oczy jego były charakterystyczne, po kamieniarsku przymrużone, palce lewej ręki z precyzją a z mocą trzymały stalowe dłutko. Czasami odymał wargi i nachylał głowę ruchem kaligrafów, wyprowadzając świetne litery. Kiedy niekiedy przerywał pracę i obrzucał Raduskiego spojrzeniem zimnym a uważnym. Malowała się w nim przedwczesna rozważa na doświadczeniu oparta i nieufność człowieka dojrzałego. Pan Jan przypomniał sobie tę twarz wkrótce. Był to chłopiec, którego widział w sklepiku szewca pierwszej nocy za powrotem do Łławca. Stał mu w pamięci dialog podsłuchany wówczas, umowa o buty i wykład skrupułów religijnych.

– Dawno już prowadzisz interes na siebie? Zagadnął chłopczykę, siadając naprzeciw niego.

– E... na siebie! Oba z Mateuszem pchamy po maleńku. Oni już młotka nie biorą do garści, bo prawie do cna oślepli, to ja robię, a oni znowu mi pomagają, czy dźwignąć płytę, czy sprowadzić kamień z Sapów. Będzie to kto gadał ze mną?

– A te dzieci czyjeż?

– To tam... moje.

– Twoje? – zawołał Raduski ze śmiechem.

– No moje. Dwóch bratów i siostra.

– A rodziców macie, panie majster?

– Nie. Matka dawno pomarła, a ojciec będzie jakoś na wiosnę.

– A cóż ojciec także był kamieniarzem?

– E... gdzie proszę łaski pana... – wmieszał się do rozmowy starzec. – Jego nieboszczyk ojciec to był prosty człowiek. Otwarcie powiedzieć: parobek. Mieszkał tu w izbie u *nasz*, jakem jeszcze sam robił. Pijak był bo był, ale dobre człeczysko. Sypiał tu w kącie z tymi dzieciskami, kiedy mu żona umarła. Chłop był nawet zdrowy i raptem go zgarnęło jakieś takie choróbko... kazali mu tutaj na folwarku obedrzeć kobyłę, bo to robił wszystko, co na placu i zaraził się, czy parchami... Mówili, że to nosacizna, ale ja nie wiem, czy się taka słabość *czypi*, na przykład, człowieka...

– Słyszałem coś o tym... – rzekł Raduski, patrząc w twarz małego kamieniarza oczyma mgłą zasłoniętymi. – To ty jesteś synem tego człowieka? Ty jesteś?... I to rodzeństwo, ta dziewczyna, chłopiec i ten mały? Ach, to więc tak jest...

– A tak. On jest synem. Jak tu mieszkali u mnie, roboty było dużo, to se ten Szymek patrzył, jak trzymać dłućko, miał do tego ciekawość. Przyjrzał się i z małości otłuł mi kamienie. Jakże podrósł, narailem go koledze Fijałkowskiemu ze Sapów. Ma tam duży zakład kamieniarski. Ij – nie to, co moje... Porządny zakład – jednym słowem! Ano wziął go. I nie darmo. Byłeś tam chyba, Szymek, ze cztery lata?

– Cztery lata i siedem tygodni.

– No! Poduczyl się. Byłby może został czeladnikiem u tego Fijoła, ale cóż... Ten stary, niby ojciec jego, zaniemógł na dobre – cóż ja mogłem robić z berbeciami? Wygnać – już i żal... Żywiłem to to i żywiłem, ale mówię, sam ledwie ślipam, dniem i nocą kujący. Niechże przynajmniej ten Szymek idzie do mnie na pomocnika. Wyrznęło się list, markę my przyklepili za siedem kopiejek, cisnęli my to pismo w puszkę, a no i dobrze. Ściągnął się ten chłopak. Jakże Piotr umarł, robiliśmy obaj, aż tu i na mnie zeszło лихо. To prawe oko całkiem ciemne, a i drugie ledwo, ledwo... Tyle, że mu jeszcze wyrysują litery co piękniejsze i niby się ta buda nazywa moja, ale co robotę, to już sam pcha...

– I dużo też zarabiacie?

– Co tu można proszę łaski pana we Łzawcu zbudować? – rzekł stary. Chcesz *malmur*, to trza płytę sprowadzić z Sapów. Mamy to czem, albo jak? To się robi chłopu, mieszczaninowi, chudziakowi byle jakiemu. Krzyż z piaskowca ociosać, pomniczynę – to ta i tyle. Miałem tu dużą tablicę dla siostry kanonika z Kolein, stawiała na grób męża, tom nie mógł dokończyć. Teraz on toto robi, ale prędko nie nastarczy, choć ta i widział i praktykował...

– A cóż z berbeciami, jakże sobie dajesz radę? – zapytał Jan młodego rzeźbiarza. – Tego będziesz uczył swego fachu, czy jak?

– Kto jego wie, co z nim robić?... – rzekł Szymek, rzucając na brata prędkie spojrzenie. – To *uncwot!*... Sam nie wiem, co z takim za rada... Ani to końca miary w tym łbie, ani jakiego rozumienia. Byle się na świat wyrwał, to go już szukaj na drugim przedmieściu!

– A siostra? Wodzę, pomaga, jak może?

– No, cóż nie ma pomagać? Jużci, choć tę *warzę* do ognia przystawi.

– Dasz ją w służbę?

– A któż to weźmie, proszę pana, oberwańca tyłego?

– Ja bym ją wziął do służby... – rzekł Raduski. Właśnie mi trzeba takiej oto pokojówki. Mam córeczkę w tym wieku, co i ona, to by się razem... to ją będzie obsługiwała.

Mały kamieniarz wsparł wolno drżącą rękę o płytę, odgarnął z czoła włosy i mierzył wzrokiem to Raduskiego, to Mateusza, który nastawił ucha, zdjął płatki z oczu i puścił samopas dolną wargę.

– Poradzi to tyła zaba, proszę pana, we służbie... – rzekł cicho mały. – Ona tu chodzi, patrzeć jak co uwarzyć u ciotki, do naszej, ale po pańsku nie upitrası...

– To też ona gotować u mnie zrazu nie będzie. Zobaczymy. Chcesz mała iść ze mną? – zwrócił się do dziewczynki, skręcającej brzeg fartucha.

Zanim ośmieliła się spojrzeć na swojego przyszłego chlebodawcę, już stary kamieniarz mówił tonem uniżonym:

– Wielmożny pan tu *miszka*, we Łzawcu?

– Tak, na rogu Frontowej i rynku.

– Anula, całuj pana w rękę i zbieraj się! – zawołał. – Nie masz co medytować. Rznij do ciotki, niech ci ta zawiąże w węzełek co masz i te... Całuj pana wielmożnego w rękę!

Dziewczyna chciała spełnić rozkaz, ale ją Raduski zawrócił ku drzwiom i odesłał do ciotki. Gdy poszła, umówił się z młodym rzeźbiarzem co do wynagrodzenia. Chłopiec siedział zamysłony, a gdy dziękował Raduskiemu, oczy jego sondowały twarz tego nieznanego przybysza. I pan Jan nie mógł się dość nasycić widokiem oblicza małego pracownika. Patrzył, jak zwolna dziecięce czoło rozświetla błysk szczególny, rozpalony, zdawało się w głębi jego czaszki i wychodzący na zewnątrz. Niepowstrzymane światło zatliło się we wzroku obydwu i osiadło na wargach w postaci miłego uśmiechu. Raduski myślał wtedy, jak pomóc temu chłopcu bez uciekania się do wstrętnej dlań jałmużny, ale w tej chwili sąd skryty, sam w sobie schowany, łączył się, jak woda zaskórna kroplami z rozmaitych stron płynącymi w głębokie źródło żywota.

– Co między mną i tym chłopcem się pali – to jest promień, o którym gadał stary antykwariusz. To jest główny istotnej cywilizacji. „Nie godzi się parać, nie godzi się parać...” Głupi Koszczycki! Jemu się zdaje, że Laskoniec psu na budę się nie zdał, że daremnie umarł...

Gdy tak rozmyślał, płonąć ową radością, którą biblia nazywała „wielką”, drzwi się otwarły, stanęło w nich i trwożnie zajrzało do wnętrza chude dziewczynisko w czerwonej szmatce na głowie, w brudnej koszuli i wytłuszczonym lejbiku. Raduski rzucił na nią okiem i pomyślał:

– Patrzajęsz i to stara znajoma. Koszula się na niej od świąt zabrudziła potężnie. – To ciotka? – zapytał głośno.

– A tak, ciotka, matki siostra... – rzekł Szymek.

– Służy u pani Wątrackiej?

– A tak. Wielmożny pan zna? – spytał stary.

– Znam trochę, coś niecoś... No, Anula, tobołek gotowy?

– Gotowy... *psze* pana... – wykrztusiła cichuteńko.

No, to w drogę. Zostańcie z Bogiem, moi państwo, a wolnym czasem może też kto z was zajdzie, żeby obaczyć, jak tam Anuli wiedzie się na służbie. O pomnik ja tu się zgłoszę... Umówię się z wami, majsterkowie, jaką to płytę, jaki napis, jaki napis...

Wyszedł stamtąd i pogwizdując, maszerował ulicami w towarzystwie bosej i nastraszonej dziewczyniny.

X.

Od chwili przybycia Anusi do wspólnego mieszkania, życie pana Jana zmieniło się cokolwiek. Melancholia stopniowo, z dnia na dzień w nim się zmniejszała wskutek mnóstwa prac umysłowych i fizycznych. Główną osią jego rozmyślań i studiów była kwestia wychowania początkowego. Czasu swojej młodości zajmował się tą sprawą teoretycznie, badał ją z pilnością w szeregu innych, tak samo jak ekonomię polityczną albo nauki przyrodnicze. Wypełniała pewne rubryki katalogu rozumowanego, więc je oglądał dosyć prędko i w głównych rysach. Z czasem zapomniał o niej zupełnie, jakby to była luźna data z historii Rzymian. Dopiero w epoce panowania nad sercem i mózgiem samowładnego smutku, po zjawieniu się u ogniska domowego, wskutek zbiegu wydarzeń, dwu dziewcząt jednego niemal wieku, sprawa kształcenia zaczęła go naprzód nieprzyjemnie dręczyć, zmuszać do refleksji, a wreszcie palić i roznamiętniać. Nie było to już teoretyczne studium, lecz jakby szereg stopni silnego wzruszenia, ujętych w pewną ścisłą formę. Do wychowania tych dwu sierotek, Raduski tak się rzucił, jak człowiek bierze się do zwalczania choroby, o istnieniu której zawiadomił go lekarz życzliwy. Dawno powzięte wiadomości o kształceniu pierwiastkowym w Anglii, Francji, Szwecji, Szwajcarii przydały mu się teraz, jak szczypta wiedzy medycznej może się przydać człowiekowi, wędrującemu przez stopy, gdzie znajduje nędzarza okrytego ranami. Wziął się na nowo do czytania i wszedł w sam środek kwestii. Główne współzawodnictwo przypadło w udziale pani Grzybowiczowej. Ona to była właściwie wychowawczynią dziewcząt. Codziennie bodaj w mieszkaniu redakcyjnym toczyły się dyskusje, jaki system wybrać i zastosować należy. Pani Grzybowiczowa była zdania, żeby unikać wszelkich systemów i wychowywać „na dobre kobiety”; mąż jej żądał tylko „ducha wolnomyślności”; Raduski usiłował wyłożyć główną myśl swoją, której ani jedno, ani drugie jasno nie oceniało. Pragnął on kształcić te dziewczęta na kobiety, zdobywające własną pracą nie tylko utrzymanie, ale i charakter. Marzył o systemie jeszcze nieznanym, któryby rozwijał swobodnego ducha, nie wykrzywiając go, nie raniąc i nie obarczając kajdanami. Wychowawce miały według niego, rozpoczynać naukę wzorem szwajcarskim, praktykowanym w szkołach elementarnych, czyli przyjmować wiadomości bardzo wolno, bez żadnej forsy i udręczeń. Obok tego wszakże miały przyzwyczaić się do zwykłej pracy, a więc: sprzątać pokoje, robić w ogródku i w kuchni razem ze służącą, chodzić z panią Grzybowiczową do sklepów i w oczach jej kupować bułki, nabiał, mięso, nosić sprawunki itd. Każda z dziewczynek musiała w oznaczonych godzinach wystrzygać i kleić paski pocztowe na gazetę i nosić listy do skrzynek. Służąca nie miała prawa usługiwać im w niczym. Same słały łóżka, czyściły obuwie i sukienki, nosiły dzbanki z wodą, zamiatały mieszkanie, schody i dziedziniec.

Nim upłynęło kilka tygodni, Grzybowicz pochłonięty przez gazetę zaprzestał wtrącania się w ministerium edukacji. Raduski, wcieliwszy w życie swój wymyślony program, usunął się i przyglądał jak pani Grzybowiczowa, zrozumiałwszy intencje opiekuna, rzecz prowadziła. Elżbietka nie dała się od razu nagiąć do surowego regulaminu. Kaprysy jej, płacz i krzyki, leniwe opuszczenia wyznaczonych robót zatruwały Raduskiemu spokój. Ale zwolna, zwolna dawne pieścące warunki nikły w pamięci dziecka, maleńkie radości nowego życia nabrały uroku i poczęła ciągnąć pług swego losu. Więcej zmartwień dostarczał wychowawcom charakterek Anuli. Rychło spostrzeżono, że to dziecko przedmieścia umie nie tylko kłamać, ale i kraść, nie tylko doskonale oszukiwać, ale nawet udawać cnoty jakich żądano. Zbadawszy te jej przymioty, pan Jan wziął się do dzieła, do studiów psychologii, do wertowania literatury, roztrząsającej występki dzieci. Siadywał w nocy, zagłębiając się coraz bardziej w swoje umiejętności, a właściwie po swojemu walcząc z naturą, z jej złymi siłami, których stępanie, a jeśli się dało niweczenie stanowiło rozkosz jego duszy. Ciągła obserwacja życia wychowanki, dziwne krążenie w świecie ich cnót, wad, przymiotów sprawiło, że coraz lepiej udoskonalał ów system i że wespół z panią Grzybowiczową, w istocie hodował dusze i ukształcał

charaktery sierotek. Chciał być wszędzie i zawsze bezstronnym, nigdy pod jakimkolwiek względem nie dawać doktorównie pierwszeństwa nad córką nędzarza, ale mimo woli serce jego miłowało Elżbietkę. Gdy patrzył, jak zamiata podwórko albo niosła kosz z miasta, coś się w nim przewracało, jak gdyby czuł na swej twarzy wejrzenie zgasłych oczu. Wtedy tłumaczył się przed niewidzialnym cieniem, że tak trzeba, że Elżbietka musi wyrosnąć na kobietę przyszłego czasu, uzbrojoną w środki walczenia ze zbójeckim życiem. Ale zawsze takie rozmyślanie wtrącało go do mrocznej sztolni, którą żartobliwie nazywał podziemiami swej duszy. Wówczas szedł do drukarni, stawał przy korbie i wspólnie z robotnikami wprawiał w ruch maszynę przez kilka godzin z rzędu.

Trud fizyczny nie odpędzał tęsknoty, nie niweczył jej całej, ale tłukł ją niby młotem, długo i długo, aż się zwinęła i układała na swoim miejscu. Sprawa kształcenia dziewcząt powoli złączyła się z innymi, o których Raduski myślał, zakładając pismo. A więc występowały różne kwestie czysto łzawieckie: kwestia służących, kwestia terminatorów żydowskich, dzieci błakających się po ulicach, starców nie mogących pracować itd. W tym samym czasie zaczęły się ukazywać w *Echu* artykuły pod ogólnym tytułem „Typy”. Były to bardzo barwne zestawienia żywota np. służącej w miasteczku szwajcarski i w Łzawcu, losu terminatora szewskiego w Niemczech i na Kamionce, chłopca sklepowego na głębokim partykularzu we Francji i w handelku przy ulicy Wąskiej. Artykułiki wyżej wzmiankowane sprawiły efekt mniej – więcej taki, jak wetknięcie patyka w mrowisko. Tak zwane „panie” tj. matki, ciotki, stryjenki „domów” piorunowały na wszelkich recepcjach i szydziły z „rojeń” *Echa*, z zachcianek, ażeby Kasie i Florki jadły i spały lepiej, niż to miało miejsce w łzawieckich karalucharniach. Panowie majstrowie podrzywali przy kufelku z nowomodnych gazeciarzy, a panowie kupcy bez ceremonii odsyłali pismo. Ale źródłem istotnego zgorszenia był felietonik doradzający pannom, które już grywają walce Milleckora i mazurki Godarda, tudzież oczekują na *epuzerów* z posadami w utęsknieniu ducha i ciała, a w utęsknieniu ciała, sroższemu niż ducha, żeby w chwilach wolnych od marzeń i walców myły podłogi i przynajmniej z lekka szorowały schody (srodze brudne w mieście Łzawcu), jak to czynią nawet bardzo zamożne i utalentowane Niemki oraz Szwajcarki. Było to rzecz prosta, bezbożne szarpanie świetnej instytucji rodziny, obyczajów i moralności. Raduski wiedział, że nie można przenosić od jednego zamachu ciężkiej kultury, że co innego miasteczko Rutki, a co innego żydowska stolica Pałaki, ale wierzył również w dobry kącik serca człowieczego. Kiedy rozprawki pisane przez Grzybowicza wśród debat „gremium” tj. pana Jana i żony autora poczęły budzić dość żywe zaciekanie w mieście i na prowincji, kiedy ilość listów admonicjami, protestami zachęta, a nawet ze zwyczajnym, staropolskim „besztaniem” zwiększała się ciągle, raptem owa druga z rzędu drukarnia zerwała kontrakt o jakąś błahostkę. Pewnego dnia *Echo* nie wyszło. *Gazeta Łzawiecka* obwieściła *urbi et orbi* zgon tak pożytecznego czasopisma i zawinęła ten rzewny nekrolog we właściwy komentarz. Raduski rzucił się do drukarzy z propozycjami bajecznymi. Ledwie po upływie dni czterech zdołał namówić trzeciego z rzędu do zawarcia umowy. Czcionki tam były wstrętne, gazeta nie ukazywała się we właściwym terminie i ogrom trudów stanął w poprzek drogi. Mimo to wszystko, sprawa szła na przód. Począł się właśnie w odcinku druk studium o parobkach i wywołał zainteresowanie.

Pewnego dnia stanął we drzwiach redakcji gość niespodziewany. Był nim pan Olśniony. Miał, jak za pierwszej bytności, oczy przymknięte, na wargach uśmiešek. Zbliżył się do stołu, gdzie Elżbietka cięła opaski, złożył pocałunek na głowie tego dziecka, westchnął i usiadł. Raduski przysunął swe krzeselko i mimo woli zadał sobie pytanie, czy też lada moment nie nastąpi tak zwane starcie przekonañ. Olśniony wykwinutym ruchem ulokował na stole swój cylinder, odpiął guziczek czarnej rękawiczki, drugi guziczek i kiedy zaczął ściągać połyskującą się skórę z dużego palca, rzekł z uśmiechem:

– Czy też kolega domyśla się, czemu to drukarze tutejsi zrywają umowy i jak sądzą zrywać będą, aż...

– Domyślam się...

– Niechże kolega raczy wymienić mi tę przyczynę.

– No po cóż te formalności? Przecie to pan...

– Tak, to ja. Widzimy tedy, że zdejmuję maskę.

– Co prawda, to ja widzę, że pan zdjąłeś rękawiczkę.

– Mam nadzieję, że szanowny kolega doceni moją szczerłość i dla niej przebaczy mi winę oddziaływania na drukarzy.

– O, z całą gotowością, ale pod jednym warunkiem. Pod warunkiem, że pan nazwie mi ową siłę, dzięki której drukarnie odrzucały pewien zarobek...

Olśniony wykonał palcami prawej ręki na dłoni lewej ruch, przypominający liczenie miedzaków. Kiwał wtedy głową z uśmiechem pobłażliwości i współczucia.

– Nie śmiem – rzekł Raduski – jak to pan redaktor zrozumieć zechce, sięgać do dalszych przyczyn tego postępowania, gdyż prowadziłoby to nas do szkatułki z „zasadami...”

– A jednak ja po to przyszedłem, po to przyszedłem tutaj... – wtrącił redaktor *Gazety*, biorąc na twarz wyraz surowości.

– W istocie? – Okazuje się, że jestem dobrym spostrzegaczem, kiedy bowiem szanowny pan redaktor ukazał się we drzwiach, myślałem niezwłocznie w głębi mego serca: oto idzie człowiek niosący ze sobą „przekonania”.

– Czyż pan sądzi – mówił – że tak nie jest, że ja ich nie mam? Czy pan tak sądzi? I to na tej podstawie, że o nich dzień w dzień nie krzyczę, kwasek subtelnej ironii przenika mowę pańską. Niech pan jednakże zapyta tysiąca z górą odbiorców mojej gazety, czy ona służyła kiedy prywacie, czy uchybiała kiedy dobru ogólnemu? Niech pan zapyta, kogo pan sobie zechce z wrogów moich, czy Olśniony, przez lat blisko trzydzieści, nie był wiernym sługą społeczeństwa. Jeżeli pięciu ludzi znajdzie się we Łzawcu, czy gdziekolwiek w tym kraju, którzy orzekną: nie, w godzinę po takim wyroku zwijam pismo. Byłbym nikczemnikiem gdybym, stojąc na miejscu redaktora...

– Tak jest, – rzekł Raduski.

– Te kilka słów stanowi pierwszy punkt interesu, którym niepokoję pana. Drugi punkt wyłożę krótko.

– Słucham.

– Ja gotów jestem natychmiast zwrócić panu siedem tysięcy rubli, któreś od chwili rozpoczęcia tej historii z *Echem*, dodam, zbyt hojnie wyłożył.

Raduski zesmutniał, przechylił głowę na boki, nie spuszczać oka z głowy Elżbietki, słuchał uważnie.

– Siedem tysięcy rubli jest to więcej, niż trzecia część całego kapitału po świętej pamięci stryju szanownego kolegi... – mówił siwy gazeciarz tonem trafiającym w samo sedno myśli słuchacza.

Pan Jan zwrócił swe oczy na przyszwę buta z prawej nogi Olśnionego i wolno, ledwie dostrzegalnie potakiwał.

Od pierwszego momentu wydawnictwa upłynęło ... ileż? Sześć? Nie, siedem miesięcy. Każdy miesiąc to tysiączek rubli. Czy pan uważa? Masz kolega przed sobą dwanaście, trzynaście miesięcy, a potem? Za cóż będziemy kształcili dwie sierotki? Daruj mi, że tu na tej dłoni położę twe szlachetne serce. Przypatrz się: od dziś za rok będziesz bez grosza; prócz tego, idąc tą samą drogą wychowania dwu dziewcząt, ukochasz piękne dzieło swej pedagogiki. Będziesz je musiał rozciąć, urwać, zawiesić wówczas, gdy ono stanie się kwestią twojego życia, w literalnym znaczeniu kwestią twojego życia. Roztrząśnij pan to, co mówię, bo tu każde zdanie jest prawdą, waży sto funtów!

– Przecież nie będę wydawał tysiąca rubli co miesiąc, bo tylko początki zmuszały mnie do takiej forsy. Prenumerata się zwiększa wolno, ale bez przerwy.

– Mówię: pismo pańskie chcę kupić za cenę wydanych pieniędzy. Obrócisz pan ten fundusik w sposób tylko właściwy...

– Rumienię się jak płochę dziewczę wobec tak szczodrych pochwał mej cnoty...

– Jeżeli zgoda między nami zawartą nie będzie, to cóż? To musi nastąpić moje ultimatum, że to pismo wychodzić przestanie.

– Dlaczegoż to?

– Dlatego, że ja chwycę się środków silnych.

– Mianowicie?

– Pierwszy z brzegu: opłacam jak rok długi wszystkich trzech drukarzy. Daję każdemu z nich podwójny zarobek, jaki by mógł mieć u pana. Sądziś, że to mnie zrujnuje? Bynajmniej. To mi wyrwie z kieszeni kilka tysięcy rubli, ale w każdym razie mniej, niż pańska gazeta. A cóż pan zrobisz? Założysz własną drukarnię? Na to trzeba... fiu fiu... lekko licząc...

Raduski zmarszczył czoło i pobałdł.

– Widzi kolega... ten argument znalazł drogę do jego przekonania!

– Znalazł... tak jest, znalazł. Ten sam argument mógłby służyć w każdym sądzie za *corpus delicti*, jak Olśniony hodował przez lat blisko trzydzieści święte przekonania, lecz to... Uważa pan, niekoniecznie ja będę kupował drukarnię, tę nową, czwartą. Może zrobi to spółka...

– *Qui vivra verra*. Co do insynuacji na moją niekorzyść... oświadczam, że środki jakimi panu zagroziłem, przekonaniom uwłaczać nie będą.

– Masz pociechę!

– Ja pańskie pismo zwalczać muszę i zwalczę w interesie pryncypiów, którym służę, i sędź pan, kosztem ofiar wyłożonych z własnej kieszeni.

– Musi to być duża kieszeń. Pan daruje, że o tym mówię, ale skoro nie tylko moja mała portmonetka tak panu jest znana, ale i komórki mego serca...

– Ja rzeczywiście grosza nie pożałuję. Czyż się zapieram, że gazeta daje mi dochód, że w ciągu kilkunastu lat obfitej prenumeraty uzbierałem kapitał? Ale nie o to chodzi. Nie chodzi mi o utrzymanie dla żony i czworga dzieci, choć mi się to należy, tylko, wierz pan, czy nie wierz, o zasadę. Ja tu jestem autochtonem. Ja tu jestem wyrazicielem życia, uczuć, marzeń. Ja tu znam wszystko i wszystkich, ziemię i wodę, domy i mogiły. Rozumiem tu wszystkich i mnie wszyscy. To nie ma o czym mówić. Tak jest. Z czymże pan przychodzisz, z czymś...

Raduski zaczął śmiać się głośno, a później rzekł:

– Nie wyjawię panu tego, nie wyjawię nawet, czemu tak przezornie sobie poczynam.

Brwi Olśnionego drgnęły, niby wskazówki zegara, usta zacięły się na chwilę.

– Przyszedłem do pana z otwartą umową, nie sam, bo z mandatem od moich czytelników. My wszyscy nie możemy zezwolić na byt *Echa* pod pańską opieką. Czynimy tak w myśl bardzo mądrej zasady starożytnych *principiis obsta!* Niechaj to będzie odpowiedzią na śmiech pański!

– A niechaj będzie.

– Masz pan tedy do wyboru: walkę z nami albo ustępstwo.

– Mam.

– Jesteś pan jednym z najszlachetniejszych fantastów, którym się widzi...

– Czyliż, będąc autochtonem ławieckim, można jednocześnie mieć wiadomość o tym, co się widzi fantantom?

– Za siedem tysięcy rubli zrobisz dużo dobrego na świecie, a ja musiałbym je przeznaczyć na skrytą walkę, którą z pewnością wygram. Dlatego przyszedłem. Powiedz że pan jeszcze raz, że gdy się uniżam, gdy znoszę pański śmiech tchnący zniewagą, gdy stoję tutaj z tymi pieniędzmi, zamiast je wydać dla nasylenia mojej ambicji, jestem w sprzeczności z moimi zasadami!

– Opuszcza pan wyraz – „świętymi”.

– Umyślnie to robię. W zasadach dużo jest ziemskiego. Najcudniejszy, wonny kwiat, korzeń ma w ziemi, a żywot czerpie z gnoju.

– Niestety! Niestety!

– Wymówiłeś pan to słowo w takim sensie, jak gdyby tylko moje mniemanie przypominały kwiaty z korzeniami głęboko tkwiącymi w ziemi, a wszakże sam tu wspomniałeś z uciechą o szerzeniu się prenumeraty *Echa*.

– Tak, wspomniałeś, ale...

– *Excusez!* Gdybym chciał być równie uszczypliwy, byłbym w prawie twierdzić, że w podniosłej działalności piśmienniczej pańskiej nie małą rolę odgrywała wojna o prenumeratorów.

– Wojna? A gdzież to i kiedy wojowałem z panem?

– No ta. Walki pisemnej, polemicznej nie było. Jeżeli kto wszczywał ją w druku, to ja przynajmniej się.

– Chwała Bogu.

– Ale czy możesz pan utrzymywać, że ja byłem w tym przypadku gorszy od pana, że nie byłem tylko bardziej szczerzy? Nie stanąłeś przeciwko mnie, to prawda, ale za to samym wyborem programu samym t. zw. poruszeniem kwestii usiłowałeś pan wzburzyć umysły prenumeratorów i ściągnąć ich do siebie. Usiłowałeś wskazać jakich dziedzin *Gazeta* wcale nie zna, owych „kwestii” żywotnych, owej ropy na ranie. Czy mówię prawdę? Ale z ręką na sercu!

– Z ręką na sercu? Dobrze, ja panu powiem. Jak nie zaczynałem wcale walki piśmienniczej, ani ustnej, tak samo z ręką na dążeniach serca, mówię, że nie zaczął bym ich nigdy. Weź pan na rozum! O cóż ja to mogę polemizować z *Gazetą Łzawiecką*? O nic. Literalnie o nic. Gdybym chciał używać pięknych określeń dla moich i pańskich „zasad”, rzekłbym, że ja jestem służącym światła, a pan klucznikiem ruder i lamusów. Cóż my mamy wspólnego? O co możemy się spierać? O nic. Możemy sobie tylko nawymyślać przy zetknięciu się wzajemnym, ale tego ja nie uczynię, choćbyś mnie pan prowokował jeszcze bardziej głośno.

– Ja nie prowo...

– Zaraz, zaraz! Co do przypuszczenia, że łąknę pańskiej prenumeraty i chcę ją napchać pugilares, to, jeśli pan zważysz sprawę bez zaślepienia, łatwo spostrzeżesz istotny stan rzeczy. Nikt skrupulatniej ode mnie we wszystkim, zawsze i wszędzie, a głównie w tak zwanych zasadach nie szuka interesu materialnego. Toteż dla mojego rozumu, jak fiksacja wygląda myśl, że ja mógłbym pana zwalczyć. *Gazeta Łzawiecka* jest to interes. Z interesem bronią jakiejś idei, może walczyć tylko człowiek obłąkany. Ja nim nie jestem. *Gazeta Łzawiecka* to interes świata, jak, na przykład, dystrybucja w dobrym punkcie, jak karczma na rozdrożu, jak sklep założony we właściwym miejscu i czasie. Jest to wyszynk wiadomości takich właśnie, jakich główny kontyngent czytających żąda. Czyż przedsiębiorstwo tego gatunku może nie iść. Idzie i bramy piekielne go nie zwyciężą. Mojemu pisemku szło doprawdy o coś wręcz innego. *Echo* nie jest wcale wyszynkiem zdarzeń i poplatnego w Łzawcu „dobra i piękna”. Toteż pańscy księża, pańska gruba i cienka szlachta, pańscy burżuje czytać go nie będą. To jest coś tak innego...

– Ja wiem co to jest.

Raduski zamilkł i począł wycierać rękawem jakąś plamkę na surducie.

– Więc jakże szanowny redaktorze? Daję odstępnego siedem tysięcy rubli – cedził Olśniony, według swojego zwyczaju nakrywając białą rękę o długich palcach, brodę i dolną wargę.

Przez chwilę trwała cisza. Wreszcie Raduski podniósł zimne oczy na twarz gościa i od niechcenia, wskazując ręką Elżbietkę, rzekł:

– Na głowę tego dziecka zaręczam panu, że nie ustąpię ze Łzawca, nie przestanę wydawać pisma i robić com umyślił. Mam jeszcze trochę pieniędzy. Gdy pan rozpoczniesz swe tam... intrygi, zawiążę spółkę. Na świecie i w Łzawcu nie sami tylko pańscy mandatariusze. Nie same tu rudery i mroki. To co blask oświeci...

– Na głowę tego dziecka?... – mówił tymczasem redaktor *Gazety*, zwolna nachylając korpus swego ciała i uśmiechając się okrutnym szyderstwem. – Jakież to talizman?

Krew zawrzała w Raduskim i płomieniem wionęła przez jego głowę. Cisną w twarz starca ponure spojrzenie, jakby go między oczy ciał toporem i mówił:

– Pan wiesz dlaczego to dla mnie talizman! Wszakże to pan pisał do mnie bezimienne listy w których twierdziłeś, że tamta kobieta...

– Ja... bezimienne listy? – rzekł z cicha.

Olśniony wstając ze swego miejsca. – Ejże!...

Głos jego zerwał się, lewa ręka dygotała nerwowym ruchem. Raduski wlepił weń oczy i rzekł po upływie kilku minut badania:

– Aha... przepraszam... więc to nie pan... aha...

– Co pan takiego mówisz... do mnie, jak śmiesz... do mnie...

Jan wydobyl z szuflady kilka małych arkusików papieru i pierwszy z brzegu położył na stole. Redaktor wziął go w rękę, zbliżył do zmrużonych oczu i przeczytał wszystko, co tam było. Później złożył ten arkusz.

– Znasz pan może to pismo, jako wyobraziciel domów i grobów? – rzekł Raduski.

– Pisma nie znam. Ale wiem kto jest autorem.

– Któż?

– To nie moja rzecz.

– Koszczycki, który do was przyrósł? Koszczycki, co?

– A więc moja propozycja odrzucona?

Raduski przyciągnął Elżbietkę i jakby zamiast odpowiedzi, złożył na swym sercu jej głowę. Olśniony skłonił się sztywnie i skrzypiąc z cicha butami, wyszedł. Gdy się drzwi za nim przymknęły, Raduski podniósł oczy i patrzył w tamtą stronę. Minęła jedna minuta, druga, trzecia. On tak wciąż siedział z oczyma utkwionymi we drzwi, żując coś w ustach, jakby rozgryzał zębami słowo, czy zdanie, które chciał cisnąć za odchodzącym.

KONIEC